

Lyon Sprague de Camp

Niechciana księżniczka

**The Undesired Princess
and
The Enchanted Bunny
Przełożył Andrzej Józwiak**

NIEHCIANA KSIĘŻNICZKA

Rollin Hobart uniósł wzrok znad osnutych dymem papierosowym wykresów i powiedział:

— Proszę wejść.

Kiedy drzwi się otworzyły, rzucił:

— Cześć, George, miałeś chyba przyjść ze znajomym, nieprawdaż?

George Prince był młodym człowiekiem nie odgrywającym żadnej poważniejszej roli w świecie, w którym żył, ani w naszej opowieści, dlatego dłuższy opis jego postaci jest całkowicie zbyteczny.

Odpowiedział na powitanie i dodał:

— Zaraz przyjdzie. O Boże, Rolly, czy ty zawsze pracujesz wieczorami?

— Czasami. Kim jest twój przyjaciel?

— Nazywa się Hoimon.

— Herman?

— Nie, Hoimon. H–O–I–M–O–N — przeliterował.

— Hoimon, i co dalej?

— Nic, po prostu Hoimon. H–O...

Hobart machnął ze zniecierpliwieniem ręką, jakby odganiał się od natarczywej muchy.

— Zostawmy już to. Kim jest?

— Nazywa siebie ascetą.

Rollin Hobart zmarszczył brwi, chociaż właściwie należałoby powiedzieć, że obecny dotąd na jego czole wyraz dezaprobaty uległ wzmocnieniu. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, nie pierwszej już młodości, z gładko przyczesanymi blond włosami, prostym, wąskim nosem i cienkimi ustami.

— Słuchaj, George, wybaczone, ale nie mam czasu podziwiać twoich ekscentrycznych przyjaciół. Muszę wykombinować, w jaki sposób można oszczędzić tym gościom trzy czwarte centa na tonie.

— Tym razem to co innego. Zobaczysz — odparł Prince. — O, a tak przy okazji, zmieniłeś swoją decyzję co do jutrzejszej imprezy?

— Nie. Mówiłem ci już. Praca.

— O Boże! W ogóle już nie wychodzisz z domu — Prince westchnął i zrezygnowany wzruszył ramionami. — A wydawało mi się, że nie macie już dużo roboty jako łamistrójki.

Hobart nagle się wyprostował.

— Higgins i Hobart nie są łamistrójkami — powiedział z naciskiem. — Wydawało mi się, że już ci to tłumaczyłem.

— Nigdy bym się nie domyślił.

— Nic nie poradzę na to, że nasz człowiek przekroczył swoje kompetencje. To był jego pomysł, żeby wynająć tych...

— No — przerwał mu Prince — ale kiedy go zatrudnialiście, obydwaj zdawaliście sobie sprawę, że Karsen się nie patyczkuje. Dlatego częściowo jesteście odpowiedzialni za ten bunt...

— Nie żartuj. Słyszałeś chyba, że kiedy Karsen zaskarżył nas z powodu wybicia mu wszystkich zębów przez strajkujących, sędzia zadecydował, że w danym momencie nie działał on na nasze polecenie.

Prince zaśmiał się.

— To było właśnie najlepsze w tej całej historii.

Hobart skrzywił twarz w czymś w rodzaju wymuszonego uśmiechu.

— Może dla ciebie. Firma przestała działać, strajkujący stracili pensje, my straciliśmy nasze honorarium i ponieśliśmy dodatkowe koszty związane z procesem, a Karsen stracił zęby. Tak czy inaczej, najważniejsze, że od strony prawnej wszystko jest jasne, nie jesteśmy łamistrójkami. Jesteśmy inżynierami-konsultantami i to chyba całkiem naturalne, że nasi klienci radzą się nas w razie kłopotów w miejscu pracy.

— Twój problem, Rolly, polega na tym, że dla ciebie wszystko jest czarne albo białe. Dobre albo złe. Przyjąłeś logikę Arystotelesa, która już dawno się przeżyła. Byłbyś świetnym komunistą,

gdybyś nie zaczął swego żywota jako gruboskórny konserwatysta — stwierdził Prince.

Hobart przestał już koncentrować się na liczbach i zdenerwowany wybuchnął:

— Dla ciebie świat jest wyłącznie czarno—biały, chłopie! Tylko dlatego, że przypadkiem wplątany jestem w historię z łamistrajkami, uważasz, że nienawidzę ciężko pracujących, biednych robotników. A z faktu, iż uważam, że ciągle niestabilizowany budżet oznacza problemy dla jednostek i rządów, wysnuwasz teorię, że jestem ograniczonym umysłowo reakcjonistą! Problemem ludzi takich jak ty, którzy manipulują teoriami społecznymi jest to, że wymyślicie sobie jakieś nowe prawa i oczekujecie, że świat natychmiast zacznie się do nich stosować.

— Powiedziałem tylko... — próbował przerwać mu Prince, ale kiedy Hobart się rozkręci, niełatwo go powstrzymać.

— I mylisz się twierdząc, że logika Arystotelesa przeżyła się — ciągnął autorytatywnym dyszkantem. — Uznano jedynie, że jest to szczególnie przypadek bardziej ogólnych prawideł logiki, tak jak trygonometria jest szczególną częścią układów trójwymiarowych. Nie oznacza to wcale, że jest nieużyteczna. Chodzi tylko o to, że jej zastosowanie jest bardziej ograniczone, niż kiedyś uważano. Trudno właściwie wyobrazić sobie świat, w którym dwuwartościowa logika Arystotelesa byłaby zasadą podstawową. Na przykład wszystko musiałyby być czerwone, albo nie—czerwone. Dlatego nie istniałby kolor różowy ani cynobrowy...

— A propos, mój przyjaciel...

— Jeszcze nie skończyłem, George — upomniał go Hobart. — Jeśli dobrze pamiętam, Platon wziął pod uwagę parę conceptów ciągłości i wielokrotnych związków przyczynowych, o których zapomniał Arystoteles. Gdyby tylko przestał zajmować się jakimś bezkształtnym idealistycznym mistycyzmem... Co właściwie chciałeś powiedzieć o swoim przyjacielu? — zapytał nagle.

George Prince wyprowadzony z równowagi przez chwilę starał się przypomnieć sobie, o co mu właściwie chodziło.

— No... to dość trudno wyjaśnić — odezwał się wreszcie. — Nie znam go za dobrze i nadal niezbyt jeszcze wierzę w jego istnienie. Ale jeśli ty też go dziś zobaczysz, będzie to oznaczało, że on naprawdę istnieje.

Hobart jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

— Chyba tak. Ale o co właściwie chodzi? Masz przywidzenia? Może za dużo pijesz?

— Widzę go, ale nie wiem, czy on naprawdę istnieje.

— To proste — Hobart uczynił gest zniecierpliwienia. — Albo jest, albo go nie ma.

— No proszę, o tym właśnie mówiłem! — wykrzyknął triumfalnie Prince. — Dla ciebie albo coś istnieje, albo nie. Wiedziałem... hmm... Proszę! — zawołał i obaj obrócili się w kierunku drzwi, w których stanął wychudzony starszy mężczyzna z niechlujnie rozwianymi bokobrodami. Indywiduum miało na sobie płaszcz, w którym Hobart natychmiast rozpoznał własność Prince'a. I wyglądało na to, że było to wszystko, co starszy człowiek miał na sobie. Spod krawędzi płaszcza wystawały dwie owłosione łydki kończące się wielkimi stopami. W dłoniach mężczyzna trzymał drewniany, prostokątny przedmiot wielkości neseseru, z zawiasami i zatrzaskami.

Hobart zwrócił się do Prince'a:

— Czy... to... twój... to znaczy pan Hoimon? Postać odpowiedziała sama, wydając z siebie odgłosy przypominające bicie dzwonów:

— Zaiste, to prawda, dobry człowieku, że tymczasowo zwał mnie Hoimonem. Łaskawie proszę jednak, byś nie używał terminu „pan”, gdyż mimowolne nawet skojarzenie z „panem—władcą” zupełnie nie przystoi mej pokorze. Nie pragnę wyższości nad żadną istotą żywą mi przypisaną.

— Cóż — rzekł Rollin Hobart, zaskoczony taką odpowiedzią. — George, czy mógłbyś...

— Hoimon wszystko ci wytłumaczy, Rolly — odparł z pośpiechem Prince.

Hoimon uśmiechnął się łagodnie.

— Pozwolisz, że spocznę? — raczej zadzwonił, niż powiedział.

— A... no... tak, oczywiście!

Hoimon rozpiął zatrzaski drewnianego przedmiotu, który niósł ze sobą i rozłożył go. Była to leżanka ze sterzcącymi do góry gwoździemi. Postawił ją na podłodze, zrzucił płaszcz (pod spodem miał tylko owinięty wokół bioder kawałek materiału przypominający ręcznik) i zasiadł na

gwoździach, wydając przy tym odgłos bezgranicznego zadowolenia.

Przez parę sekund sadowił się wygodniej na posłaniu. Jego oczy obieżyły pokój Hobarta zatrzymując się na półkach z książkami, kalkulatorze, wielkich żelaznych dzwonkach i zdjęciu Fredericka Winslowa Taylora wiszącym na ścianie.

W końcu zwrócił się do Prince'a:

— O George, powiedz mi, czy ten człowiek rzeczywiście posiada bystry i logiczny umysł?

— Najbardziej bystry i logiczny, jaki tylko znam — odparł Prince. — Jeden z najlepszych na całej politechnice. Przynajmniej w dziedzinach, którymi się interesuje. Jednak w rozmowie na tematy wybiegające poza krąg jego zainteresowań, łatwo zauważyć, że jest dość ograniczony. Wydaje mu się na przykład, że Thomas Dewey jest nieprzejednanym radykałem.

— Czy jest fizycznie nienaruszony? — spytał Hoimon, pominąwszy kwestię radykalizmu pana Deweya.

— Jeśli chodzi ci o to, czy jest zdrowy, to chyba tak. Z tego co wiem, wycięli mu tylko wyrostek...

— Halo! Tu jestem! — wtrącił się obiekt rozmowy. — O co wam właściwie chodzi...

Hoimon zignorował go i ponownie rzekł do Prince'a:

— A jego odejście nie byłoby wielkim zmartwieniem i stratą dla najbliższych?

— Chyba nie. Niektórzy z jego przyjaciół powiedzieliby, że brak im przycinków Rolly'ego w dyskusjach, ale z całą pewnością nie płakaliby z powodu jego odejścia. To dobry i miły facet, ale niezbyt *gemütlich*.

Hobart chrząknął i włączył się do dyskusji:

— Mój młody i nierozważny przyjaciel chciał przez to powiedzieć, że cenię sobie swoją niezależność, panie Hoimon.

Hoimon ledwie rzucił na niego okiem i kontynuował przesłuchanie Prince'a.

— Rozumiem, że nie posiada żadnych żon, ani potomstwa.

— Na miły Bóg, nie! Powinieneś usłyszeć, jakie są jego poglądy w tej kwestii.

Rollin Hobart, który już od kilku minut czyścił okulary, jakby nie zwracając uwagi na tocząca się za jego plecami dyskusję, wreszcie się odezwał:

— George, widzę, że starasz się sprawdzić moją wytrzymałość. Przepraszam cię, ale mam kupę roboty. Kryzys nie będzie trwał wiecznie, a ja z Higginsem musimy kuć żelazo póki gorące. Kiedy będę chciał analizy swojego charakteru, pójdę do psychia...

— Zgaduję, że jest również osobą o silnym i zdecydowanym charakterze — zadudnił Hoimon.

— Myślę, że się nada. Pozostaje jeszcze tylko jedna wątpliwość: czy jest biegły w rozwiązywaniu paradoksów?

Prince oniemiał. Hobart zmarszczył brwi, a później uśmiechnął się lekko.

— No proszę, skąd pan wiedział, że lubię rozwiązywać łamigłówki? Prawdę mówiąc, to moje hobby. — Jakby na dowód swoich słów ze stosu gazet wyciągnął małe czasopismo zatytułowane *Enigma* i podał je Hoimonowi. — W zeszłym roku byłem przewodniczącym Narodowej Ligi Krzyżówkarskiej. Szkoda, że nie mam już na to czasu. Co mógłbym dla pana uczynić? Rozwiązać jakąś zagadkę?

— W rzeczy samej — odparł Hoimon. — Widzę, że dzięki zrządzeniu Noisa trafiłem w świecie trzech odpowiedzi na człowieka, który najlepiej będzie mógł nam pomóc. Powstań, o Rollinie, i spiesz ze mną do Logai. Nie mamy ani chwili twego cennego czasu do stracenia!

— Co u diabła? — zdziwił się zaskoczony Hobart. — Co to za żarty...

— Nie jest moją intencją stroić sobie żarty — odpowiedział Hoimon, składając swoje nabite gwoździemi łoże. Spojrzał przenikliwie na Hobarta i dodał: — O Rollinie, nie staraj się umknąć swemu przeznaczeniu. Życie najbardziej prawych, mądrych i zacnych ludzi spoczywa teraz w twoich rękach. Androsfinks rozpostarł noc nad Palem Poświęcenia.

— Zaraz! — bronił się Hobart. — Co to jest Logaia, kto jest najbardziej prawy, i tak dalej, co to znaczy...

— Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie — odparł spokojnie Hoimon. Mimo że stał dobre trzy metry od Hobarta, jego wolne ramię wystrzeliło nagle przez pokój jak język kameleona i

pochwyciło inżyniera za kołnierz brązowego wyjściowego garnituru. Oburzony Rollin został wyrzucony z krzesła i przeleciał ponad biurkiem. Usiłował jeszcze walczyć, rozdając pięściami ciosy na lewo i prawo, ale Hoimon trzymał go od siebie w bezpiecznej odległości.

— George! — wrzasnął Hobart. — Powstrzymaj go! Wezwij gliniarzy! To jakiś świr!

Prince wahał się przez chwilę.

— Słuchaj, Hoimon. Jeśli nie chce iść, to właściwie nie masz prawa... — zaczął mówić niepewnym głosem.

— Wystarczy, o George! — zagrział Hoimon. — Nie tobie o tym decydować. To przecież zupełnie naturalne, że osoba o takim charakterze będzie się opierać. Nie zdzieraj gardła wrzaskami — zwrócił się do Hobarta — gdyż ten pokój jest w tej chwili częścią Logai. Dokonałem tego mocą mej duchowej siły.

Prince podszedł do okna i spojrzął przez nie. Po chwili obrócił się blady jak ściana.

— Słuchaj, tam nic nie ma.

— Pewnie, że nie — zgodził się asceta, unikając ciosu o wyjątkowo dalekim zasięgu, zadanego przez Hobarta. — Zechciej otworzyć drzwi, o George, mam zajęte ręce.

— Cóż, ja...

— Otwieraj! — zawył Hoimon.

Prince posłuchał rozkazu pytając z wahaniem:

— Hej, Hoimon. Jak taki kościsty staruszek jak ty może robić takie rzeczy?

— Mam siłę dziesięciu, gdyż moje serce jest czyste — odparł Hoimon. — Żegnaj, o George. Twój przyjaciel za chwilę stanie przed wielkim niebezpieczeństwem, ale i wielką szansą. Żegnaj!

— Pomocy!!! — darł się Hobart. — Moje okulary!

— Masz je na nosie, o Rollinie.

Z tymi słowami asceta trzymając w lewej ręce swoje złożone łożo, a w prawej, w bezpiecznej odległości, szamoczącego się bezskutecznie Rollina Hobarta, wyszedł przez drzwi.

Kiedy zapadła ciemność Rollin Hobart starał się wysunąć z marynarki, ale w żelaznym uścisku Hoimona znajdowała się również koszula i podkoszulek. Hobart zwrócił więc uwagę na palce ascety. Spróbował rozluźnić ich uścisk, ale już po chwili zorientował się, że z równym powodzeniem mógłby wyciągać gołymi rękami gwoździe ze ściany.

Zauważył, że droga, którą idą nie jest bynajmniej korytarzem prowadzącym do jego mieszkania, ale ciemnym tunelem. Światło padające przez drzwi z pokoju ujawniało zarysy kamiennych ścian i sufitu. Po chwili jednak słabe oświetlenie nagle zgasło, tak jakby George zamknął drzwi. Hobart uzmysłowił sobie, jakim bezsensu było posiadanie przyjaciół, których jedyną zaletą okazało się to, że bardzo przyjemnie się z nimi pokłócić.

Szamotał się jeszcze długo, nim zrozumiał, że te wysiłki nie doprowadzą go do niczego. Wreszcie, wyczerpany, zaprzestał kopania i wymachiwania rękami. Chwila odpoczynku dla ciała dała umysłowi możliwość zastanowienia się nad tunelem.

— Co to jest... do diabła... czwarty wymiar? — wysapał.

Hoimon odparł łagodnie:

— Uciszyć się, o Rollinie. Twój głos mógłby sprowadzić jaskiniowców.

— Co ty nie powiesz? W takim razie, jeżeli nie odpowiesz na moje pytania, przekonasz się na własne uszy jaki mam donośny głos! — Hobart nabrał powietrza do płuc, żeby z jak najlepszej strony zaprezentować ascecie swe możliwości.

— Przystaję na twą propozycję, gdyż w przeciwnym razie bezmyślnie sprowadzisz na siebie nieszczęście — rzekł szybko Hoimon. — Mnie jaskiniowcy nic nie zrobią, ale tobie...

— Dobra, dobra. Do rzeczy! Po co to całe porwanie?

Hoimon westchnął.

— Zgaduję, iż nie spodobała ci się taktyka, jaką obrałem.

— Cholernie dobrze to ująłeś! Mogę cię zapewnić, że FBI dowie się o wszystkim! Ale dlaczego...

— Z przykrością stwierdzam, że musiałem użyć siły, więc jeśli nie zmienisz swojej wrogości, będę zmuszony ukarać siebie i to bardzo surowo, za wyrządzenie krzywdy żywej istocie. Nie

powiniennem był sądzić, że klątwa daje mi prawo do odstąpienia od mojej pokory, ale robiłem to tylko w celu uniknięcia większego zła. Musisz wiedzieć, o Rollinie, że z powodu starej klątwy rzuconej na królów Logai...

Hoimon przerwał nagle, a Hobart jeszcze przez moment nic nie mówił. W ciemności dał się słyszeć jakiś piskliwy dźwięk, mrozący krew w żyłach krzyk, przypominający najwyższy ton wydobywający się ze skrzypiec.

— Jaskiniowcy! — wyszeptał Hoimon. — Musimy się spieszyć. Czy jeśli postawię cię na ziemi, podążysz za mną? I tak w żaden sposób nie będziesz już mógł wrócić do swojego świata.

— Dobrze, dobrze — mruknął niezadowolony inżynier. — Co ty narobiłeś? Pomieszalesz wymiary?

— Ponieważ nie jestem mędrcom, nie mogę pojąć twojej mowy. Wiem jedynie, że dzięki czystości serca posiadam moc, którą ongiś podobno posiadali niektórzy filozofowie, i dzięki której mogli odwiedzać dziwne wszechświaty, takie jak wasz, gdzie prawa logiki nie mają zastosowania i wszystko jest bez sensu.

— Jak to prawa logiki nie mają zastosowania?

— Wydaje się wam na przykład, że Ziemia stoi w miejscu, a Słońce krąży wokół niej, a wiem z pewnego źródła, że jest dokładnie na odwrót. W Logai wydaje się nam, że Słońce okrąża Ziemię i rzeczywiście jest to prawda. Zaprzestańmy jednak strzępić języki i chodźmy.

Przenikliwy krzyk rozległ się znowu, i sprawił, że Hobart przyspieszył kroku, czego wcześniej nie mogły dokonać nawet z namowy porywacza. Na wprost nich ukazało się jakieś światło. Wkrótce dotarli do wyjścia z tunelu i stanęli na szczycie detrytusa rozciągającego się od wejścia do tunelu. Słońce stało wysoko na niebieskim niebie. Wkoło rozciągały się góry, strome i strzeliste, ale jakieś dziwne. Już po chwili Hobart zorientował się, co w nich było nie tak. Miały zbyt regularne kształty i były do siebie podobne jak dwie krople wody. Przypominały mu rożki z lodami, a właściwie rożki bez lodów, poustawiane w rzędach do góry nogami na płaskim stole.

— Pójdź — rzekł Hoimon i zaczął energicznie schodzić stromo opadającą ścieżką, wymachując drewnianą skrzyneczką. Jego długie, białe włosy miarowo falowały w rytm kroków. Teraz, gdy Hobart ujrzał swego porywacza w świetle dziennym, zauważył, że ten łowca niewolników nie cenił sobie zbyt czystości. Jednakże, jak na osobę w swoim wieku, był z całą pewnością niezwykle sprawny, zawdzięczając to zapewne jakiejś wymyślnej diecie składającej się z orzechów i sałaty. Inżynier podążał jego śladem zafascynowany faktem, że owinięty wokół bioder starca ręcznik pozostaje ciągle na swoim miejscu.

Doszli do stóp stromego wzgórza. Góry jaśniały dziwnym, żółtym odcieniem. Podobnego koloru była porastająca tu i ówdzie rzadka trawa. Pojawiające się miejscami zarośla były dla odmiany jasniebieskie. Tak, niebieskie. No cóż, niebieskie to niebieskie, nic na to nie poradzę, pomyślał Hobart, walcząc z wrażeniem, że jest to tylko sen. Obawa, że mógłby zwariować jakoś nigdy ani przedtem, ani teraz nie zaświtała w jego umyśle. Jeśli widział niebieskie liście, to na pewno były one niebieskie i kropka.

Pomiędzy dwoma stożkami pojawiła się mała, pusta przestrzeń. Hoimon szedł w tym kierunku, mijając górę za górą. Ledwo nadążający za nim Hobart zdołał już złapać oddech po szaleńczym biegu z pierwszego wzgórza. Wykorzystał więc moment i lekko rozdrażnionym głosem zażądał od swego przewodnika odpowiedzi na pytanie, o co właściwie chodzi w całym tym gadaniu o androsfinksach, Palach Poświęcenia i całej reszcie.

Hoimon—asceta rzucił swoje składane łoże pod zdeformowanym, małym drzewkiem o nierealnych, geometrycznych wręcz kształtach. Wyglądało ono tak, jakby ktoś starał się zbudować imitację drzewa z kawałków rury. Pewnie nazwano by je funkcjonalistycznym lub surrealistycznym, ale nikt mnie nigdy nie przekona, że rzecz, która wygląda jak drzewo, nie zachowuje się jak drzewo i nie jest zbudowana z drewna, może być nazwana drzewem, pomyślał Hobart.

Hoimon objął pseudodrzewo i ułamał je tuż przy ziemi. Następnie przełamał pień na kolanie tworząc w ten sposób grubą, półtorametrową laskę.

— Musimy się spieszyć, o Rollinie — powiedział. — Zostawmy rozmowę na bardziej

sprzyjające ku temu czasy. Powiem ci tylko pokrótce, że król Gordius z Logai z powodu klątwy musi ofiarować swą pierwszą córę, gdy ta ukończy odpowiedni wiek, androsfinksowi. Ponieważ Jego Wysokość jest bardzo dobry dla nas, ascetów, podjąłem się zadania znalezienia śmiałka, który uratuje dziewicę. Ty, o Rollinie, jesteś tym śmiałkiem.

Po tym krótkim wyjaśnieniu odwrócił się i kontynuował wędrówkę wymachując laską.

— Dobrze sobie — gderał Hobart. — Proszę posłuchać, ja nigdy jeszcze nie uratowałem żadnej dziewczicy. No, chyba że wtedy, gdy głowa mojej sekretarki utknęła w koszu na śmieci.

— Tak ci się tylko wydaje — odparł Hoimon spokojnie. — Moje poszukiwania zaprowadziły mnie do kilku wszechświatów i nigdzie... — Nagle jego głos ucichł i przestał docierać do Hobarta, gdyż ten właśnie rozpląszczył się na ścianie jednego ze stożków. Hoimon znikł z jego pola widzenia za zakrętem drogi. Hobart jeszcze przez chwilę nasłuchiwał, a później na palcach, powoli, ruszył w kierunku przeciwnym.

— Ho! — usłyszał za sobą gromki głos ascety. Rollin Hobart rzucił się do ucieczki. Umieśniona ręka pojawiła się nie wiadomo skąd i z ogromną siłą schwytała go z tyłu za marynarkę, koszulę, podkoszulek i dość duży fałd skóry. Hobart zaskowytał, gdyż wydłużona na co najmniej dziesięć metrów ręka momentalnie porwała go do góry i przeniosła za zakręt.

Ramię powróciło do swych normalnych rozmiarów, a Hobart popatrzył w melancholijne oczy ascety.

— Mało wiesz o Logai, o Rollinie, gdyż w przeciwnym razie nie próbowałbyś zbiec — powiedział Hoimon. — Gdybyś został w górach po zachodzie słońca, jaskiniowcy... Ale skoro chwytasz się takich głupich sztuczek, będziesz szedł teraz przede mną. Marsz!

Hobart ruszył powoli, patrząc spode łba na swego oprawcę.

— Może wydaje ci się to zabawne, ale ja naprawdę mam co robić! — starał się mu wytłumaczyć.

Hoimon bez słowa popchnął go do przodu, dzięki czemu inżynier o mało nie wylądował jak długi na ziemi.

— Idź szybciej — powiedział starzec. — Przez ciebie będę się musiał ukarać za wykorzystywanie mojej siły.

— Przez ciebie nie wykonamy programu ochrony! Moja firma ma kilka ważnych kontraktów... — odpowiedział Hobart.

W tym momencie poczuł kolejne szturchnięcie.

— Utrata Stanu Jedności będzie najlepszą nagrodą... Nareszcie!

Ostatnie westchnienie oznaczało definitywne wyjście z gór, które skończyły się równie nagle jak zaczęły. Nie było żadnych wzgórz. Obydwaj wyłonili się po prostu spomiędzy dwóch ostatnich szczytów, a oczom ich ukazała się płaska jak deska równina, jeśli nie liczyć skupiska półokrągłych budowli z czarnej skały, które stały po lewej stronie.

Czarne budowle osadzone były w płaskiej, żwirowatej ziemi koloru jasnoczerwonego. Hobart stwierdził, że z powodu braku jakiegokolwiek roślinności należałoby nazwać tę ziemię pustynią, mimo że nie wyglądała jak żadna znana mu pustynia. Rozciągała się aż po płaski, równy horyzont nie zmacony niczym oprócz czarnych półkul.

Po prawej stronie krajobraz wyglądał zupełnie inaczej. Dziesięć metrów od miejsca, w którym się znajdowali, rozpoczynała się fantastyczna dżungla. Podejrzanie równo, wzdłuż linii kończącej czerwoną równinę, rozpoczynały się niebieskie zarośla. W zaroślach tych, w regularnych odstępach rosły wysokie drzewa, z których każde miało nierealny, stożkowaty, cylindryczny pień pokryty czymś, co na pierwszy rzut oka przypominało czarną skórę. Liście były niebieskie. Niektóre okrągłe, inne podłużne, jeszcze inne przybierały bardziej skomplikowane kształty, wszystkie jednak miały idealne, geometryczne kształty, tak jakby dopiero co zostały wycięte z papieru i miały się pojawić w charakterze dekoracji w witrynie sklepowej.

Dopiero teraz Hobart zorientował się, że cały ten świat wyglądał tak, jakby został zaprojektowany za pomocą przyrządów kreślarskich przez uzdolnione dziecko lub też projektanta, który ma świra na punkcie funkcjonalnego wzornictwa.

Zaledwie jednak zdążył rozejrzeć się po okolicy, jego uwaga skupiła się na czymś, co z całą

pewnością nie zostało zaprojektowane za pomocą linijki i cyrkla. Tym „czymś” była dziewczyna przywiązana do pozbawionego gałęzi pnia czarnego drzewa postawionego na pustyni, w niewielkiej odległości od lasu. Kiedy, zapadając się w żwirze, rzucił się spontanicznie w kierunku dziewczyny, zdał sobie sprawę, że była ona najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział.

— To jest właśnie księżniczka Argimanda — usłyszał za sobą głos Hoimona.

Pierwszą rzeczą, jaką Rollin Hobart dostrzegł, były czerwone włosy księżniczki Argimandy. Czerwień ta nie była ani miedziana, ani brunatna, ale taka jak ta na znaku albo świetle STOP.

Kiedy zbliżył się jeszcze bardziej, zauważył również, że skóra księżniczki była bardzo blada, a kontrast pomiędzy białą skórą i jasnoczerwonymi policzkami nadawał jej wygląd mocno umalowanej kokoty. Księżniczka była wysoka, miała delikatne rysy i ubrana była w białą, luźną sukienkę do kolan uszytą z cienkiego materiału. Przywiązano ją do pnia czymś w rodzaju zwykłego, konopnego sznurka.

Nie była sama. Tuż obok, na krzeselku za sztalugą siedział młody mężczyzna. Miał na sobie coś, co przypominało długą, czerwoną koszulę, kolorem świetnie dobraną do jego włosów.

Niebieskie oczy księżniczki zwróciły się na Rollina Hobarta i w tym samym momencie krzyknęła:

— Czy to ma być twój śmiałek, Hoimonie?

— Tak, o księżniczko — zagrzmiał asceta. — Jak daleko zaszły bolesne wydarzenia?

Księżniczka skinęła głową w kierunku czarnych półkul.

— Dwór poszedł na wzgórze — odparła. Hobart przysłaniając oczy przed jasnym słońcem dostrzegł grupkę małych postaci na czubku najbliższej półkuli. Jedna z osób trzymała coś w rodzaju chorągwi.

— Mój ukochany brat rozstawił już swój sprzęt do szkicowania, więc wszystko jest gotowe — mówiła Argimanda. — Poza tym wysłałam Theiixa do lasu, żeby was ostrzegł, ale nie wrócił. Mam nadzieję, że androsfinks go nie zjadł.

— Zmniejszyłoby to jego apetyt na ciebie, moja mała — odezwał się wysokim, męskim głosem mężczyzna siedzący dotąd za sztalugą. Kiedy się zbliżył widać było na jego jedwabnej czerwonej koszuli wysadzany drogocennymi kamieniami pas. Mężczyzna miał na głowie mały kapelusik z piórkiem. Podobieństwo pomiędzy nim i księżniczką było uderzające. Młodzieniec nerwowo przerzucał z ręki do ręki ośmiościenny kamyk. — Mam nadzieję, że to naprawdę jest śmiałek. Strasznie się wkurzę, jeśli się okaże, że rozstawiałem swój sprzęt na nic! — dodał.

— Myślę, że Wasza Wysokość mógłby okazać więcej zainteresowania losem niewinnej siostry! — huknął Hoimon.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Nic nie mogę na to poradzić, dobrze o tym wiesz, więc przynajmniej będziemy mieli artystyczne ujęcie tego wydarzenia.

Hoimon zaburczał coś pod nosem, a głośno powiedział:

— O książę Alaxiusie, przedstawiam ci Rollina Ho...

— A co mnie obchodzi jego nazwisko, starcze — przerwał mu artysta — i to tym bardziej, że należy do osoby, która za chwilę zostanie pożarta w całości. Witam, śmiałku. Nie zwracaj na mnie uwagi. Esteta ponad wszystko przedkłada sztukę. A tak przy okazji, jakiego koloru są twoje szaty? Sprawdzam, czy mam wszystkie potrzebne mi próbki barw. Nie namaluję przecież całego obrazu, jeśli wszystko potrwa tylko parę minut. Ale jeśli uda mi się określić kolor twoich... hmm... szat, to chyba stanie się cud.

Hobart niepewnie spojrział na swój konserwatywny, oficjalny garnitur.

— Brązowy — odparł. Zaraz jednak zorientował się, że nie poinformowano go o szczegółach mającej się za chwilę rozegrać sytuacji. — Zaraz, zaraz, o co tu właściwie chodzi? Czego wy ode mnie...

— Brązowy? — powtórzył książę Alaxius wyraźnie zdziwiony. — Nigdy o takim nie słyszałem. Te szaty, że nie wspomnę o wołającym o pomstę do nieba niedopasowaniu, wyglądają mi na żółte, ale jest w nich coś dziwnego. Coś takiego, przecież ten kolor jest zupełnie niemożliwy do namalowania! Będę musiał pominąć cię na swoim obrazie. Nie udało mi się...

— Cholera, słuchaj, co do ciebie mówię! — przerwał mu Hobart podniesionym głosem. — O co chodzi w tym całym gadaniu o pomocy dla tej pani? Dlaczego nie rozwiąże się po prostu sama i nie

pójdzie do domu?

— Ponieważ w takim przypadku nie złożono by ofiary, i androsfinks złupiłby królestwo — odparł spokojnie Alaxius. — I to ma być śmiałek, Hoimon? Głupi jak but... — dodał.

— Zamknij się! — wrzasnął Hobart. — Dlaczego w takim razie któryś z was, mądrze, jej nie ocali?

— Żaden z nas nie posiada takiej mocy, o Rollinie — zadudnił Hoimon.

— Mocy? A ja, myślisz, mam ze sobą armatę?

— Androsfinks nie może być pokonany za pomocą strzelb ani szabli, ale dzięki bystremu i wnikliwemu umysłowi.

— Poważnie? chętnie ocaliłbym tę panią, gdybym wiedział jak i gdybym był pewien, że pozwolicie mi później wrócić do siebie. Ale...

Hobart urwał, ponieważ w tym momencie coś wyłoniło się z lasu. Inżynier nerwowo podskoczył i chciał rzucić się do ucieczki, ale opanował się widząc, że pozostali dwaj mężczyźni nie wykazują żadnych oznak zdenerwowania. Z lasu nadchodził wielki, jasnożółty lew.

— Czy... czy to jest właśnie androsfinks? — spytał Hobart, czując oblewający go pot.

— Nie — odparł Hoimon. — To jeden z naszych przyjaciół, oswojony lew. O Theiaxie, przedstawiam ci Rollina Hob...

— Idzie — przerwał mu lew, a Hobart znowu podskoczył. Głos lwa rozległ się donośnym rykiem.

— No cóż, pora brać się do roboty — rzekł książę Alaxius piskliwym głosem. — Życzę powodzenia, siostrzyczko.

— Powodzenia? — powtórzył za nim lew.

— Tak, zresztą nic jej już chyba nie pomoże. — Alaxius potruchtał do swoich sztalug i zaczął energicznie szkicować.

— Pewnego dnia — zaryczał lew — twój lekkomyślny brat dowie się, jak to jest być pozeranym żywcem...

— Obiecałeś, Theiaxie! — przypomniała srogo księżniczka.

— A co ja mam robić? — krzyknął zdesperowany Hobart.

— To proste. Androsfinks zada ci pytanie, musisz spróbować na nie odpowiedzieć — wyjaśnił Hoimon.

— Tak? A co, jak mi się nie uda?

— To również jest proste. Wtedy, muszę to z przykrością stwierdzić, zostaniesz zjedzony. Podobnie jak księżniczka Argimanda.

— Czy to się u was często zdarza?

— jak dotąd, zawsze. Och, ale oto i nasz przeciwnik!

Zza lasu, w miejscu, gdzie linia drzew stykała się ze stożkowatymi górami, wyłoniła się kolejna bestia. Była dość podobna do lwa, aczkolwiek o wiele większa, wręcz rozmiarów słonia. Twarz miała ludzką, chociaż cztery razy większą, z nisko osadzonym czołem. Coś na kształt neandertalczyka z żółtą kozią bródką porastającą cofniętą brodę. Spod siodłowato wygiętego grzbietu tej dziwnej istoty wyrastały krzywe łapy, a na żółtej, pomarszczonej skórze widniały strupy i rany świadczące o toczącym się procesie chorobowym.

Księżniczka z zaciśniętymi mocno ustami patrzyła na nadchodzącą poczwagę. Oswojony lew skulił się przy niej trzęsąc ze strachu i podwijając ogon pod siebie. Książę Alaxius dwoił się i troił usiłując naszkicować sytuację. Hoimon skrzyżował ręce na swojej kościstej klatce piersiowej i wyprostowany stał bez ruchu. Ani jeden, ani drugi nie przejawiali strachu przed bestią, co zapewne było wynikiem praw znanych mieszkańcom tego świata.

Androsfinks zbliżał się w milczeniu. Od czasu do czasu słychać było jedynie odgłos stąpania jego łap po żwirze. Kiedy był już na tyle blisko, że jego smród uderzył z wielką siłą w nos Hobarta, ciężko posadził zad na żwirze.

— Sprowadziliście kolejnego śmiałka? — spytał chrapliwym, niewyraźnym szeptem.

Rollin Hobart nie miałby nic przeciwko, gdyby ktoś zaprzeczył, ale niestety w tym momencie Hoimon wskazał na niego palcem i rzekł:

— Oto on, o androsfinksie!

— Aha — mruknął potwór. — Czy jesteś gotów na pytanie, śmiałku?

Hobart właśnie miał odpowiedzieć „nie”, kiedy stwierdził, że jego organy głosowe wyraźnie odmawiają posłuszeństwa.

— W takim razie — kontynuował androsfinks nie zrażony brakiem odpowiedzi — powiedz mi, czy nie jest prawdą, że nie-kot może posiadać dziewięć ogonów?

— Ja... uhm... co? — Hobart nie zrozumiał. Jego umysł był tak przepełniony sprzecznymi informacjami, że zanim zdołał się skupić, usłyszał zaledwie parę ostatnich słów.

Androsfinks powtórzył pytanie, po czym dodał:

— A czy jest prawdą, że nie-kot może również posiadać osiem ogonów?

— Chyba tak — wymamrotał niepewnie Hobart zastanawiając się, jak szybko i daleko biegał androsfinks.

— Ale czyż nie jest...

— Hej! — przerwał mu rozpaczliwie Hobart. — Albo mi się wydaje, albo odpowiedziałem już na dwa pytania. A ty miałeś mi zadać tylko jedno.

— To były właściwie pytania retoryczne — wydyszał androsfinks. — Nie adresowane do nikogo. Jak dotąd nie oczekiwałem od ciebie żadnej odpowiedzi. Właściwe pytanie dopiero padnie. W takim razie, czy nie jest prawdą, że każdy kot posiada o jeden ogon więcej od nie-kota? Jeśli tak, jeśli nie-kot ma osiem ogonów, to każdy kot musi posiadać dziewięć ogonów! Wyjaśnij mi to, śmiałku!

— Ja... hmm... ty... jeśli...

— Liczę do trzech — wysapał androsfinks. — Jeden...

To „jeden” sprawiło, że błądzący dotąd po bezdrożach mózg Hobarta został przywołany do porządku. Nie powinno być zbyt...

— Dwa... — Androsfinks ciężko podniósł się z ziemi.

Hobart uniósł rękę jak uczeń.

— Zaraz! — krzyknął. — Już wiem! Używasz dwóch różnych przeczeń!

— Cóż to ma znaczyć? Przeczenie to przeczenie. Trz...

— Akurat! — zaskrzeczał Hobart. — Kiedy powiedziałeś, że nie-kot może mieć osiem ogonów, użyłeś przeczenia w znaczeniu „jakieś inne zwierzę”, natomiast kiedy stwierdziłeś, że każdy kot ma o jeden ogon więcej niż nie-kot, przeczenie oznaczało brak kota.

— Ale...

— Zamknij się! W pierwszym zdaniu określasz klasę istot, w drugim, mówisz o istotach z innej klasy, nieobecnościach kota, nieporównywalnych z tymi z klasy pierwszej. Nieobecność jakiegokolwiek kota może posiadać każdą wybraną przez ciebie liczbę ogonów, na przykład zamiast kota mógłbyś mieć psa, który posiada również tylko jeden ogon. Dlatego twoja ostatnia teza jest w ogólności nieprawdziwa.

— Ale nie chodziło mi o nieobecność kota — zaprotestował androsfinks — chodziło mi o kota nie istniejącego...

— Tym gorzej! Przeczenie oznaczające „żaden” nie tylko jest inne od przeczenia oznaczającego „nie istniejący”, ale, co ważniejsze, rzeczywiste koty posiadają prawdziwe ogony, podczas gdy nieprawdziwe koty mogą jedynie posiadać nieprawdziwe ogony. Dowiedliśmy w ten sposób, że wyimaginowane koty nie mogą mieć ani jednego prawdziwego ogona! Dlatego twoja teza mówiąca, że kot rzeczywisty ma o jeden ogon więcej od kota nieistniejącego jest zupełnie bez sensu, ponieważ przeczenie i słowo „ogon” używane są w dwu różnych, nieporównywalnych znaczeniach.

W tym momencie androsfinks przerwał dalszą dyskusję potężnym beknięciem, którego podmuch sprawił, że Hobart zatoczył się i zaczął kaszleć. Beknięcia powtarzały się. Po chwili również księżniczka zaczęła kasłać. Hobart chwiejnym krokiem odsunął się poza zasięg wyziewów. Hoimon stał z założonymi rękami i wyrazem twarzy męczennika. W końcu jednak i on nie wytrzymał i odsunął się na bezpieczną odległość.

— Patrz o, Rollinie! Niech Nois będzie pochwalony!

Androsfinks usiadł ponownie. Jego głowa smętnie zwisała, a cieknąca z paszczy ślina kapiała na żwir. Bestia przymknęła oczy, wydając z siebie beknięcie za beknięciem. Hobart wyciągnął szybko z kieszeni scyzoryk i przeciął więzy, którymi spętana była księżniczka. Kiedy ponownie spojrzął na potwora zauważył, że ten się skurczył! Był teraz mniej więcej wielkości nosorożca, a po każdym beknięciu tracił kolejne centymetry.

Kiedy księżniczka rzuciła się na Rollina Hobarta obejmując go za szyję i przyciskając swoje usta do jego warg, był tak zajęty obserwacją dziejącego się na jego oczach fenomenu biologicznego, że nawet nie poczuł pocałunku. Przytrzymał lekko dziewczynę, pozwalając jej obcałowywać całą swoją twarz, podczas gdy sam starał się przez jej szkarłatne włosy obserwować androsfinksa.

Potwór był już wielkości średniego niedźwiedzia grizzly. Z prawej strony Hobarta przemknęło jak strzała coś żółtego, a w powietrzu rozległ się ryk atakującego lwa. Androsfinks zaryczał nieporównywalnie słabiej usiłując odeprzeć atak. Dwa wielkie ciała zwały się w morderczym uścisku i zaczęły toczyć się po żwirze, obsypując wszystkich wokół geometrycznie nienagannymi czerwonymi kamykami. Hobart usłyszał odgłos rwanej skóry i zauważył, że pazury zadniej łapy Theiixa dosięgły brzucha androsfinksa. Potwór zaczął dygotać, po czym rozciągnął się na ziemi. Lew stał nad nim z zębami zatopionymi w jego gardzieli i potrzęsając antropoidalną głową przeciwnika warczał przez nos.

Księżniczka, której podziękowania zostały dość chłodno przyjęte przez Hobarta, chciała właśnie puścić inżyniera, kiedy jej brat krzyknął: — Poczekaj jeszcze chwilkę! — Ziemia w okolicach księcia Alaxiusa usłana była kartkami papieru. Młody mężczyzna pracował w szaleńczym tempie nad kolejnym szkicem, najwyraźniej przedstawiającym bohatera całowanego przez ocaloną księżniczkę.

Na ramię Hobarta spadła wielka, silna dłoń.

— O Rollinie — rzekł Hoimon — wygrałeś tam, gdzie każdy inny śmiałek zawodził. Pójdź i przyjmij swą doczesną nagrodę: rękę księżniczki i połowę królestwa Logai!

— He? — odparł Hobart. — Ale ja wcale nie chcę ręki księżniczki, przepraszam panią, niech pani tego nie bierze do siebie. I nie chcę połowy królestwa!

Hoimon zmarszczył brwi i cofnął dłoń z ramienia inżyniera.

— Jak to? Czyż nie jest to najcenniejsza nagroda, jaką król Gordius może cię obdarować?

— Nie o to chodzi — zapewniał Hobart. — Ten wasz podwymiarowy świat jest bardzo interesujący, ale nie mogę z wami zostać, żeby go podziwiać. Muszę wracać do pracy.

— Dziwne — zadumał się Hoimon. — Obawiam się jednak, że nie mogę ci pomóc. Muszę wracać w Stożkowe Góry, żeby odnaleźć me łoże, a potem będę zmuszony ukarać siebie za użycie siły przeciwko istocie żywej, której dopuściłem się sprowadzając cię tutaj i pośrednio przyczyniając się do śmierci androsfinksa.

— Nie możesz mi nawet powiedzieć, jak mam wrócić?

— Nie, nie mogę tego uczynić. Spośród wszystkich ascetów Logai ja jeden posiadam odpowiednią siłę duchową potrzebną do przenoszenia się z jednego wszechświata do drugiego.

— No cóż, spójrz na to w ten sposób, nie prosiłem, żebyś mnie tu sprowadzał, a więc mam pełne prawo żądać odstawienia mnie z powrotem. Jeśli odmawiasz mi w tym pomocy, to, logicznie rzecz biorąc, potęgujesz zło, które uczyniłeś.

Czoło Hoimona zmarszczyło się w zamyśleniu.

— Skoro tak stawiasz sprawę...

— Co jest? — zaryczał lew, dotąd potrzęsający martwym ciałem androsfinksa. Zbliżył się do rozmawiających. — Przez kogo płacze moja pani?

Hobart odwrócił się i zauważył, że księżniczka stała z twarzą ukrytą w dłoniach i cichutko pochlipywała.

— Mój... ukochany... chce odejść! — usłyszeli wypowiedane przez lży słowa.

— Hmm? — Hobart wyczuł niebezpieczeństwo. — Przepraszam panią, ale nie jestem pani ukochanym! Jestem zagorzałym miłośnikiem stanu kawalerskiego! Ja...

Przerwał mu donośny pomruk Theiixa:

— Gadasz bzdury, śmiałku. Wybawca zawsze zakochuje się w księżniczce i vice versa. Zachowuj się, albo...

— Albo co?

— Zgadnij — odparł lew niedwuznacznie ukazując kły.

Hoimon asceta klepnął Hobarta po plecach.

— W takim razie sprawa załatwiona o, Rollinie — rzekł z ulgą w głosie. — Popelniłbym o wiele większe zło pomagając ci w powrocie i pośrednio powodując pożarcie ciebie przez Theiixa, niż zostawiając cię tutaj. Żegnaj! — Poprawił ręcznik i pomaszerował wywijając laską.

Hobart patrzył przegranym wzrokiem za odchodzącym ascetą. Lew usiadł przed nim i lekko przechylił głowę.

— O co ci chodzi? — mruknął. — Mężczyzna nie powinien być ponury, kiedy poślubia mądrą, dobrą i piękną kobietę! Popatrz, znam parę sztuczek! — Mówiąc to położył się na ziemi i przewrócił na grzbiet. Hobart nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— No, już lepiej — skwitował Theiix. — Ale oto nadchodzi Jego Wysokość. — Lew położył się ponownie, ale tym razem zaczął lizać rany zadane mu przez androsfinksa.

Hobart odwrócił się słysząc daleki odgłos trąb i werbli. Po czerwonym żwirze szła procesja, niewątpliwie ta sama, która wcześniej zajmowała pozycję na szczycie najbliższych wzgórz. Na samym przedzie kroczył wielki, białobrody mężczyzna z koroną na głowie, ubrany w długą szatę. Świta składała się między innymi z odzianego w błyszczący, wypolerowany miedziany pancerz mężczyzny, niosącego na długim drzewcu kwadratowy kawałek czarnego, sztywnego materiału, na którym widniało słowo RAIT, wymalowane wielkimi, białymi literami, z kilku mężczyzn w szatach podobnych do tej, jaką nosił książę Alaxius, oraz paru żołnierzy w spódniczkach i kolczugach. Niektórzy z nich nieśli dzidy i okrągłe tarcze, inni staromodnie wyglądające muszkiety.

Księżniczka Argimanda pobiegła ku ojcu. Książę Alaxius zebrał swój sprzęt malarski i podążył za nią, a oswojony lew potruchtał za księciem. Hobart poczuł się nagle nieswojo zostając sam, więc

zdecydował również dołączyć do swoich nowych znajomych.

Kiedy zbliżył się do procesji, księżniczka odwróciła się od ojca i zawołała radośnie:

— Ojczce, oto mój niezrównany śmiałek i przyszły mąż! Zwie się... hmm...

— Rollin jakiś tam — pomógł jej ksiązę Alaxius.

— Proszę, proszę — rozpromienił się król. — A gdzie ten ekscentryk Hoimon? Ktoś musi przecież dokonać oficjalnej prezentacji, prawda?

— Odszedł — wyjaśnił ksiązę.

— Szkoda — pokręcił głową król. — Charionie, w takim razie ty to zrobisz — zwrócił się do stojącego po prawej stronie mężczyzny odzianego w obcisłe szaty. Człowiek ten miał surową, ponurą twarz i czarne wąsiki arogancko zakręcające się w górę. Na słowa króla tylko wzruszył ramionami i powiedział:

— To wbrew protokołowi, Wasza Wysokość. Ale jeśli taka jest Wasza wola, przedstawiam mężnego księcia Rollina Jakiegoś tam. Rollinie Jakiś tam, stoisz przed mądrym i potężnym autokratą, Gordiusem Uprzejmym, królem Logai.

— Rrrrr... — zagrzmiał stojący w pobliżu Theiix. — Na kolana!

— Ja? — odezwał się zaskoczony Hobart.

— Tak, ty — potwierdził lew. — Wiesz, co to etykieta?

Bezwzględna niezależność Rollina Hobarta nie pozwalała mu klękać przed nikim, ale w tej sytuacji jej właściciel ukląkł na jedno kolano i pochylił głowę, skrywając niezadowoloną minę.

— Podnieś się, ksiązę — rzekł król. — Wita cię kwiat rodziny Xerophi! — dodał, rozkładając swe grube ramiona.

Hobart rzucił badawcze spojrzenie w kierunku lwa.

— Co teraz? — spytał szeptem.

— Obejmij Jego Wysokość! — odparł również szeptem lew.

Co za bezsens, pomyślał Hobart pozwalając królowi przycisnąć się do piersi w sposób właściwy mieszkańcom Europy Wschodniej.

— Wasza Wysokość, to musi być jakaś pomyłka. Nie jestem księciem, jestem zwykłym inżynierem... — zaprotestował, kiedy już wyswobodził się z uścisku.

Król uciszył go skinieniem ręki.

— Nie musisz być taki skromny, chłopcze. Ksiązę to osoba, która zostanie królem, a ty przecież wkrótce się nim staniesz. Dlatego właśnie jesteś księciem.

— Chodzi Waszej Wysokości o połowę królestwa?

— Oczywiście, możesz wybrać dowolną połowę.

— Ależ, Wasza Wysokość, ja nic nie wiem o zarządzaniu królestwem...

— Szybko się nauczysz. Przecież moja córka może poślubić jedynie młodziana z tytułem co najmniej księcia. Dlatego z definicji samej musisz posiadać tytuł co najmniej księcia.

— Tu poruszył Wasza Wysokość kolejny problem — zreflektował się Hobart. — Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego ta pani ubzdurała sobie, że jestem jej...

— Rrrr... — przerwał mu Theiix i Hobart natychmiast zrezygnował z dokończenia głośno tego, co chciał powiedzieć. Zorientował się, że dalszy opór nie ma sensu.

Charion szarpał rękaw króla.

— Panie, czy nie dość już uprzejmości? — zapytał.

— Co? Ach, tak, chyba tak. Pora wracać. Trzeba opowiedzieć wszystko królowej i przedstawić jej nowego zięcia. Ty, Charionie zajmiesz się księciem Rollinem Jakimś tam. Laus!

Ostatnie słowo skierowane było do chudego, starszego mężczyzny w ciemnoniebieskiej szacie i stożkowatym kapeluszu. Hobart sądził, że dziwne słowo jest jakimś epitetem i oczekiwał, iż mężczyzna poczuje się urażony, lecz szybko zorientował się, że było to po prostu jego imię.

— Wyjmij skrzydła wiatru! — polecił król. Starszy człowieczek zrzucił niesioną na ramionach

torbę, poluzował troki i zaczął z niej wyjmować małe parasole, które rozdawał wszystkim wokoło. Hobart również dostał jeden i przyglądał mu się ze zdziwieniem. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Pomimo to, wszyscy oprócz lwa Theiixa, brali parasole. Ksiązę Alaxius stał przy królu i coś mu po cichu opowiadał. Hobart usłyszał tylko: „... bardzo dziwny jegomość, mówię ci.

Popatrz tylko na jego ubranie, przecież taki kolor w ogóle nie istnieje. Poza tym, ciągle się ze wszystkimi kłóci...”

— Później, później — odparł król. — Przecież gdyby nie był taki bojowy, to na pewno nie pokonałby androsfinksa.

Księżniczka pochyliła się nad lwem, który ponownie zaczął lizać swoje rany.

— Kochany Theiaxie, dojdiesz do Oroloi?

— Pewnie — zaryczał lew. — To tylko zadrapania.

— Czemu nie poczekałeś, aż androsfinks zmniejszy się jeszcze bardziej?

— To nie po sportowemu — odrzekł lew.

— Ach, ci mężczyźni — westchnęła księżniczka, głaszcząc bestię.

Ponieważ do zajmowania się Hobartem oddelegowany został Charion, inżynier zwrócił się do posępnie wyglądającego dworzanina, pokazując na parasol:

— Co to takiego?

— Skrzydło wiatru — odpowiedział Charion.

— To wiem, ale do czego służy?

— Podróżujemy dzięki skrzydłom wiatru, Wasza Dostojność. Jak inaczej mielibyśmy podróżować?

— Dobrze, ale jak to działa?

— Zwyczajnie, należy mocno trzymać za rączkę i otworzyć je, oczywiście dopiero wtedy, gdy król otworzy swoje. Dawniej lataliśmy tak jak wrony, ale wronie skrzydła Lausa były dość niebezpieczne w użyciu, dlatego w zeszłym roku wynalazł to.

— Kim właściwie jest Laus?

Charion spojrzał na niego z wyraźnym niesmakiem.

— Czarnoksiężnikiem z Wall Street, oczywiście.

— Hmm? Nie rozumiem.

Charion ledwo hamował rozdrażnienie.

— Laus jest królewskim czarnoksiężnikiem. Wall Street to ulica zbudowana na murach miasta. Tam też znajduje się jego oficjalna siedziba. Czy teraz rozumiesz?

— Czy wszyscy są gotowi? — krzyknął król Gordius.

Wszyscy zgodnie podnieśli parasole.

— W drogę! — zakrzyknął król i rozłożył swoje skrzydło wiatru. Hobart poszedł w jego ślady. Natychmiast poczuł silny wiatr zza pleców, który prawie wyrwał mu parasol z ręki. Trzymał go więc kurczowo w dłoniach i, miotany podmuchem w lewo i w prawo, wzbił się w powietrze. Kiedy wreszcie mógł spojrzeć na resztę towarzystwa, która dość znacznie oddaliła się od niego, zauważył, że szybowali oni zgodnie w czymś w rodzaju klucza. Sztuka utrzymania się w górze najwyraźniej polegała na złapaniu rączki parasola obydwoma dłońmi i przytrzymaniu jej przy splocie słonecznym. Hobart tak właśnie zrobił i wkrótce zauważył, że z łatwością może kontrolować to latające urządzenie.

Po chwili dogonił całą resztę. Jeden z żołnierzy, prawdopodobnie dowódca, sądząc po ozdobionym piórami hełmie i złotej kolczudze, widząc jego włosy i ubranie w nieładzie, zawołał:

— Musisz jeszcze dużo poćwiczyć, chłopcze, to znaczy... Wasza Dostojność.

Księżniczka rzuciła mu czuły uśmiech, który sprawił, że inżyniera przeszły ciarki. Pomyślał, że może warto byłoby spróbować ucieczki, ale widząc, z jaką wprawą żołnierze obsługiwali swoje parasole jedną ręką, trzymając w drugiej tarczy i wólcześnie, szybko zaniechał tego pomysłu.

Przelecieli nad idealnie prostą granicą, przy której urywały się nagle czerwona pustynia i niebieska dżungla, a zaczynały żółte pola uprawne. Wkrótce ich oczom ukazało się miasto, skupisko pryzm, wież i kopuł, przy czym każda z tych budowli była czarna, biała, czerwona, żółta lub niebieska. Najbardziej rzucała się jednak w oczy ogromnych rozmiarów siatka wyrastająca z każdego spośród czterech murów miasta ograniczających kwadratową powierzchnię. Znajdujące się wewnątrz ulice poukładane były w idealną kratkę. Na samym środku kwadratu znajdowała się grupa ogromnych budynków, które, jak stwierdził Hobart, musiały być lokalnym Kremlem.

Kiedy dolecieli do murów miasta, wiatr osłabł, dzięki czemu spokojnie opadli na ziemię.

Wylądowali na szerokim trawniku otaczającym mury. Hobart lądując gwałtownie o mało się nie przewrócił, na szczęście jednak jakiś oficer w porę złapał go za ramię.

— Dzięki — wydyszał Hobart. — Jak się nazywasz?

— Generał Valangas — uśmiechnął się szeroko żołnierz. — Kanclerz Charion powinien być nas sobie przedstawić, lecz oczywiście, tego nie zrobił. Ale oto i on we własnej osobie, szuka swojej straży.

Człowiek z wąsikami Wilhelma II podszedł do nich zamykając swój parasol.

— Widzę, że udało się panu dotrzeć tu razem z nami — powiedział z roztargnieniem, przyglądając się swojemu nosowi. Laus zbierał parasole i wkładał je z powrotem do torby.

— Dlaczego nie wylądowaliśmy za murami? — spytał Hobart.

— To sprawka Lausa — odparł Charion. — Nie wpuszcza wiatru za mury bojąc się, że mógłby on sprowadzić nam na głowę hordę barbarzyńców. Ta siatka... — tu wskazał na mury miasta — zatrzymuje wiatr zachodni. Pozostałe zatrzymują wiatr wschodni, południowy i północny.

— Tylko takie wiatry tu macie?

— Oczywiście! Czy mogą być jakieś inne? Trębacz zadał w trąbkę, a dobosz zabębnił. Król

i cała jego świta podeszli szybko do ogromnej bramy. Przy wtórze podobnych sygnałów z wewnątrz brama skrzypiąc rozwarła się. Bliska eksplozja sprawiła, że Hobart podskoczył. Kątem oka zauważył biały dym wydobywający się z wieżyczki nad bramą. Po chwili powietrze przecięły kolejne wystrzały. Kiedy salwy ustały, świta znajdowała się już w bramie.

Inżynier poczuł na swoim ramieniu czyjąś dłoń. Była to czerwonołosa księżniczka, czule mu się przypatrująca.

— Drogi Rollinie — wyszeptała — nie zaczynamy naszego wspólnego życia od zimnych formalności.

Hobart szukał odpowiednich słów, aby wyrazić swoją opinię w tej kwestii. Pomyślał teraz, że powinien był od razu zająć zdecydowane stanowisko w tej sprawie. Powinien był uciekać, kiedy lecieli na skrzydłach wiatru. A już z całą pewnością nie powinien pozwolić im sprowadzić się do tego zatłoczonego miasta. Nie chodziło o to, że Rollin Hobart, jak sam wszem i wobec głosił, był tak bardzo wrogi instytucji małżeństwa. Dopuszczał przecież możliwość doczekania czterdziestki i poślubienia jakiejś dzierlatki dwadzieścia lat młodszej od siebie. Posiadając taką przewagę doświadczenia mógłby ukształtować dziewczynę zgodnie ze swoją wolą. Małżeństwo romantyczne było, oczywiście, czymś niedopuszczalnym, a związek z niewydarzoną panienką ze świata maligny, w którego istnienie nadal nie mógł uwierzyć, w ogóle nie wchodził w rachubę.

Ale w chwili obecnej Hobart nic nie odrzekł. Rzadko z premedytacją ranił uczucia innych ludzi, szczególnie takich, których ojcowie, nazywani nawet Uprzejmymi, mogli siekierą dowodzić swoich racji tym, którzy zbyt zaufali ich uprzejmości.

Poza tym spacerowanie ulicami w towarzystwie nieskazitelnie pięknej kobiety sprawiało mu teraz dużą przyjemność. Ludzie chylili się w ukłonach i machali do nich w sposób wielce życzliwy. Samo miasto również robiło miłe wrażenie. Przypominało Hobartowi muzeum, w którym eksponatami byli ludzie. W przeciwieństwie do jaskrawych barw idealnie geometrycznych budowli, ludzie przejawiali ogromną różnorodność. Ubrani byli w suknie, togi, szale, sutanny, hinduskie szaty, turbany, burnusy oraz ubrania podobne do noszonych przez księcia Alaxiusa i kanclerza Chariona. Jadący na wierzchowcu mężczyzna w naćwiekowanym hełmie i białym płaszczu zбочzył na skraj ulicy. Jego skóra była czarna. Nie przypominała jednak czekoladowej karnacji murzyna, ale raczej czarny jak smoła atrament. Wierzchowiec był chyba odmianą wielbłąda, żółtego, z czarnymi pręgami na całym ciele, jako żywo przypominającymi leoparda.

— Dobry Boże, któż to taki? — zdziwił się Hobart, wskazując na grupę ludzi.

— To? Och, to tylko dzikusy Ikthepeli — wyjaśniła księżniczka. — Przyjechali pewnie sprzedać ryby.

Dzicy stanowili grupę wysokich, żółtych ludzi z płaskimi twarzami i włosami równo obciętymi, jakby przed strzyżeniem włożono im na głowę garnki. Na przedzie stał papa Ikthepeli z włócznią w dłoni i kością osadzoną w malutkim nosie. Z tyłu stała mama Ikthepeli z jednym dzieckiem przewieszonym na plecach oraz piątką małych u boku. Wszyscy byli dość skąpo ubrani.

— Kto to jest Bóg? — spytała Argimanda.

— Hmm... — Hobart zmarszczył brwi. — Zastanówmy się... stwórca i pan wszechświata. Tak przynajmniej twierdzi większość ludzi w moim świecie. Ja osobiście jestem gotów przyznać, że prawdopodobnie istnieje, wątpię jednak, żeby zwracał sobie głowę czymś tak mało znaczącym, jak rodzaj

ludzki.

— Z twojego opisu wynika, że jest to ktoś podobny do naszego Noisa — zauważyła Argimanda. — Ale Nois nie jest obojętny mieszkańcom tego świata. Wprost przeciwnie. Każdy może się z nim zobaczyć, kiedy tylko zapragnie.

— To bóg czy człowiek? — spytał Hobart.

— Jedno i drugie — odparła księżniczka. — Tu skręcamy.

Procesja wtoczyła się w wąską uliczkę i prawie natychmiast stanęła.

— Co się tam dzieje? — krzyknął generał Valangas i zaczął przeciskać się do przodu.

Hobart pociągnął księżniczkę w ślad za wielkim żołnierzem i wkrótce nad i między głowami stojących przed nim osób dojrzał przyczynę postoj. Był to ogromny żółw, podobny do tych z Galapagos, ale trzy albo cztery razy większy. Dziwacznie zniekształcony karzeł, o skórze czerwonej jak pomidor, siedział na krześle przywiązany do pancerza gada. Żółw dokładnie wypełniał swym cielskiem całą szerokość ulicy i kontynuował marsz w przysłowiowym żółwym tempie. Karzeł przechylał się nad oparciem krzesła i machał rękami w geście przeprosin.

— Mówiłem ci Panie, że powinieneś poszerzyć tę ulicę — zwrócił się do króla książę Alaxius. — Szybciej, szybciej! — pokrzykiwał Charion. — Laus, zróbże coś wreszcie!

— Dobrze, dobrze, nie pospieszaj mnie — mamrotał Czarnoksiężnik z Wall Street. — Gdzie moja różdżka? Czy ktoś widział moją różdżkę?

— Masz ją w ręku, ty stary ośle — burknął Charion.

— W ręku? Ach tak, rzeczywiście! — Laus zamachał różdżką i wyrecytował:

Beilavor gofarseir
Nonpato wemoilou
Zishirku zanthureir
Durhermgar faboilou!

Żółw otworzył gębę, zasyczał, błysnął i zaczął się kurczyć. Karzeł zgramolił się ze swojego siedzenia w samą porę, gdyż zmniejszanie zachodziło błyskawicznie i już po chwili żółw miał długość około trzydziestu centymetrów. Karzeł wziął swego pupila na ręce i zapłakał:

— Mój mały żółwik! Co oni z tobą zrobili?

Królewska procesja przeszła obok. Hobart zauważył, że czarnoksiężnik pozostał z karłem. Kiedy już wszyscy ich minęli, usłyszał jak Laus wypowiada kolejne zaklęcie, po którym dało się słyszeć radosny okrzyk karła, z czego inżynier wywnioskował, że gad powrócił do swojego normalnego rozmiaru.

Z wąskiej alejki wyszli na wielki plac, pośrodku którego wyrastały kolejne mury. Kopyły, stożki i przyzmy pałacu królewskiego wystawały znad muru. Bramy były otwarte. Wychodziła nimi procesja kobiet w czerni. Niektóre trzymały liry, uderzając w nie przy akompaniamencie żałobnego lamentu.

— A oto, mój ukochany, twoja przyszła teściowa, królowa Vasalina! — wyjaśniła księżniczka Argimanda.

Rollin Hobart z uśmiechem przyklejonym do ust z trudem przetrzymał drugie rodzinne powitanie i przedstawienie królowej. Zaledwie zdążył zauważyć, że odziana w żałobną czerń królowa Vasalina była dość ładną i całkiem jeszcze młodą kobietą, kiedy Charion pociągnął go za rękaw.

— Pokażę Waszej Dostojności jego apartamenty — rzekł kanclerz.

Przeszli pomiędzy dwoma pylonami wielkości pni sekwoi i minęli wejście, którym z powodzeniem mógłby przepłynąć okręt wojenny. Po pierwszych paru zakrętach Hobart zgubił się w korytarzach, nie zwracał zresztą tak baczej uwagi na kierunek, co na architekturę wnętrza, najwyraźniej taką samą jak ta, w której zaprojektowano fasadę budowli. W pewnym momencie przypomniał sobie, gdzie widział wcześniej struktury przypominające to, co oglądał obecnie. Zbudowane z kamiennych bloków o prostych, geometrycznych kształtach zamknięte w dużym, drewnianym pudełku były prezentem, który otrzymał na ósme urodziny. Tamte klocki również były czerwone, żółte i niebieskie.

Określenie „apartamenty” okazało się być mocno przesadzone. Kanclerz Charion zaprowadził go do pojedynczego pokoiku średniej wielkości. Kiedy uchylił drzwi, przepuszczając Hobarta przed sobą, goleń inżyniera znienacka przeszył gwałtowny ból.

— Auuu! — zawył podskakując na jednej nodze. Pocisk potoczył się jeszcze trochę po podłodze i zatrzymał. Była to metalowa kulka wielkości piłki tenisowej. W pokoju, za armatką, siedział purpurowo włosy chłopiec.

— Wasza Wysokość! — krzyknął do niego Charion. — Wydawało mi się, że Wasza Wysokość miał opuścić swój pokój!

— Nie mam zamiaru go opuszczać — zapiszczał chłopczyk wstając. Hobarta coś zaniepokoiło w jego wyglądzie. Chłopak był wzrostu trzynastolatka, ale proporcje jego ciała, duża głowa i gładkie rysy, charakterystyczne były najwyżej dla sześciolatka.

— To mój pokój — upierał się, tupiąc nóżką.

— No już, dobrze — starał się załagodzić sytuację Charion, lecz w jego głosie słychać było sztuczną słodycz. — Nie chciałbyś przecież, żeby twój nowy brat spał na dworze, prawda?

Oczy chłopca rozszerzyły się w zdziwieniu. Włożył palec do ust i wymamrotał zaskoczony:

— Mój nowy brat? Jak to? Moim bratem jest Alaxius.

— Wiem, ale księżę Rollin Jakiś tam już wkrótce poślubi twoją siostrę i będzie wtedy jakby twoim nowym bratem.

— Nie chcę takiego dziwnego brata — odparł chłopiec. — Niech śpi na dworze. Nic mnie to nie obchodzi.

— Pójdiesz stąd wreszcie, czy mam sprowadzić twojego ojca? — zdenerwował się kanclerz.

Dziecko wyszło powoli bacznie przyglądając się przez cały czas Hobartowi. Charion zamknął za nim drzwi.

— Kto to był? — spytał inżynier.

— Czyżbym zapomniał was sobie przedstawić? To był księżę Aites.

— Myśli pan, że z nim wszystko w porządku?

— W porządku? Nie rozumiem.

— No... ile ma lat?

— Pojutrze skończy trzynaście.

— Cóż... aaa... w pewnym sensie rzeczywiście wygląda jakby miał trzynaście.

— A czegoż pan oczekiwał? Jest przecież jeszcze dzieckiem. Stanie się dorosły kiedy skończy trzynaście lat, czyli pojutrze i ani minuty wcześniej.

— Tam, skąd pochodzę, człowiek dorasta stopniowo — wyjaśnił Hobart.

Charion spoehmurniał.

— Nic nie rozumiem. Albo się jest dorosłym, albo nie. Przepraszam za śmiałość, ale wy, barbarzyńcy macie dziwne zwyczaje.

— Co to ma znaczyć? — rzucił urażony Hobart.

— Ma pan przecież żółte włosy, prawda? — Charion nie kontynuował tematu i otworzył szafę pełną ubrań. — Przepraszam, że nie zdążyliśmy jeszcze przygotować pańskiego pokoju. Teoretycznie zawsze mieliśmy przygotowaną komnatę dla śmiałka, który pokona androsfinksa, ale ponieważ jak dotąd nigdy się to jeszcze nie zdarzyło, całe te przygotowania wkrótce zupełnie wyleciały nam z głowy. Jaki jest pański ulubiony kolor? — Wyciągnął jedną z obcisłych logaiańskich szat. Była czerwona, ale do wyboru pozostawały również: żółte, niebieskie, czarne i białe.

— Co? A... o to chodzi... wolałbym zatrzymać swoje własne ubranie — odparł Hobart.

— To? Mój drogi, to niestety niemożliwe. Nie jest ono ani obcisłe, ani luźne, a ten kolor! Nie potrafiłbym go nawet nazwać. A może wolałby pan suknię?

Hobart spojrzał na mankiety swojej koszuli, których wewnętrzne powierzchnie miały nieregularne, czarne szlaczki, powstające zazwyczaj po paru godzinach noszenia. Ale jeśli do wyboru miał tylko szaty Logaian...

— Pozostanę w swoim ubraniu — rzekł stanowczo.

Charion wzruszył ramionami. Hobart wszedł do łazienki, żeby się umyć. Był mile zaskoczony widokiem dość nowoczesnych urządzeń sanitarnych. Kiedy wrócił do pokoju, Charion siedział w najlepszym fotelu i palił papierosa.

Hobart spojrzał na niego zdumiony. Kanclerz uznał najwyraźniej, że inżynier wpatruje się w niego w niemej prośbie, więc zaproponował:

— Poczęstuj się pan?

Hobart miał w kieszeni dwa cygara, ale stwierdził, że lepiej zachować je na czasy, gdy będzie mógł odprężyć się i w pełni docenić ich smak.

— Chętnie — odparł.

Papieros był dość podłego gatunku.

— Jaki mamy plan? — zapytał Hobart, usiłując przezwyciężyć kaszel.

— Nie wie pan? Zostanie wydany wielki bankiet z okazji ocalenia pańskiej narzeczonej oraz zbliżających się godów. Jutro zorganizujemy królewskie polowanie, a pojutrze święto z okazji urodzin księcia Aitesa.

— Hmm... — Hobart zamierzał właśnie spytać kanclerza o to, w jaki sposób może wypłatać się z tego całego zamieszania, ale w porę zorientował się, że Charionowi nie może chyba ufać. Spytał więc tylko:

— A jak wygląda sytuacja całego królestwa, którego połowę mam otrzymać?

Charion otworzył usta, ale zanim cokolwiek odpowiedział, przez parę sekund delektował się jeszcze papierosem. Potem odparł: — Lepiej. Wszystko dzięki mojej nowej polityce.

— Jakiej znowu polityce?

— Polityce ograniczeń.

— To dobrze. Ale jakieś dokładniejsze informacje, powierzchnia, populacja, zadłużenie państwa i tak dalej?

Charion popatrzył na niego zimno, wymamrotał coś o potrzebie przygotowania się do bankietu, wstał i szybko wyszedł.

Cwany facet i niezbyt uprzejmy, pomyślał Hobart patrząc za oddalającym się kanclerzem i kończąc papierosa. Może Logaia jest darowanym koniem, ale nie zaszkodziłoby mu jednak zajrzeć w zęby.

Z punktu widzenia zamiarów Rollina Hobarta nie sprawiłoby mu to oczywiście żadnej różnicy. Ten pół-świat był całkiem interesującym miejscem. Na tyle też przyjemnym, że warto by było spędzić tu wakacje, gdyby Hobart znajdował się w odpowiednim nastroju do zrobienia ich sobie. Gdyby jego firma nie była aktualnie zawalona zleceniami, gdyby Hoimon przyszedł do niego z rozsądną propozycją interesu... na przykład pracy w charakterze nadzorca robót publicznych... i gdyby... Ale jeśli ktokolwiek myślał, że może go porwać i wepchnąć w głupią bajkę z królem, córką i połową królestwa, no cóż, po prostu najwyraźniej nie znał Rollina.

Snuł nadal swoje rozmyślenia, kiedy w pałacu rozległ się gong. Prawie natychmiast po tym, Charion bez pukania wsunął głowę do jego pokoju.

— Obiad, Wasza Dostojność — powiedział. Nie miał już na sobie czarnego, obcisłego stroju, ale luźną niebieską sukmanę, która Hobartowi wydawała się ubraniem odpowiednim raczej dla dziecka niż dorosłego mężczyzny.

* * *

Sala bankietowa była wielka jak stacja kolejowa. Wszystko odbywało się zgodnie z etykietą. Kiedy ludzie zbliżali się do zajętego przez króla końca stołu, czy raczej nie kończących się meandrów stołów połączonych ze sobą, przechodzili obok podłużnej skrzynki ustawionej na jednej z ław. Była zbyt duża na jakiegokolwiek naczynie i zbyt niska na trumnę. Hobart spytał, co to takiego.

— To koryto obiadowe Valturusa, rusznikarza — odparł Charion z podejrzanym uśmiechem na twarzy. — Jego świńskie maniery nie pozwalają na to, by mógł jeść przy stole z normalnymi ludźmi.

Przed Hobartem pojawił się książę Alaxius z kolejnym pięknisiem u boku.

— Patrz Rhadas, a nie mówiłem? — rzekł do swego wybrańca.

Rhadas potrząsnął głową z niedowierzaniem. Wyciągnął rękę i dotknął ciemnozielonego krawata Hobarta. Inżynier zrobił urażoną minę.

— To prawda, że dawniej niektórzy filozofowie uważali, iż przynajmniej teoretycznie rzecz biorąc, istnieje możliwość występowania kolorów innych, niż te, które my znamy. Ale ponieważ nigdy nie zdołali udowodnić tej tezy, uznano, że jest ona pustą filozoficzną gadaniną przemądrzałych umysłów.

— Widzisz? — delektował się zwycięstwem Alaxius.

— Ach, zanim zapomnę, wszechpotężny książę Rollin zostanie moim szwagrem, przynajmniej tak mówią. Choć prawdę mówiąc to lew wykończył androsfinksa. Rollinie, to mój przyjaciel Rhadas. Nie przejmuj się nim, on też jest esteta.

Hobart znalazł na stole kartkę z napisem:

Książę Rollin Яakiśtam

i uznał, że jest to jego miejsce. Wiedział już, że od tej pory będzie znany pod tym nowym nazwiskiem. Zauważył, że logaiański alfabet złożony był z liter alfabetu greckiego, łacińskiego i cyrylicy. Dopiero w tej chwili zastanowił się, czy cały czas mówił po angielsku? A może tak mu się tylko wydawało? Jeśli jednak rzeczywiście tak było, w jakiś sposób angielski może być językiem Logai?

— Witam, kochany — usłyszał miły głos księżniczki. Z pewną dozą zadowolenia, ale jeszcze większą paniki pomyślał, że zapewne usiadzie ona obok niego.

W czasie gdy zastanawiał się nad odpowiedzią, zagrzmiały fanfary, i król z królową weszli do sali. Wszyscy się pokłonili, a kiedy para królewska usiadła, również goście zaczęli zajmować swoje miejsca.

Hobart zauważył, że Logaianie praktycznie nie rozmawiali przy jedzeniu. Jedzeniu, którym Hobart był wielce zaskoczony. Zamiast ogromnie kosztownych i wytwornych, oblanych wspaniałymi sosami bizantyjskich produktów sztuki kulinarnej, jakich oczekiwał, został uraczony wielką porcją pieczeni, smażonymi ziemniakami, fasolką i ogromną porcją szarlotki na deser.

Inną dziwną rzeczą było zachowanie rusznikarza Valturusa. To tłuste, ciągle uśmiechające się indywiduum siedzące zaledwie parę miejsc od Hobarta, poczekało, aż do jego koryta zostanie nałożonych kilka Porcji pieczeni, a później bezceremonialnie wdrapało się do środka i zaczęło tarzać w jedzeniu.

— Widzę, że Charion nie przesadzał mówiąc, że Valturus ma maniery świni — szepnęła Hobart do Argimandy.

— Rzeczywiście — uśmiechnęła się księżniczka. — Ale musisz uważać na słowa Chariona, szczególnie gdy mówi o sprawach wagi państwowej. A swoją drogą, kiedy tak obserwuję naszego przyjaciela Valturusa muszę przyznać, że wygląda bardzo dobrze jak na człowieka, który wkrótce

zostanie zrujnowany.

— Przez kogo?

— Przez nas, to znaczy rządzących — odparła wskazując na królewską rodzinę łatwą do odróżnienia dzięki czerwonym czuprynom odcinającym się w czarnowłosym tłumie, oraz ministrów siedzących w rzędzie po przeciwnej stronie od królewskiego końca stołu.

— Dlaczego?

— Och, nie robimy tego rozmyślnie, ale jego interes nie zdoła się utrzymać po rozwiązaniu armii.

— Rozwiązaniu... dlaczego? — Hobart zmarszczył brwi.

— To pomysł Chariona. Mówi, że trzeba ograniczyć wydatki, a poza tym powinniśmy świecić przykładem przed innymi.

— Czyżby ten świat był na tyle spokojny, że możecie sobie pozwolić na jednostronne rozbrojenie?

— Wprost przeciwnie, barbarzyńcy...

W tym momencie królowa Vasalina siedząca po drugiej stronie księżniczki dotknęła ramienia dziewczyny. Hobart usłyszał sceniczny szept królowej:

— Argimando, kochanie, Gordius chciałby wiedzieć, czy twój młody oblubieniec przygotował już mowę.

Mowę! Hobart zupełnie o tym nie pomyślał. Nie miał zielonego pojęcia, czego od niego oczekują. Właściwie domyślał się, że chcą, by wygłosił typową w takich sytuacjach gadkę, podczas gdy on z przyjemnością wysłałby ich do diabła... Niestety, z oczywistych przyczyn nie mógł tego zrobić...

Król Gordius przełknął ostatni łyk wina i wstał ze swego miejsca.

O, kurczę, pomyślał Hobart, muszę coś wymyślić i to szybko...

— ...tak więc, panie i panowie z Logai, potężny śmiałek, szczęśliwy konkurent do ręki księżniczki opowie wam, w jaki sposób nieznanemu nikomu barbarzyńca, dzięki wielkiej mądrości i nieustannym wysiłkom, osiągnął władzę, która dała mu możliwość ocalenia naszej kochanej księżniczki i która sprawiła, że stał się godzien, a nawet więcej niż godzien, wpisania go w poczet bohaterów, jakim jest rodzina Xerophi, której jesteście... he... godną reprezentacją. Ale teraz już, panie i panowie, przedstawiam wam wielkiego i niezrównanego KSIĘCIA ROLLINA!

Aplauz był imponujący. Król uśmiechnął się z zadowoleniem i usiadł. Hobart z dość dużym wysiłkiem zmusił swoje nogi do podniesienia reszty ciała.

— Ja... — zaczął, lecz silny wybuch oklasków przerwał dalszą wypowiedź.

— Ja... — znów rozległ się grzmot braw.

— Ja... — przerwał na chwilę, ale, niestety, tym razem oklasków nie było. Rzucił okiem w stronę króla i wiedział już dlaczego: Gordius przyłożył palec wskazujący do ust i znacząco mrugnął okiem do niego. Inżynier wciągnął haust powietrza w płuca i tak rozpoczął swą opowieść:

— Dziękuję, panie i panowie z Logai. Chyba powinienem był zacząć od tego, że moja inwencja na dzień dzisiejszy została już wyczerpana w potyczkach słownych z androsfinksem. Tak czy inaczej, jestem bardziej biegły w posługiwaniu się ołówkiem i suwakiem logarytmicznym, niż językiem. Dlatego ufam, że... nie weźmiecie mi za złe jeśli... eee... Jeśli ciekawi jesteście, w jaki sposób nabyłem wiedzę, która dała mi możliwość rozwikłania zagadki potwora, to najlepiej chyba będzie, jeśli odeślę was do dzieł Ogdena, Richardsa, Brouwera, Tarskiego i innych czołowych przedstawicieli współczesnej logiki. Mógłbym, oczywiście, streścić wam ich podstawowe doktryny, tylko że po pierwsze, zajęłoby to całą noc, a po drugie, nie przeczytałem osobiście żadnej z tych książek. Jeśli jednak chcielibyście... eee... No, ale żeby nie przedłużać mojego krótkiego przemówienia, spytam was jeszcze, czy wiecie, jak do tego doszło? No właśnie, oto jest pytanie, panie i panowie! A jak brzmi odpowiedź? Zaraz ją zdradzę. Otóż, muszę wam wyjawić, szczerze i otwarcie, że nie będąc w stanie określić tego z odpowiednią dozą dokładności, obawiając się rzucenia niewłaściwego światła na sprawę i nie chcąc zboczyć z zawitych ścieżek rzetelności oraz prawdy, po których zawsze miałem zwyczaj chadzać, doświadczam pewnej naturalnej niepewności w nadaniu językowego wyrazu opinii, której słuszność mogłaby być interpretowana w

nieodpowiedni sposób! Dziękuję. — Rollin Hobart usiadł.

Przez chwilę jeszcze trwała cisza, po czym rozległy się brawa, z początku ciche, z czasem przechodzące w owację. Hobart lekko się uśmiechnął. Albo goście byli zadowoleni ze zwięzłości przemówienia, albo raczej miał do czynienia z przypadkiem kompletnego niezrozumienia jego wypowiedzi.

Na szczęście nie było już więcej przemówień. Na scenie pojawiła się para artystów. Dziewczyna, ubrana w przezroczysty materiał bardzo słabo kryjący jej wdzięki, trzymała w ręku lirę. Jej partner, wielki chłop przyodziany w hełm z piórkiem i dzierżący w dłoni dzidę, wykonywał w czasie śpiewu nieskoordynowane ruchy przypominające gimnastykę zdrowotną. Piosenka była spokojna i mało skomplikowana.

Hobart był niewymownie szczęśliwy, że bankiet zaczął się już na dobre. Kiedy jednak księżniczka chwyciła jego dłoń i pociągnęła za wychodzącym królem i królową, ogarnęła go obawa.

Szli przez wiele korytarzy i pokoi, zanim dobrnęli do średniej wielkości, słabo oświetlonej komnaty z wielką sofą. Król i królowa przystanęli. Gordius położył swą pulchną dłoń na ramieniu Hobarta i powiedział:

— Sądziłem, że będziesz wolał, żebym nie organizował wykwintnego bankietu z prawdziwego zdarzenia, chłopcze. Niektóre królestwa wydają takie bankiety, a później ich śmiałkowie nie nadają się już do niczego. Kiedy człowiek spędzi cały dzień na walce ze smokiem, nie ma ochoty hulać przez całą noc.

— Słusznie — odparł niepewnie Hobart.

— Jutro będziesz musiał wstać wcześniej, żeby zdążyć na polowanie na wielkiego zwierza.

— Co? A... tak, pewnie.

— No to załatwione! Jeśli potrzeba ci czegokolwiek, albo jeśli chcesz coś wiedzieć...

— Gordius! — przerwała królowa Vasalina. — Nie zamęczaj chłopaka. Nie widzisz, że chcą zostać sami?

— He, he, chyba masz rację. No to, dobranoc, Rollinie. Wiesz, co masz robić. — Król Gordius dał Hobartowi kuksańca w zębra, szeroko się uśmiechając. Hobart patrzył przerażony, jak królewska para opuszcza komnatę. Stojąc przy drzwiach uśmiechnęli się do niego jeszcze raz i wyszli. Serce podskoczyło Hobartowi do gardła.

Księżniczka Argimanda usiadła na jednym końcu kanapy z nogą podwiniętą pod siebie. Była śliczna, ale Hobart powtarzał sobie: Nie oświadczę się, nie oświadczę się...

— Rollinie — odezwała się dziewczyna. — Nie chcesz usiąść?

Ta prośba wyglądała bardzo nieszkodliwie, więc spokojnie usiadł. Przypomniał sobie, że niektóre dziewczyny nie cierpią zapachu cygar. Wyciągnął więc jedno.

— Mogę? — zapytał.

— Oczywiście, kochanie.

Odgryzł końcówkę i zapalił. Kiedy już cygaro rozpałiło się na dobre, spytał:

— Gdzie się podział twój przyjaciel lew?

— Niedługo powinien tu być, chociaż nie wiem dokładnie kiedy. Nie ma w ogóle poczucia czasu, dlatego zawsze mówi w czasie teraźniejszym.

Zapadła cisza.

— Miałeś nadzwyczajne przemówienie, Rollinie — odezwała się Argimanda, przerywając niezręczną ciszę.

— Dzięki. Mnie nie wydało się szczególnie dobre — odparł Hobart.

— Nie powiedziałam, że było dobre, kochanie.

— Aaa... To znaczy, że było nadzwyczaj beznadziejne?

— Nie. Było nadzwyczajne, bo nie mogłam z niego nic zrozumieć — wyjaśniła. Hobart spojrział na nią karcąco, więc dodała: — Moja chrzestna wróżka dała mi w prezencie inteligencję. Pomimo to, z tego co zrozumiałam, uważam że ostatnia część twojej wypowiedzi po krotce dałaby się streścić słowami „nie wiem”.

— Zgadza się — uśmiechnął się Hobart. — Ale o co ci chodziło z tą chrzestną wróżką? Czy to

jakaś metafora?

— Eeee... co? Twoja mowa różni się od czystego języka logaiańskiego, ponieważ nie ma w nim takiego słowa.

— Jesteś pewna?

— Raczej tak. Wydałam słownik tego języka — odparła spokojnie księżniczka.

— Byłam ciekaw, czy naprawdę macie chrzestne wróżki i całą tę resztę?

— Oczywiście! Przecież, jeśli istnieje takie słowo, to rzecz, którą opisuje, musi również istnieć. Znam swoją wróżkę bardzo dobrze. Nazywa się Kyzikeia i odwiedza mnie każdego roku w dniu urodzin, żeby sprawdzić, co u mnie nowego.

— A jeśli chrzestna wróżka obdarzy cię jakąś nową cechą, jak na przykład inteligencją, czy masz już ją przez całe życie?

— Naturalnie! Na przykład Alaxius otrzymał cechę samolubstwa i powierzchowności. Dlatego właśnie oprócz jego dawnych cech wyraźnie daje się zauważyć samolubstwo i powierzchowność. Biedny Charion nie miał tyle szczęścia. Dostał neurozę, drażliwość i zakłamanie.

— Dlatego ostrzegęłaś mnie przed zbytnim zaufaniem do niego?

— Tak, ale to nie znaczy, że kłamie cały czas. Taka doza zakłamania w jednej duszy byłaby niepraktyczna. Zazwyczaj we wszystkich ważniejszych kwestiach można jednak na nim polegać.

— Dlaczego w takim razie twój ojciec go zatrudnia? — spytał Hobart.

— Ponieważ mój ojciec otrzymał dar uprzejmości i niezależnie od tego, co powiedzą ludzie o Charionie, Charion może zawsze wkupić się ponownie w łaski ojca.

Hobart zadumał się, a po chwili powiedział:

— Kiedy próbowałam pociągnąć go za język...

— Słucham? — przerwała mu księżniczka.

— Dowiedzieć się czegoś na temat królestwa — poprawił się — natychmiast ucichł.

Argimanda przez chwilę zastanawiała się, nim wyjaśniła:

— Ma jakiś plan. Nie wiem jeszcze jaki, z pewnością związany z projektem rozbrotu, ale obawia się ciebie i najchętniej chciałby cię odstraszyć. Najbardziej logicznym sposobem dokonania tego byłoby powiedzenie ci, że królestwo jest bliskie bankructwa i w każdej chwili mogą na nie napaść barbarzyńcy. Ale, niestety, jest to prawda, a Charion nie mógłby przecież powiedzieć prawdy w tak istotnej sprawie. Dlatego jedyne co mógł zrobić, to milczeć.

Też mi nagroda dla śmiałka, pomyślał Hobart i cicho westchnął.

— Rollinie, czy nie powinniśmy zacząć rozmawiać o datach i tych wszystkich formalnościach?

— Miękki głos Argimandy przebił się przez dym z jego papierosa.

— Nie — odparł zdecydowanie. — Nie chciałbym być brutalny, ale nie mam zamiaru prosić cię o rękę. — Spojrzał na nią i zauważył, że jej niebieskie oczy rozszerzają się w zdziwieniu. — Cholernie cię przepraszam, ale mam swoje plany i nie ma w nich miejsca na żonę.

Niebieskie oczy wypełniły się łzami, ale dziewczyna nie wybuchła płaczem. Łzy spływały po policzkach powoli i z wahaniem w pewnych odstępach jedna za drugą.

— No już, już — Hobart starał się ją uspokoić. — Nie jest tak źle. Słuchaj, ja przecież zupełnie nie pasuję do tego świata. Mam swój własny świat i swoje własne życie.

— Jestem pewna, że gdybyś dał mi szansę, to w każdym świecie dałabym ci szczęście — odparła spokojnie dziewczyna.

— Ale... dobry Boże, nie mogę się w tobie zakochać. Znam cię od paru godzin!

— Kocham cię! — wyszeptala księżniczka.

— Na miłość boską, dlaczego? W jaki sposób?

— Księżniczka z a w s z e zakochuje się w swoim wybawcy. Kiedy zobaczyłam, że to ty nim jesteś, nic już nie mogłam na to poradzić — to mówiąc westchnęła. — Ale, dziwny człowieku, jeśli mnie nie chcesz, nie mogę cię do niczego zmuszać, ponieważ cię kocham i nie zrobiłabym nic, co mogłoby cię unieszczęśliwić. Czego w takim razie pragniesz?

Hobart zawahał się, a po chwili odpowiedział:

— Podam ci jeden powód, dla którego nie mogę się z tobą ożenić, Argimando. Jesteś piękna, inteligentna, miła i właściwie idealna. I to jest właśnie problem. Jesteś zbyt idealna. Dostałbym

przez ciebie kompleksu niższości.

— Nie musisz szukać wymówek, mój niedoszły mężu. Czego w takim razie pragniesz?

— No cóż, przede wszystkim chciałbym wrócić do mojego świata. Oznacza to, że najpierw trzeba znaleźć Hoimona i zorganizować moją ucieczkę z Oroloi. Należy przy tym zaznaczyć, że dobrze by było, gdyby nie złapał mnie przy tym Theiax.

— Dlaczego?

— Obiecał mnie zjeść, jeśli spróbuję jakichś sztuczek.

— Niech więc tak się stanie, mój książę. Zrobię, co będę mogła.

— Okay! Będę bardzo zobowiązany. Aha, lepiej żebyś też nie mówiła nic królowi. Powiedz mu, że nam się nie spieszy, dobrze?

— Dobrze.

— Świetnie. W takim razie pójdę już sobie. Dobranoc.

— Żegnaj. — Łzy coraz szybciej płynęły po jej policzkach. Hobart szybko wyszedł z pokoju i prawie pędem pobiegł do siebie.

Kiedy wskazówki zegarka Hobarta przesunęły się dokładnie na szóstą rano, drzwi jego sypialni się otworzyły i pojawiła się w nich trąbka, która natychmiast rozpoczęła swoje ogłuszające *trata-taa-trata-taa-trata-taa*. Uderzenie dźwięku było tak silne, że zszokowany Hobart o mało nie spadł z łóżka. Kiedy walące z szybkością karabinu maszynowego serce zwolniło wreszcie galop, a wzrok rozjaśnił się na tyle, że zaczął poznawać otoczenie, krzyknął:

— Cisza!

Cisza rzeczywiście zapadła, i w drzwiach pojawiła się czerwona od dęcia twarz trębacza.

— Wasza Dostojność...

— Wynocha! — wrzasnął Hobart, szukając buta, którym miał zamiar dosięgnąć przeciwnika.

— Wasza Dostojność, polowanie!

— Aaaa! — Hobart ziewnął. — Przepraszam.

Cały oddział wszelkiej maści służących wkroczył teraz do pokoju niosąc śniadanie. Szybko coś zjadł i zanim się zorientował, został ogolony, umyty i ubrany, choć starał się niezdarnie zrobić wszystko samemu.

Łowcy zbierali się już przed głównym wejściem do pałacu. Hobart z zadowoleniem zauważył, że w krzykliwym tłumie Logaian nie ma pochmurnego kanclerza, a za to jest tam krzepki, czarnobrody generał Valangas.

Król poklepał Hobarta po plecach, ujął pod rękę i zaczął przedstawiać różnym hrabiom i innym szlachcicom, których nazwiska już wkrótce wyleciały z pamięci inżyniera. Cały czas towarzyszył im siedzący na koniu mężczyzna, który, jak wyjaśnił mu król, zwał się Psambides i był koniuszym królewskim. Za mężczyzną uganiała się grupa stajennych trzymających na uwięzi konie. Król spojrział z dumą na swego przyszłego zięcia i rzekł:

— Wybrałem specjalnie dla ciebie Xenthopsa, synu.

— Kogo, Wasza Wysokość?

— Mów mi Ojczy. Xenthops to barbarzyński i narowisty ogier. Żeby na niego wsiąść trzeba nie lada śmiałka, nie mówiąc już o jeździe. He, he.

Hobart właśnie otworzył usta, żeby zaprotestować i wyjaśnić, że z niego raczej kiepski jeździec, ale zauważył, że wszyscy wskoczyli już na swoje siodła i pozostał tylko jeden koń, wielki, czarny potwór wpatrujący się uparcie w jeden punkt. Inżynier zorientował się, że jakiegokolwiek zmiany wierzchowców w tej chwili spowodowałyby wielkie zamieszanie. Zresztą, prędzej szlag go trafi, niż pozwoli temu głupiemu koniowi...

Kiedy podszedł do Xenthopsa, koń odsłonił równy rząd białych, wielkich siekaczy i wysunął je niepewnie w kierunku Hobarta. Inżynier ostrożnie poklepał ogiera po pysku.

— Zachowuj się! — powiedział.

Oczy Xenthopsa otworzyły się jeszcze szerzej. Potrząsnął nerwowo głową i nieznacznie podrobił kopytami w miejscu. Hobart szybko wskoczył na niego i przycisnął tak mocno udami, jak tylko zdołał. Xenthops wyraźnie się zdenerwował, ale nie poczynił żadnych nieprzyjaznych ruchów. Inżynier stwierdził, że koń będzie mu posłuszny tak długo, jak długo będzie uznawać jeźdźca za istotę wyższą. Jeśli jednak on choć raz okaże wahanie lub niepewność, Xenthops od razu to wyczuje, zrzuci go z siebie i prawdopodobnie z rozkoszą stratuje.

W tej chwili pojawił się również wierzchowiec króla: nakrapiana bestia przypominająca wyglądem wielbłąda skrzyżowanego z leopardem, podobna do tej, którą Hobart widział poprzedniego dnia w Oroloi. Sir Jakiśtam wyjaśnił Hobartowi: „To królewski wilebłądopard”.

Dookoła pojawiało się coraz więcej sług z dzidami i muszkietami, które wręczali myśliwym. Kiedy przyszła kolej na Hobarta, wziął strzelbę, róg z prochem i sakiewkę z kulami.

Wyjeżdżali właśnie przez bramę pałacową, kiedy nagle głośnie wiwaty sprawiły, że Hobart odwrócił się w siodle i spojrział za siebie. Na końcu procesji toczyło się zaopatrzone w koła i ciągnięte przez konie działo, otoczone oddziałem ubranych w spódniczki żołnierzy dowodzonych przez generała Valangasa. Zwierzyną, na którą mieli polować, z całą pewnością nie były myszy.

Hobart chciał zadać parę pytań, ale rozmowa i kierowanie narowistym koniem nie jest łatwą kombinacją. Poza tym postanowił przez cały czas wypatrywać szansy ucieczki i trzymać bestię, na której siedział, pod fizyczną i psychologiczną kontrolą.

Po godzinie jazdy szachownica pól uprawnych z typową już gwałtownością ustąpiła miejsca falującej, dzikiej sawannie. Po kolejnej godzinie Psambides zatrzymał wyprawę podniesieniem ręki i zaczął rozdzielać zadania, zupełnie jakby była to co najmniej operacja wojskowa. Hobart został przydzielony do czteroosobowego oddziału mającego na celu prowadzenie rozpoznania. Należało spiąć konie, które chciały trochę poskubać długą, smaczną trawę. Oddział został podzielony na dwa patrole.

— Mamy przeszukać łożysko Keio. Po godzinie wracamy tutaj na spotkanie — poinformował Hobarta Sphindex, szczupły, młody Logaiańczyk, towarzyszący mu w wyprawie.

— To jakaś rzeka? — spytał niewinnie Hobart.

— Oczywiście.

— A jak się nazywa zwierzę, na które polujemy i jak wygląda?

Sphindex spojrzął na niego ze zdziwieniem.

— Chcesz przez to powiedzieć, że jeszcze nigdy nie polowałeś? — zapytał.

— Dokładnie.

— Na żadnego zwierza?

— No może parę.

— Ależ... ależ mój drogi książę, jak udało ci się przetrwać?

— Jakoś mi się udało. — Temat polowania najwyraźniej nie wydawał się być zbyt obiecujący do dalszej rozmowy. — Czy znasz ascetę o imieniu Hoimon?

Brwi Sphindexa podjechały do góry.

— Czy ja znam ascetę? Dobry Noisie, nie! Oni przecież nie polują.

— A jaskiniowcy? — dopytywał się Hobart.

— Mieszkają sobie w Górach Stożkowych, to wszystko. Nigdy żadnego nie widziałem. Gordius nie pozwala nam na nich polować, chociaż zupełnie tego nie rozumiem. Przecież oni tak naprawdę nie są ludźmi. Patrz, przed nami Keio — wskazał włócznią ciemną smugę na horyzoncie.

Kiedy przejechali jeszcze kilka pagórków, dojrzeli łożysko rzeki otoczone kępami krzewów i drzew.

Sphindex natychmiast się ożywił. Pogonił konia do wąwozu i zaczął spoglądać przez ścianę zarośli na okolicę rzeki. Jadący za nim znacznie wolniej Hobart dotarł do niego akurat w momencie, gdy tamten się wycofywał.

— Za mną! — krzyknął entuzjasta polowań. Xenthops obrócił się bez ostrzeżenia i nie pytając Hobarta o zgodę pogalopował za koniem Sphindexa.

— I co, znalazłeś zwierza? — zawołał inżynier.

— Nie tutaj! — krzyknął Sphindex. — Ale jeden z nich musi pić właśnie wodę w górze strumienia!

— Skąd wiesz?

— Nie żartuj. Jakie inne zwierzę wypiłoby rzekę do sucha?

Hobart oszczędzał płuc na czas, gdy będą doganiać główny oddział polujących, który teraz puścił się galopem w kierunku znajdującym się pod małym kątem od tego, z jakiego przybyli zwiadowcy. Tuż za jeźdźcami głośno podskakiwała armata, a za nią toczył się jaszcz z amunicją.

— Wasza Dostojność! — koniuszy królewski zwrócił się do Hobarta. — Powinien pan dołączyć do oddziału artylerii.

— Dobrze, ale co ja mam tam właściwie robić?

— Proszę zostać z królem i robić to samo, co on — doradził Psambides i oddalił się.

Jeźdźcy ustawili się szerokim frontem z armatą w samym środku linii. Stanęli na ostatnim wzgórzu przed Keio, trochę bardziej w stronę góry rzeki. Armata i pociski zostały ustawione na szczycie wzgórza, a zaprzęg odwiązany i odprowadzony na stronę. Dopiero teraz Hobart mógł lepiej przyjrzeć się działu. Miało cylindryczną, nie zwężającą się lufę. W Logai najwyraźniej brakowało admirała Dahlgrena. Zamiast śruby ustawienia pionowego miało prymitywny

mechanizm zaopatrzony w przesuwną dźwignię. Działonowi ubili proch, po czym wepchnęli kulę. Valangas osobiście wypełnił zapal.

Hobart nie mógł nic dojrzeć, gdyż rzekę przesłaniały mu drzewa, widział jedynie słońce odbijające się od metalowych części uprząży łowców, zamykających część koryta znajdującą się przed armatą.

— Synu! — zawołał król Gordius z wysokości swego wielbłądoparda. — Cofnij się! Jesteś na linii ognia!

Hobart zmusił swego konia do odjechania w kierunku otaczającej króla grupy Logaian z włóczyniami i muszkietami, i w tej samej chwili do jego uszu doszedł od strony rzeki odgłos siorbania i wysysania. Co chwila słychać było głośnie pluśnięcia jakiejś ogromnej istoty, gramolącej się prawdopodobnie z błota. Nad wierzchołkami drzew pojawił się szaroczarny grzbiet.

Myśliwi znajdujący się najbliżej zwierzęcia zaczęli się teraz cofać w popłochu. Drzewa zatrzeszczały. Jedno z nich zwało się z łoskotem i oczom łowców ukazało się zwierzę.

Pierwszą reakcją Hobarta była myśl: I to ma być to zwierzę? Istota posiadała ciało słonia, co prawda dość wyrośniętego, bo co najmniej dwa razy większego od typowego, długi, gruby ogon oraz głowę powiększonego hipopotama. Z nosa wyrastała jej para rozchodzących się na boki rogów. Wielkość zwierzęcia mogła być rzeczywiście przerażająca, ale jego wygląd nie dawał żadnych podstaw do zwracania nań szczególnej uwagi.

Bestia zainteresowała się grupką jeźdźców przejeżdżających obok kępy krzaków za drzewami. Jak tylko ich spostrzegła, zaczęła ciężko stąpać w ich kierunku. Dało się słyszeć wystrzały muszkietów i jeźdźcy uskoczyli galopem w prawo, w górę rzeki, zostawiając za sobą białe obłoki kurzu wiszące w nieruchomym powietrzu, jak atramentowe chmury zostawiane przez uciekające kałamarnice.

Zwierzę, którego najwyraźniej nie dosięgły muszkiety, ruszyło za nimi, wystawiając prawy bok na strzały armatnie. Jeden z jeźdźców spadł z konia, ale szybko wstał i zniknął w zaroślach. Krzyk Valangasa zmusił Hobarta do odwrócenia się o sto osiemdziesiąt stopni.

— Hej! — grzmiał generał. — Ty tam, Jakiśtam, z drogi!

Hobart posłusznie uczynił, czego od niego żądano, cwałując w kierunku grupki formującej się przy królu. Później, kiedy celowniczo starając się utrzymać bestię na muszce, obracali działo, król wraz z całą swą gromadką musiał zatoczyć wokół niego koło, aby uciec z linii ognia.

— Już! — powiedział jakiś głos.

Hobart spojrział na bestię, która przechodziła właśnie obok wzgórza, na którym stało działo. Poruszała się z zaskakującą szybkością i dosłownie rosła teraz w oczach w takim tempie, że wprowadzało to wszystkich w stan paniki. Wydawało się, że zwierzę ma co najmniej piętnaście metrów wzrostu, chociaż w rzeczywistości nie miało nawet połowy tego.

Armata wystrzeliła gdzieś po lewej stronie. Hobart uchwycił kątem oka smugę dymu, usłyszał uderzenie kuli trafiającej zwierzę i dojrzał, jak czarna plamka odbija się od ciała niedoszłej ofiary i szybuje w niebo. Zwierzę zbliżało się szybko cwałując.

W tej samej chwili wokół Hobarta odezwały się muszkiety, najpierw jeden albo dwa, a potem wszystkie pozostałe w jednej salwie. Inżynier nie miał wcześniej sposobności bliżej przyjrzeć się swojej strzelbie. Dopiero teraz ocenił, ku swemu przerażeniu, że jest to rodzaj rusznicy i że mała, nasmarowana smołą żyłka prowadząca od szpulki znajdującej się po lewej stronie łożyska do zatrzasku zastępującego kurek, nie została nawet podpalona. W pewnym momencie dym czarnego prochu buchnął mu prosto w oczy. Poczul, że Xenthops pod nim ruszył, na początku małymi, nerwowymi kroczkami, później coraz szybciej. Zanim otworzył oczy, usłyszał jeszcze tylko wstrząsające ziemią uderzenia kroków potwora.

Najpierw dostrzegł uciekających na piechotę strzelców oraz myśliwych na koniach. Następnie zauważył króla Gordiusa, który toczył się po żółtej trawie w stronę rzeki, jak ktoś, kto wypadł właśnie z ekspresu znajdującego się w pełnym pędzie. Uwolniony wielbłądopard brykał bezładnie, oddalając się coraz bardziej, aż wreszcie zniknął między drzewami. Jedno spojrzenie na bestię wystarczyło, aby upewnić się, że ona również patrzyła na króla. Prawdę mówiąc, nie tylko patrzyła, ale również biegła w jego kierunku.

Hobart pomyślał, że gdyby udało mu się zapanować nad Xenthopsem zapewne pierwszy doskoczyłby do Jego Wysokości. Jeśli ten gruby, stary głupiec chciał sprowokować pięćdziesięcotonowe bydlę do stratowania go, to z całą pewnością był teraz na najlepszej drodze do osiągnięcia celu i w takim przypadku inżynier nie powinien się do tego wtrącać... ale tak czy inaczej, zdążył już zmusić konia do cwału w stronę króla, który właśnie zakończył tarzanie się w trawie i próbował powstać. Podniósł rękę, dzięki czemu Hobart mógł pochylić się, pochwycić go i wciągnąć na siodło przed sobą. Niestety, sztuczka nie wyszła. Gordius co prawda mocno chwycił Hobarta za nadgarstek, podciągnął się i... Hobart ruchem jednostajnie przyspieszonym opuścił siodło i znalazł się na głowie króla.

Król zapiszczał, gdyż lufa muszkietu utkwiała dokładnie w jego uchu. Kiedy jednak zauważył zbliżającą się w błyskawicznym tempie bestię, zapomniał o bólu. Czym prędzej podnieśli się obaj i rzucili w las jak oszalałe króliki. Potwór pognał za nimi. Powalając Pnie drzew nieudolnie przedzierał się przez gąszcz, ale chyba zaniechał pościgu, bo nagle zawrócił i ruszył z powrotem na opuszczone działo.

Rollin Hobart i król Gordius leżąc w zaroślach odetchnęli z ulgą.

— Czy widzisz, co on robi, synu? — spytał król. Hobart nieznacznie uniósł głowę.

— Tratuje armatę. — Trzask łamanego drewna potwierdził jego słowa, a laweta armaty przybrała nadzwyczaj płaski kształt. — O Boże, zjada armatę!

— Dziwne — zastanawiał się głośno król. — Wydawało mi się, że jada tylko trawę. A teraz?

— Chyba ma problemy z przełknięciem... No, już sobie poradził. — Usłyszeli donośne beknięcie bestii, która szybko oddaliła się za wzgórze. Dało się jeszcze słyszeć parę wystrzałów muszkietów i kilka przerażonych okrzyków, po czym zapadła cisza.

— Lepiej zacznijmy szukać naszych wierzchowców — zaproponował król, podnosząc się z pewnym wysiłkiem z ziemi. Nagle rozległ się niedaleki świst.

— Co do... — zaczął król. Kolejny świst i w pień stojącego obok drzewa wbiła się strzała, zaledwie piętnaście centymetrów od nosa Jego Wysokości.

Gordius obrócił się do Hobarta z przerażeniem w oczach.

— Ktoś do mnie strzela! — zauważył drżącym głosem.

— Kryj się! — krzyknął Hobart. Ledwo król zdołał wykonać polecenie Hobarta, trzecia strzała śmignęła między liśćmi drzew.

— Jak to się obsługuje? — spytał Hobart teatralnym szeptem wskazując na muszkiet. — Czy to jest w ogóle naładowane?

— Jest, jeśli z niego nie strzelałeś — odparł król. — Zastanówmy się... musisz zapalić lont, o, ten tutaj.

Hobart uczynił to posługując się zapalniczką.

— Cały proch się wysypał, kiedy spadłeś z Xenthopsa. Musisz więc jeszcze raz załadować, o, w ten sposób, i wyrównać kciukiem. Potem zamykasz panewkę. Musisz od czasu do czasu podpalać lont, żeby nie zgasł. Hola, nie tak ostro, zaraz zapalisz proch.

Hobart ostrożnie wymierzył muszkiet w miejsce, z którego dolatywały strzały, przyglądając się uważnie zielonej, a właściwie niebieskiej roślinności. Strzelba ważyła ponad dziesięć kilo i Hobartowi udawało się utrzymać ją tylko dzięki temu, że leżał.

— Ma pan szablę albo włócznię? Mam zamiar strzelić, a potem rzucić się na faceta — powiedział szeptem.

— Zgubiłem, kiedy spadłem — odparł Gordius. — Użyj kolby muszkietu.

Na lufie była tylko muszka, bez szczerbinki. Hobart wycelował najlepiej, jak tylko potrafił. Dostrzegł jakiś ruch w zaroślach i nacisnął spust. Strzelba zaryczała. Dym buchnął na liście. Kolbą rzuciło, jakby ją kopnął muł, a prawy kciuk z ogromną siłą trafił go w nos. Hobart ujrzał teraz równie wiele gwiazd co drzew, ale mimo bólu wyskoczył z krzaków i rzucił się przez zarośla w kierunku przeciwnika, obracając muszkiet i trzymając go jak broń obusieczną.

Nie dopadł jednak sprawcy. Przez kilka minut przebiegał teren w poszukiwaniu ofiary, lecz tylko znalazł coś ciemnego leżącego na niebieskiej darni. Była to peruka z czarnych, krótkich włosów.

Kiedy król Gordius zobaczył tę zdobycz, zmarszczył brwi.

— Nie mam pojęcia, kto ją mógł nosić. Dobry Noisie, co się stało z twoim nosem?

Faktycznie obiekt zainteresowania był spuchnięty i czerwony od krwi.

Hobart wyjaśnił co się stało i dodał poirytowany:

— Jeśli chce pan polować na dzikie bestie, Wasza Wysokość, po co zawracać sobie głowę całą tą zabawą z muszkietami, końmi i kupą niepotrzebnych przedmiotów? Proponuję wziąć jeden z magicznych parasoli Lausa, zlokalizować ofiarę z powietrza i poprosić pańskiego czarnoksiężnika o zmniejszenie bestii do rozmiarów kieszonkowych.

— Polowanie przy użyciu magii jest niezgodne z zasadami gry — wyjaśnił król. — Jako prawy władca, nie mogę pogwałcać praw, które sam ustanowiłem, nieprawdaż? Poza tym jest to niewykonalne. Zwierzęta świetnie wyczuwają magię i jeśli chciałbyś wykorzystywać ją w ich bliskości, uciekną, zanim zdołasz je w ogóle zauważyć.

Kiedy ruszyli w kierunku pozostałych uczestników polowania, Uprzejmy Monarcha powiedział:

— Ocaliłeś moje życie, Rollinie. Muszę cię w jakiś sposób wynagrodzić. Masz już moją córkę i połowę królestwa. Co powiesz na koronę szlachecką?

— W porządku — wydusił z siebie Hobart. Pierwsza rzecz, która po powrocie do Nowego Jorku będzie miała jakąś wartość.

Przestraszony Psambides odnalazł ich wreszcie po godzinnym poszukiwaniu. Późnym popołudniem byli już wszyscy myśliwi. Generał Valangas pokiwał smutno głową, kiedy usłyszał, co przydarzyło się armacie.

— To był nasz najnowszy model — skomentował wydarzenie, a po chwili dodał: — Ale to nie ma znaczenia. I tak zostałaby przetopiona w czasie rozbrojenia.

Hobart zauważył, że rusznikarz Valturus nie był jedyną osobą, przejawiającą podejrzaną zadowolenie z projektu, który miał zagrozić jego bytowi. Nie mógł się więc powstrzymać od uwagi:

— Wydawało mi się, że generał taki jak pan będzie chciał utrzymać armię?

Valangas wzruszył ramionami.

— Pewnie, że tak, ale nasz kanclerz przekonał mnie, że wojny nigdy niczego nie rozstrzygają, więc czemuż mielibyśmy walczyć? Poza tym, to nowe odkrycie, proch, prawdopodobnie wkrótce zakończy wszelkie wojny, gdyż staną się one tak straszne, że nikt nie będzie chciał walczyć. Ale cóż to stało się z twoim nosem?

Hobart opowiedział mu całą historię. Generał parsknął śmiechem, a kiedy wreszcie udało mu się nieco uspokoić, spytał:

— Złamany?

— Chyba nie — odparł inżynier, delikatnie obmacując nos, który na szczęście przestał już krwawić.

— To dobrze — zagrział Valangas, klepiąc Hobarta po przyjacielsku w plecy. — Zobaczymy się w takim razie na turnieju. Obiecałem sobie, że powalczę z tobą na lance.

— Jakim turnieju? — Hobart poczuł, że jak zwykle dowiaduje się o wszystkim ostatni.

— No jak to, jutro na przyjęciu u księcia Aitesa!

— Mam uszkodzony nos — starał się wykręcić Hobart.

— Co? Przecież przed chwilą powiedziałeś, że nie jest złamany! Będziemy mieć na głowach hełmy, więc lekkie zadrapanie nosa nie jest żadną wymówką.

— Dla mnie jest. Nie mam zamiaru brać udziału w żadnym turnieju.

— Ależ, mój drogi książę, nie jesteś przecież tchórzem?

— Po prostu nie mam ochoty, to wszystko.

— Kto tu mówi, że mój przyszły zięć jest tchórzem? — wtrącił się król. — Po tym, jak ocalił mi życie...

— Wasza Wysokość — rzekł Valangas — musi pan przyznać, że mężczyzna albo jest tchórzem, albo nie?

— Powiedziałem, że nie mam zamiaru brać udziału w żadnym cholernym turnieju i koniec rozmowy — zdecydowanie zakończył Hobart. — Możecie o tym myśleć, co chcecie.

Król spojrział na niego wzrokiem zranionej sarny. Generał Valangas prychnął pogardliwie i zaczął rozmawiać z kimś innym. Hobart próbował zaciągnąć języka na temat Hoimona, ale udało mu się tylko dowiedzieć, że uczestnicy polowań mieli nader blade pojęcie na temat życia członków bractwa ascetów.

Uczestnicy polowania musieli się spieszyć, żeby dotrzeć do Oroloi przed nocą, ponieważ, jak już Hobart zauważył, nie było tutaj zmierzchu. Kiedy słońce zachodziło za horyzontem, natychmiast zapadała noc.

— Za pół godziny w Komnacie Onyxa spotkamy się na koktajlu, chłopcze — rzekł król do Hobarta przed odejściem do swoich komnat. — Dzisiejszej nocy jemy sami. O Noisie, ależ jestem zmęczony!

Połowa połowy godziny została zagospodarowana przez nowego sługę Hobarta, Zorgona, który bezskutecznie starał się zetrzeć dwie śliwy wykwitłe pod oczami księcia. Kiedy Hobart znalazł się wreszcie w Komnacie Onyxa, zastał tam księżniczkę Argimandę i udomowionego lwa chlepcących z wiadra herbatę.

— Co ci się stało w nos? — zapytali prawie jednocześnie.

Księżniczka zrobiła krok w jego kierunku, ale ponieważ przybrał kamienny wyraz twarzy, zaraz się zatrzymała.

Hobart jeszcze raz opowiedział historię z polowania i spytał Theiaxa, gdzie się podziewał. Lew zrobił baranią minę, jeśli taka kombinacja jest w ogóle możliwa.

— W Górach Stożkowych jest jego lwica, mój ko... księżę Rollinie — odpowiedziała za niego Argimanda.

— Pewnego dnia — zamruczał Theiax — idziesz polować ze mną. Jesz mnóstwo dobrego mięsa. Zabijam kupę zwierząt, ale nigdy ich nie jem.

— Dlaczego? Chcesz przez to powiedzieć, że zabijasz dla samej przyjemności zabijania? — zdziwił się Hobart.

— Pewnie. Jestem sportowcem. Sportowiec to taka osoba, która zabija dla przyjemności, ludzie zawsze mi to powtarzali. Ktoś, kto zabija dla korzyści jest tylko ohydny kłusownikiem. Chodź ze mną, to ci pokażę.

Kiedy będziecie mieli z Argimandą młode, też je możecie przyprowadzić.

Księżniczka ciężko westchnęła, a Hobart z ulgą zauważył, że król Gordius wszedł do komnaty, zanim ta rozmowa zesłała na jeszcze bardziej niebezpieczne tematy. Za królem wszedł księżę Alaxius i jeszcze kilku służących niosących małe armatki zamienione na doniczki do kwiatów.

— Postawcie je... na przykład tam i tam! — rozkazał król. Słudzy postawili armatki z roślinami na ziemi. — Przynajmniej łatwo jest zagospodarować to wszystko. Nie masz nawet pojęcia, Rollinie, jak ciężko jest zamienić miecze na lemiesze. Jeśli chodzi o przerobienie włóczni na drągi do zrywania owoców z drzew, to wszystko poszło gładko, tylko że teraz możemy nimi wyposażyć co najmniej dziesięć królestw naszej wielkości. O, idą drinki! — Lokaj nalał napoje do kieliszków i podał zaproszonym. — Moje dzieci, wypijmy za długie, szczęśliwe i płodne życie małżeńskie!

Hobart wysiorbał swoją porcję i usiadł za królem.

— Buum! — rozległo się nagle pod Hobartem. Podskoczył gwałtownie rozlewając resztę drinka.

Król przez chwilę siedział nieruchomo, aż nagle wykrzyknął:

— Niech Nois ma w opiece tego chłopaka, kiedy go dopadnę!

— Och, ojcie — odezwała się księżniczka — już jutro przecież będzie dorosły!

— Rozumiem, że mówicie o mym przysłym bracie, księciu Aitesie? — powiedział lodowato Hobart.

— Tak, tak — odparł król. — Wszędzie rozkłada kapiszony. Ale już niedługo. Wkrótce sprzedamy cały proch z naszego arsenału. Musimy się go przecież w jakiś sposób pozbyć. Kiedy armia zostanie rozwiązana, nikomu się nie przyda. A pieniądze pójdą na moje osobiste wydatki. Proszę, drogi chłopcze, napij się jeszcze!

— A Argimanda nie pije? — zdziwił się Hobart, sięgając po drugi kieliszek.

— Nie, przecież ona jest dobra. Myślałem, że wiesz o tym. Jak tam twój apetyt?

— Zjadłbym konia z kopytami i jeszcze uganiałbym się za jeźdźcem — odpowiedział Hobart.

Król spojrział na niego skonsternowany, a po chwili skinął na lokaja i wzięwszy go na bok o czymś z nim poszeptał.

Księżę Alaxius kończył swój drugi koktajl. Starając się utrzymać na długich, patykowatych nogach, wstał i zwrócił się do Hobarta:

— Rollinie, spędziłem cały dzień na mieszaniu farb starając się otrzymać te nieziemskie kolory, którymi ozdobione są twoje szaty. Ale zawsze wychodziła mi ta sama stara czerwień, żółć i błękit. Powiedz mi, w jaki sposób... he he he he he!

Wydając z siebie ten zwariowany chichot księżę Alaxius opadł na kolana z wielkim, głupkowatym uśmiechem na twarzy, a po chwili przewrócił się na podłogę.

Hobart podskoczył i próbował go podnieść.

— Biedak — odezwał się król. — Znów się zatrzał. Połóż go gdzieś. Minie mu.

— Jeszcze minutę temu był zupełnie trzeźwy — zdziwił się Hobart.

— Oczywiście, oczywiście. Wtedy nie był jeszcze zatruty. Przecież albo się jest zatrutym, albo nie.

Alaxius nagle spowaźniał, przesunął ręką po twarzy, uczynił jakiś grymas i rzekł:

— Czyżbym znowu zrobił z siebie głupca? Przepraszam, Ojczy. Przeliczyłem swoje siły.

Hobart, który właśnie pochylał się nad nim, odparł niskim głosem:

— Czy mógłbym z tobą później porozmawiać? — książe esteta skinął potakująco głową.

Hobart zwrócił się do króla Gordiusa:

— Wasza Wysokość mówił coś o pieniądzach na swoje osobiste wydatki. Czy mógłbym dowiedzieć się czegoś więcej na ich temat? Chyba jako osoba mająca wkrótce objąć pół królestwa powinienem wiedzieć wszystko o jego finansach.

— Cóż — odrzekł król — sprawa jest prosta. Założmy, że Charion uznaje, że potrzebujemy większych dochodów. Nakazuje skarbnikowi królewskiemu sporządzenie dekretu o nowym podatku i przynosi mi go do podpisania...

— Przepraszam — wtrącił Hobart — ale czy wy nie macie jakiegoś parlamentu albo kongresu?

— Czego? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Inżynier zaczął wyjaśniać, co to za instytucje, a król wydawał się być wielce tym zainteresowany, zmuszając Hobarta do podawania kolejnych szczegółów. Argimanda zafascynowana przysłuchiwała się rozmowie, a Alaxius przejawiał najwyższe znużenie. Lew zaczął chrapać. Nawet kiedy usiedli już do obiadu, Uprzejmy Monarcha dalej molestował inżyniera.

— Tak, tak — kiwał w zamyśleniu głową. — To rzeczywiście bardzo interesujące. Widzę, że będę musiał porozmawiać na ten temat z Charionem.

Królowa Vasalina wykazała większe zainteresowanie gościem:

— Rollinie, najdroższy, czyżby nie smakował ci stek?

— A co to w ogóle jest? — spytał Hobart z mdłym uśmiechem. Mięso nie tylko było twarde, ale również wionęło dziwnym, niezbyt przyjemnym odorem.

— Koń — odparł król. — Powiedziałeś, że zjadłbyś konia. Gdybyś po obiedzie chciał pouganiać się za jeźdźcem, rozkazałem, aby jeden czekał przed zamkiem. Oczywiście, jeśli go złapiesz, to raczej nie powinieneś go jeść. Sam rozumiesz.

* * *

— No dobra, człowieku, co masz mi do powiedzenia — rzekł książe Alaxius, rozkładając się na łóżku Hobarta z rękami założonymi na głowę.

Hobart ledwo wyłgał się z poobiedniej wizyty króla, królowej i ich córki. Usiadł w fotelu i zapalił ostatnie pozostałe mu cygaro.

— Potrzebuję rady, Alaxiusie — rzekł po chwili.

— Pytaj.

— Jak ci się podobały wydarzenia ostatnich dwóch dni?

Alaxius ziewnął.

— Jeśli oczekujesz, że powiem ci, iż bardzo mi się podobały, to będę cię musiał chyba rozczarować.

— Wcale mnie nie rozczarowałeś. Jeśli dobrze rozumiem, nie jestem takim kandydatem na męża twojej siostry, jakiego byś oczekiwał?

— Nie o to chodzi, Rollinie. Mimo że nie pojmuję, co Argimanda w tobie widzi, jest mi zupełnie obojętne, za kogo wychodzi. Rzecz w tej połowie królestwa.

— Aha — zrozumiał Hobart. — To już coś. Chodzi więc o to, że dostałbyś całość, gdybym nie uratował twojej siostry?

— Ummm.

— A co z Argimanda?

— Znalazłaby się w żołądku androsfinksa, głupku.

— I jest ci to obojętne? — pytał dalej Hobart okazując lekkie zdziwienie.

— Raczej tak. Moja sztuka jest dla mnie najważniejsza.

— Trudno to nazwać światopoglądem altruistycznym.

Alaxius podniósł brwi.

— Oczywiście, że jestem samolubem! Nie wiedziałeś? Moja chrzestna wróżka dopilnowała tego.

— Najwyraźniej razem z innymi... hmmm... zaletami, dała ci również prawdomówność.

— Szczerłość. Nic nie poradzę, że mówię to, co myślę, chociaż stale wpędza mnie to w problemy. Słuchaj, to wszystko bez sensu. Czy nie lepiej by było, gdybyś poszedł ze mną do atelier i pozował...

Hobart podniósł rękę.

— Zaraz, zaraz. A co by się stało, gdybym znikł?

— Cóż... to zależy. Gdyby zdarzyło się to, zanim ożenisz się z moją siostrą, to chyba byłbym znowu jedynym dziedzicem. Ale gdyby Argimanda została wdową, dziedziczyłyby wszystko sama, razem z ewentualnym męskim potomstwem.

— Dobra, dobra, chodzi mi o zniknięcie natychmiastowe.

Alaxius spojrział na niego nie kryjąc zdziwienia.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Ja w każdym razie nie mam zamiaru cię mordować. Nie mam odpowiednich zdolności. A byłoby wydarzeniem zupełnie bez precedensu, gdyby śmiałek zniknął z własnej woli.

— Ten śmiałek ma zamiar stworzyć nowy precedens — odparł Rollin Hobart z szerokim uśmiechem.

Szczeka Alaxiusa opadła z niemym hukiem. Siadł wyprostowany na łóżku. Kiedy uprzytomnił sobie wszystkie implikacje słów Hobarta, jego oczy odwróciły się ku niebu, a ciało opadło na poduszki. Zemdlął.

Następnego poranka trębacz znowu zbudził Hobarta kakofonicznym rykiem. Podczas gdy inżynier przetaczał się przez łóżko szukając pod nim buta, aby dać odpór atakowi na swoje zszargane nerwy, trębacz oznajmił:

— Jego Wysokość król Gordius z Logai, Jej Światłość królowa Vasalina, Jego Dostojność księżę Alaxius, Jej Niewinność księżniczka Argimanda...

Cała brygada weszła do komnaty. Hobart podciągnął prześcieradła pod brodę zakładając, że jego bielizna nie wywrze na nich odpowiedniego wrażenia estetycznego. A co do estetyki, to zastanawiał się przez chwilę, czy Alaxius wygadał się, mimo że leżało w jego egoistycznym interesie nie wspominać nikomu o ich rozmowie. AL krótkie spojrzenie na twarz księcia, wyrażającą tylko zwyczajną wyniosłość, zaraz go uspokoiło.

Jedynym nieznanym mu członkiem grupy osób, które wtargnęły do jego pokoju, był chudy, czerwonołosy chłopak. Widząc pytające spojrzenie Hobarta królowa wyjaśniła:

— Czyżbyś nie poznał jeszcze Aitesa, Rollinie?

— Aitesa? Ależ on wyglądał zupełnie inaczej, kiedy go ostatnio widziałem!

— Przecież teraz jest już dorosły! Myślałam, że wiesz o tym. Jak się czuje twój biedny nos?

— Lepiej, dzięki — odpowiedział Hobart. Opuchlizna nosa faktycznie zmalała, ale guz wielkości gęsiego jaja na królewskiej głowie sprawiał, że Jego Wysokość nosił koronę Logai przechyloną na jedną stronę.

— Hę — zaczął król. — Mój drogi Rollinie, jako mały wyraz mojej... eee... wdzięczności za twój wczorajszy heroiczny wyczyn, proszę przyjmij ten mały... eee... wyraz mojej wdzięczności — mówiąc to wręczył inżynierowi jakąś paczkę.

— Jestem zaszczycony — odparł Hobart starając się nie urazić uczuć starego pryka. Paczka zawierała obiecaną koronę szlachecką, podobną do królewskiej, ale z prostym, płaskim wykończeniem, zamiast wysokich rogów z gąbkami na końcach. Pasowała świetnie i cała rodzina Xerophi zaczęła się nagle rozpląwać w achach i ochach.

Po śniadaniu Hobart odnalazł króla z nogami założonymi na biurku, fajką w ustach i koroną przekrzywioną na bakier, czytającego „Efemerydy Logaiańskie”. Gordius podał mu pierwszy tom, który właśnie ukończył. Książka drukowana była wielką, ręcznie składaną czcionką, na ręcznie czerpanym papierze. Język wydawał się być tym samym fonetycznie zapisanym angielskim, z jakim inżynier zetknął się już w Logai. Spytał króla, jak to możliwe, ale Gordius odparł tylko:

— Ludzie w twoim kraju są cywilizowani, nieprawdaż, synu? W takim razie mówią językiem cywilizowanych ludzi. My też jesteśmy cywilizowani i dlatego również używamy tego języka. A co do pisowni, to doprawdy nie rozumiem, w jaki sposób można inaczej pisać te same słowa. Przecież litera albo oznacza daną zgłoskę, albo nie.

W tym momencie do pokoju wszedł Aites z naręczem pudełek.

— Ojcze, gdzie mam zostawić swoje zabawki i inne dziecinne rzeczy?

— Połóż je gdzieś tutaj, później powiem Charionowi, żeby Je rozdał biednym.

— Rozdajecie to wszystko? — spytał Hobart.

— Oczywiście — odpowiedział chłopiec — to przecież zabawki dla dzieci. Aha, przy okazji przepraszam za kapiszony. To się już nie powtórzy.

— W porządku — skinął głową Hobart.

Coś jednak nie dawało chłopcu spokoju. Idąc już w kierunku drzwi, po chwili wahania obrócił się i powiedział:

— Proszę pana... czy zechciałby pan... zaczynam kolekcję autografów wielkich bohaterów...

— To mówiąc nieśmiało wyciągnął mały notatnik.

Hobart podpisał się, a chłopak krzyknął z zachwytem: — Nolly! Od tej chwili uczeplił się Hobarta jak rzep psiego ogona, zadając całą masę pytań i okazując pełną gamę symptomów uwielbienia.

Turniej odbywał się na wielkim dziedzińcu otoczonym murami pałacu. Dziedziniec był dość długi i według Hobarta nader posępny. Najpierw odbyła się parada z udziałem dwóch regimentów

pikiniarów i muszkietarów, które właśnie rozwiązywano. Pikiniarzy ustawieni zostali w formacji falangi, a muszkietarowie strzelali ślepych nabojami w powietrze. Kiedy pierwszy szereg strzelał, żołnierze znajdujący się w ostatnim szeregu kończyli ładowanie i biegli na początek, żeby zdążyć na swoją kolej. Wszyscy chwalili przede wszystkim generała Valangasa, który wygłosił przemówienie zmuszające do płaczu nawet niektórych żołnierzy. Po paradzie zostawili oni swoją broń i poszli na miejsca dla widzów, skąd obserwowali dalszą część przedstawienia.

Wzdłuż centralnej osi dziedzińca ustawiono teraz ogrodzenie, po którego obu stronach jeździli rycerze uzbrojeni w wielkie, okrągłe tarcze i hełmy o kształcie wiadra, zakrywające całkowicie głowę. Przejeżdżali równolegle po obu stronach ogrodzenia naprzeciw siebie, starając się zrzucić przeciwnika z konia za pomocą długich żerdzi podobnych do tych, których używano do popychania łodzi. Dzięki ogrodzeniu, ciężkiemu uzbrojeniu jeźdźców oraz niebieskiej darni, która pod postacią miękkiego dywanu szczelnie pokrywała całą powierzchnię areny, ryzyko urazu było niewielkie.

Rollin Hobart spokojnie napełnił kolejną fajkę i czekał na koniec przedstawienia. Jego samopoczucie nie pogorszyło się nawet wtedy, gdy generał Valangas, po zwyciężeniu kilku przeciwników przegalopował na tyle blisko niego, aby rzucić mu pogardliwe spojrzenie. Hobart czekał, aż intryga, którą uknuł zacznie się rozwijać. Jeśli księżę Alaxius był egoistą, to był egoistą i kropka. Ludzie w tym dziwnym świecie mieli bardzo monochromatyczne charaktery rodem z antycznych dramatów. Był to zresztą kolejny powód, dla którego nie mógł tu zostać. Nie potrafił sobie wyobrazić ożenku z piękną jak okładka czasopisma dziewczyną siedzącą po jego lewej stronie, której nieskazitelna dobroć nie dopuszczała jakiegokolwiek z ludzkich występków... Tym niemniej ta nieludzka logika miała tę zaletę, że prowadziła do zależności. Alaxius chyba jednak go nie zawiedzie.

I on również siebie nie zawiedzie. Tłumacząc się zmęczeniem opuścił turniej i udał się do pałacu. Alaxius czekał na niego z parą mnisich ubrań z kapturami, szablą i muszkietem, o które prosił, jak również z mapą Logai.

— Pójdiesz Główną Drogą na Zachód do miejsca, gdzie się rozwidła — poinstruował go. — Tędy dochodzi się do Barbarii, a tędy do Gór Stożkowych, tam, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jesteś pewien, że chcesz tam iść? Jaskiniowcy nie będą się z tobą patyczkować.

— Nie obchodzi mnie, że są trzymetrowymi kanibalki — odparł Hobart. — Znajdę Hoimona, nawet gdybym miał szukać do końca życia.

Alaxius wzruszył ramionami.

— Jak chcesz. Odprowadzę cię w takim razie do rozwidlenia.

— To miło z twojej strony.

— Nie o to chodzi. Chcę się po prostu upewnić, że sobie poszedłeś.

Hobart próbował założyć na głowę zacieniający twarz kaptur i w tej samej chwili przypomniał sobie, że na głowie ma koronę. Zawahał się. Była zrobiona z czystego złota i zapewne przyniosłaby mu masę forsy. Jednak po zastanowieniu zdjął ją i odłożył na łóżko. Nie mógł wykorzystywać starego Gordiusa przyjmując złoto, a jednocześnie knując spisek.

W mrocznym korytarzu spotkali księżniczkę Argimandę. Hobart przestraszył się, że może ona wszcząć alarm, który zmusi go do złożenia nieoczekiwanych wyjaśnień. Na szczęście jednak spytała tylko: — Odchodzisz, księżę?

Inżynier skinął głową.

— Czy mogę... chociaż raz...

Czemu nie, pomyślał. Zanim jeszcze zdążył na dobre otworzyć ramiona, dziewczyna tuliła się już do niego całując namiętnie.

— Żegnaj, mój ukochany — szepnęła i uciekła w mrok.

Hobart poczuł wdzięczność za to, że nie robiła żadnych ceregieli i nie próbowała go zatrzymać. Gdyby tylko nie była tak cholernie idealna... W każdym razie zachowała się teraz nienagannie.

Minęli strażę. Kiedy wyszli z pałacu, jakiś młodzieniec przyprowadził im dwa rumaki i podał wielką torbę z żywnością. Przegalopowali przez puste ulice Oroloi. Logaiańczycy zapewne musieli wstawać wcześniej rano.

Kiedy wyjechali poza granice miasta, Alaxius bez wahania ruszył w odpowiednim kierunku,

wiedziony jasnowidztwem lub gwiazdami na niebie. Dla Hobarta w każdym razie horyzont był tak ciemny jak wnętrze egipskiej piramidy. Prześladowało go niepewne uczucie kłusowania przez czarną pustkę na niewidzialnym rumaku. Wyraźnie przyzwyczyił się już do dwubiegunowości tego ortogonalnego świata.

Przyjrzał się bliżej gwiazdom i zauważył w nich coś dziwnego. Wszystkie miały podobną wielkość i układały się w wyraźne wzory: kółka, kwadraty oraz konfiguracje przypominające wzory przestrzenne cząsteczek związków organicznych. W takim kosmosie musiało istnieć rzeczywiste podobieństwo między konstelacjami a ich nazwami: grupa po prawej stronie została zapewne nazwana Koło Sterowe, a w każdym razie na pewno je przypominała, podczas gdy Taurus nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie przypominał Hobartowi prawdziwego byka.

Z niecierpliwością czekał, aż zza horyzontu wyłonią się nowe konstelacje. Ale kiedy po godzinie jazdy nie pojawiła się żadna, zorientował się, że sklepienie niebieskie pozostawało w ciągłej zależności od położenia ziemi. Może Hoimon miał rację mówiąc, że ziemia jest tutaj centrum systemu słonecznego, a wszechświat zbudowany jest na osiach ptolomejskich. Jeśli się nad tym lepiej zastanowić, ta czarno-biała logika, która uzasadniona była zachowaniem ludzi i wszystkich znajdujących się tutaj przedmiotów, oraz jej geometryczna kosmogonia, cały plan egzystencji wyglądał dość podejrzanie, jakby wyłonił się z mózgow bandy hellenistycznych filozofów. Podobieństwo było zbyt uderzające, aby mogło być przypadkowe. Sprawa była dość interesująca i Hobart z chęcią przyjrzałby się jej bliżej, gdyby ktoś zechciał zlecić mu taką pracę za pieniądze...

— Rozwidlenie — odezwał się Alaxius. — Ty skręcasz w prawo, a ja wracam do Oroloi. Do ciebie należy decyzja, czy chcesz zostać tu do świtu, a później jechać co koń wyskoczy, bo Ojciec z pewnością wyśle za tobą pościg, czy też wolisz powoli kontynuować podróż w nocy.

— Chyba poczekam — odparł Hobart. — Nie powinienem... Zaraz, a to co takiego?

Zamilkli. W pobliżu usłyszeli odgłos kopyt pędzących po Głównej Drodze na Zachód, połączony ze skrzypieniem kół.

— To nie pora na podróż dla uczciwych ludzi — wyszeptał Alaxius. — Czyżby Ojciec wysłał już pogoń?

— Wątpię, żeby wysłał powóz. Schowajmy się — zaproponował Hobart.

Zeskoczyli z koni tak cicho, jak tylko umieli i sprowadzili je z drogi. Odgłosy ich kroków musiały dojść do nadjeżdżającego pojazdu, gdyż nagle skrzypienie kół ucichło. Przez parę sekund wszyscy zainteresowani siedzieli cicho, słuchając własnych oddechów. W miejscu, gdzie ucichły odgłosy toczących się kół pojawiła się iskierka, a potem dał się słyszeć trzask ognia. Mały, żółty płomień rozbłysnął i natychmiast zgasł, zostawiając tylko po sobie małą, czerwoną iskierkę, która błędziła przez chwilę w ciemności, a potem ruszyła w ich kierunku. Przysuwała się coraz bliżej, zatrzymywała, jakby nad słuchując, a następnie ruszała dalej.

Hobart domyślił się, że jest to lont strzelby. Wstrzymał oddech, a ręką chwycił za pysk konia widząc, że wróg podszedł na odległość około dziesięciu metrów.

Iskierka zatrzymała się. Znowu dał się słyszeć trzask i mały żółty płomyk rozświetlił ciemność wokół iskierki. W tym świetle można było dojrzeć stojącego przed drogowskazem mężczyznę z bardzo starym pistoletem w dłoni. Za nim widać było pysk kucyka.

Mężczyzna przesunął przez moment płomień przed drogowskazem, po czym rozejrzał się w ciemności. Następnie zdmuchnął ogień i czerwona iskierka zaczęła znów posuwać się w kierunku powozu.

— Aaaaa... psik! — kichnął nagle Alaxius.

Ciemność rozświetlił nagły błysk i usłyszeli huk pistoletu. Hobart usłyszał jeszcze, jak mężczyzna wdrapuje się z powrotem na swoje siedzenie w powozie i, pokrzykując na zwierzę, odjeżdża pospiesznie drogą do Barbarii.

— Trafił cię? — krzyknął Hobart.

— Nawet nie drasnął — usłyszał odpowiedź Alaxiusa. — Ale muszę przyznać, że to dość osobliwy sposób witania obcych w tak spokojnym kraju jak nasz. Nie lubię kiedy się do mnie strzela. Chyba wrócę już do pałacu.

Pociągnęli konie z powrotem na drogę. Nagle Hobart o coś się potknął.

— Co do licha? — wymamrotał. Pochylił się i zaczął obmacywać ziemię. Znalazł muszkiet podobny do tego, który niósł pod pachą.

— Nie upuściłeś przypadkiem muszkietu, Alaxiusie? — spytał.

— Nie. Nie cierpię tych zabawek.

— Ktoś jednak musiał go tu zostawić. Poświeć mi.

Na drodze parę metrów dalej, w kierunku, w którym podążył nieznajomy, leżał kolejny muszkiet. Jeszcze dalej znaleźli następnego.

— Kto mógłby jechać powozem pełnym strzelb i do tego o tej porze? — zastanawiał się głośno Hobart.

— Chyba Valturus — odparł Alaxius. — Dla barbarzyńców. Nie wolno mu tego robić, ale nikt inny nie przychodzi mi na myśl.

— Nic dziwnego, że wydawał się być ostatnio taki zadowolony. Czy to przypadkiem nie oznacza kłopotów dla Logai?

— Chyba tak. Barbarzyńcy będą mieli broń, a my przeprowadziliśmy rozbrojenie, reszty możesz się domyślić—

Hobart zastanowił się chwilę.

— W takim razie powinieneś chyba wrócić i powiadomić o tym ojca.

— Kiedy się nad tym głębiej zastanowić, to właściwie nic mnie to nie obchodzi — powiedział Alaxius. — Jeśli Logaia ma być podbita, to wolę żyć gdzie indziej. Pojadę chyba do Psythoris, gdzie panuje mój kuzyn...

— Ale kto w takim razie... — zaczął Hobart, ale Alaxius mu przerwał:

— Nie wiem. To nie moja sprawa. Jeśli jesteś taki mądry, to może sam powiadomisz o wszystkim mojego Ojca?

— A pewnie, że go powiadomię! — zdenerwował się Hobart. — A ty pojedziesz ze mną!

— Ależ po co... — zabczał Alaxius.

— Jako świadek. Myślisz, że chcę, żeby twój stary pomyślał, że cię zamordowałem, a następnie przygotowałem jakąś historyjkę, żeby to ukryć? Chodź!

Alaxius spojrzał zdezorientowany, rozejrzał się wokół i nagle zgasił płomień. Kiedy jednak zamierzał dać nogę, Hobart rzucił się na niego i złapał go za ubranie. Przez chwilę trwała szamotanina. Alaxius kopnął inżyniera w brodę, a ten odplącił mu prawym prostym w twarz.

— Nie bij! Nie bij! — krzyknął Alaxius poddając się.

— Zamknij się! — zaryczał Hobart. Związał ręce na plecach trzęsącemu się estecie i posadził go na koniu. Następnie podniósł muszkiet, dosiadł swojego wierzchowca i zapalił lont zapalniczką.

— Jeszcze jedna taka sztuczka i dowiesz się, co to znaczy dostać kulkę w tyłek. Jazda!

Alaxius ruszył narzekając:

— Zupełnie nie rozumiem, z jakiego powodu tak się przejmujesz losem Logai — powiedział Alaxius. — Jeszcze parę minut temu próbowałeś z niej uciec!

— Bez powodu — zgodził się Hobart. — Chodzi tylko o to, że nie jestem takim cholernym łajdakiem jak ty. No dobra, ale teraz musimy wymyślić jakąś historyjkę o tym, jak to wykryliśmy tego skurczybyka i śledziliśmy go aż do rozstaju dróg.

— Czemu miałbym potwierdzić twoje słowa? Może raczej powinienem opowiedzieć Ojcu o twoim chytrym planie?

— W porządku. Potem ja wyjaśnię mu, jakich miałem wspaniałych współników.

Alaxius zrozumiał aluzję.

Książę Alaxius uprzedził Hobarta, że będzie musiał znaleźć jakieś znacznie bardziej przekonujące powody przerwania odpoczynku króla przy fajce i z gazetą w ręku, niż tylko groźba inwazji barbarzyńców. Dlatego też obydwaj zaczęli, Hobart ze zniecierpliwieniem, a Alaxius z rezygnacją, na koniec królewskiej sjesty. Dopiero wtedy mogli porozmawiać z Jego Wysokością w królewskim gabinecie.

— No proszę, niech Nois ma nas w swojej opiece! Z całą pewnością ktoś uknuł spisek. Ale kto? Jestem przecież najbardziej poczciwym ze wszystkich monarchów... — powiedział król wysłuchawszy nieco dziwnego opowiadania Hobarta o nocnych zajściach.

— Wszystko wskazuje na to, że był to pański rusznikarz, Valturus — podpowiedział Hobart.

— Tak, tak. Chyba masz rację. Ale kto jeszcze? Natychmiast wezwę Chariona...

— Niech Wasza Wysokość tego nie robi — powstrzymał go nagle Hobart.

— A czemuż to?

— Skąd możemy wiedzieć, że nie jest w to wplątany?

— Mój kanclerz? Ależ to absurd, mój chłopcze, absurd!

— Nie byłbym tego taki pewien. Jak się ostatnio sprawował jako administrator?

— Nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie... Kiedy przyszedł do nas pięć lat temu, mieliśmy dochód w wysokości czterdziestu trzech tysięcy talentów. Charion przekonał mnie, że królestwo potrzebuje dużego programu prac publicznych, który dałby ludziom zajęcie i przyniósł nam chwałę za granicą. Jego argumenty były bardzo rozsądne, mogę cię zapewnić. Kiedy cały dochód państwa został już wydany, królestwo nasze wpędziło się w dość poważne długi. Charion wytłumaczył mi, że jest to zupełnie normalna, zdrowa sytuacja. Powiedział, że musimy zmniejszyć tempo wydawania pieniędzy, zanim zaciągnięcie kolejnych pożyczek stanie się niemożliwe. Jedynym sposobem dokonania tego było rozwiązanie armii. Charion sądził, iż dzięki temu nasi sąsiedzi będą tak ujęci naszym szlachetnym przykładem, że uczynią to samo i wojny przestaną istnieć.

— Jak daleko zaszedł dotychczas program rozbrojenia?

— Regimenty, które widziałeś wczoraj, były ostatnimi. Pozostali już tylko strażnicy zamkowi i straż miejska. No, no, no, mam nadzieję, że nie postąpiliśmy nieroztropnie...

— Gdybym chciał okraść twoje królestwo i wiedział, że będę w stanie przekonać cię do swoich pomysłów, zrobiłbym dokładnie to samo, co Charion — warknął Hobart. — A za granicą czekałoby na mnie paru goryli — dodał.

Gordius pokiwał głową.

— Jestem zupełnie otumaniony, Rollinie — powiedział. — Argumenty Chariona nadal wydają mi się logiczne, ale jeśli jest tak, jak mówisz... Posłuchaj, to niemożliwe, żeby Charion planował poprowadzić barbarzyńców na Logaię, nie został obdarzony cechami przywódczymi. Nie pójdą za nim.

— Nie powiedziałem, że tak właśnie robi. Chodzi mi tylko o to, że musisz być ostrożny.

— Tak, tak. Chyba masz rację. Zlecę Valangasowi śledztwo i rozpoczęcie ponownego werbowania oddziałów.

— Dlaczego jesteś taki pewien Valangasa?

— Och, przecież jest żołnierzem. Możemy na nim polegać.

— Wydaje mi się, że wczoraj był zbyt wesoły. Zupełnie tak samo jak Valturus.

— O mój Noisie! Jesteś bardzo podejrzliwym młodym człowiekiem, Rollinie. No ale dobrze, zamiast Valangasowi powierzę te sprawy Lausowi...

— Tak? A dlaczego jesteś taki pewien...

— Rollinie! — nie wytrzymał król. — Stajesz się nieznośny. Przecież komuś muszę zaufać. Czy masz jakieś uzasadnione podejrzenia w stosunku do Lausa?

— Nie. Sugeruję tylko, abyś nie wierzył nikomu do momentu, gdy będziesz dokładnie wiedział, na czym stoisz — odparł Hobart i wstał. — Tak czy inaczej, to twój problem, królu. Rób więc co

chcesz. Ja odchodzę.

— Odchodzisz? Nie rozumiem!

— No to zrozumiesz — Hobart ruszył w kierunku drzwi. Tym razem miał zamiar skorzystać z najprostszego sposobu — pójść do swojego pokoju, wziąć bagaże i wyjść w samo południe główną bramą. Nie obchodziło go, co sobie pomyśla.

— Rollinie, żądam wyjaśnień! — zawołał król. — Nie możesz mnie opuścić w takim momencie, nie mając ku temu żadnego rozsądnego powodu!

— Dobra. Odchodzę, bo...

Urwał w połowie zdania, ponieważ do komnaty Uszedł Theiax. Nie mógł więc teraz bez ogródek, tak jak wcześniej zamierzał, powiedzieć, że po prostu nie uda im się zrobić z niego księcia i dziedzica. Nie mógł, chyba że chciał popełnić samobójstwo.

— ...żartowałem — dokończył. — Zostaję. Ale jeśli chcesz mojej rady, to najpierw powinieneś skupić wokół siebie rodzinę królewską, wszyscy przecież płyniecie w tej samej łodzi. Potem wybierz najbardziej oddanych strażników pałacowych i sługi...

— Wasza Wysokość, Jego Wyższość Kanclerz Logai! — ogłosił w tym momencie czyjś głos przez tubę.

— Odeślij go! — syknął Hobart.

— Odeśłać... — zaczął król, ale nagle drzwi otworzyły się bez pukania i stanął w nich Charion w długim, czarnym płaszczu narzuconym na niebieską, obcisłą szatę.

— Ja... eee... n–n–nie mogę z t–t–tobą teraz rozmawiać, Charionie... — wyjąkał król.

Kanclerz zmarszczył brwi.

— Czyżby Wasza Wysokość był chory?

— Nie, ale...

— W takim razie, dzięki mojemu oficjalnemu stanowisku mam pierwszeństwo przed księciem Rollinem — uciął kanclerz.

— Ale...

— Albo jestem kanclerzem i mam pierwszeństwo, albo nie. To jak będzie?

— Proszę, zacytuj Charionie, później... — jęczał król.

Charion spojrzał na Hobarta, który zachowywał kamienną twarz. Kanclerz obrócił się na pięcie i wyszedł trzaskając za sobą drzwiami.

— A teraz — odezwał się Hobart — zrobimy listę ludzi i broni dostępnej w pałacu. Kiedy będziemy wiedzieć, na czym stoimy...

Trzydzieści minut później rodzina Xerophi została zebrana w gabinecie, razem z paroma znalezionymi naprędce okazami broni, takimi jak królewskie szable ozdobne, ale mimo to użyteczne, oraz kusza, z której król ustrzelił kiedyś dziką bestię i która od tej pory trzymana była w szklanej gablocie. Parę zaufanych strażników ustawiono w holu prowadzącym do gabinetu, z poleceniem nie wpuszczania nikogo do środka.

— Czy to nie czas na lunch, Rollinie? — zapytał król.

— Do diabła z lunchem. Jeśli Charion ma choćby jedną półkulę mózgu, to za chwilę zorganizuje przewrót pałacowy. Przygotowują to już od pewnego czasu, a moje przybycie sprawiło, że zaczęli się spieszyć, czego najlepszym dowodem była próba zamordowania cię na polowaniu... Co to takiego?

W korytarzu rozległy się odgłosy kroków, a następnie coraz głośniejsze krzyki. Boom!

Kroki przyspieszyły tempa. Jeden ze strażników, Averoves, wbiegł do gabinetu.

— Zastrzelili Saivusa, kiedy próbował ich zatrzymać! — krzyknął.

Królowa Vasalina zaczęła płakać. Łup, łup, łup, w holu stanęła grupa mężczyzn prowadzona przez generała Valangasa trzymającego w ręku dymiący jeszcze pistolet. Za nim wszedł Charion, czarnoksiężnik z Wall Street i trzech osiłków z szablami w dłoniach.

— Wychodzić grzecznie — ryknął generał — albo po was pójdziemy!

Koło Hobarta coś się poruszyło. Averoves rzucił włócznią w Valangasa. Uderzyła w mosiężną podstawę pióropusza, sterczącego na hełmie i strąciła nakrycie głowy.

— Oto i pański morderca — skwitował Hobart.

Czaszka Valangasa była dokładnie ogolona.

— Czarna peruka! — krzyknął król. — Pewnie ją nosił, po to by ukryć fakt, że jest blondynem–barbarzyńcą...

Przerwał mu potężny ryk Theiaxa, który przykucnął w gabinecie, kładąc uszy po sobie i gotując się do skoku.

Laus wyjął ze swego ubrania różdżkę, wyciągnął ją w kierunku lwa i zaczął:

Beilavor gofarser

Norpoto wemoilou...

— Gdzie do diabła... — denerwował się Hobart. Zauważył kuszę w trzęsących się dłoniach księcia Alaxiusa, pochwyił ją i wystrzelił w kierunku czarnoksiężnika. Laus zapiszczał i upadł. Hobart nie zauważył, czy trafił w cel. Przeskoczył nad Theiaxem, zatrzasnął ciężkie drzwi, zamknął na zasuwę i z pomocą Averovesa przystawił je kanapą. Silny grzmot był dowodem na to, że buntownicy rozpoczęli już forsowanie przeszkody.

— Alaxiusie! — krzyknął Hobart. — Bierz szablę!...

— Ja n–n–nie mog–g–gę... Boję się... — wyjąkał Alaxius.

— Do diabła, w takim razie zabarykaduj drugie drzwi, zanim spróbują się do nich przedostać. Strzelby, strzelby, królestwo za strzelbę. A to? — wskazał na jedną z małych armatek, która została zamieniona na doniczkę. Nie czekając na odpowiedź wyciągnął roślinę i wyrzucił. Podniósł lunetkę armatki i opuścił na podłogę, żeby wytrząsnąć pozostałą ziemię, ignorując zupełnie krzyk królowej: — Mój dywan!

— Czy mogę w czymś pomóc, panie? — spytał księżę Aites z oczami przepelnionymi uwielbieniem.

— Może... słuchaj, wiesz, gdzie jest ta kupa twoich starych rzeczy? Kapiszony!

— Tak, panie...

— Mamy farta! Dawaj je! Otwórz każdy po kolei i wsyp proch do tej pukawki!

— Mam też trochę starych, żelaznych kulek...

— Proszę, proszę, coraz lepiej! — Pracowali w szaleńczym tempie. Zaraz po prochu w paszczę armaty zostały wpakowane dwie garście żelaznych kulek. Tymczasem drzwi zaczęły się łamać i pękać od łomotu. Słysząc też było złorzeczenie zbirów.

— Na czym ją postawimy? — zastanawiał się głośno Hobart. — Macie jakiś sznurek?

Król wyjął z biurka kłębek szpagatu. Hobart przywiązał armatkę do krzesła.

— Ten sznurek jej nie utrzyma — rzekł Averoves z powątpiewaniem.

— Nie ma znaczenia. Przecież i tak wystrzelimy tylko raz. No, dobra, Aitiesie, bierz kuszę. Argimando, ty i królowa odsuńcie na bok sofę i otwórzcie drzwi... Jeszcze nie! Dopiero jak wam powiem. Ja będę strzelać. Aitiesie, strzel w tym samym momencie z kuszy. Potem ja, król i Averoves pobiegniemy na nich z szablami... Ty też ruszysz z nami, Theiaxie. Wszyscy gotowi?

Hobart wsypał resztkę prochu do zapału, zwinął w rulon poranną gazetę i zapalił jej jeden koniec zapalniczką.

— Nie wchodzić na linię ognia! — upomniał zebranych.

Drzwi otworzyły się dokładnie w momencie, gdy buntownicy po raz kolejny rozhuścili zaimprovizowany taran i właśnie zamierzali nim uderzyć. Stanęli teraz zdezorientowani na dwa tyknięcia zegara, lecz po chwili Valangas schylił się po pistolet. Hobart opuścił pochodnię.

Łuuup! Komnata zatrzęsała się w posadach, armatka i krzesło poleciały daleko do tyłu i uderzyły w ścianę. Hobart i jego brygada przedarli się przez dym. Inżynier uderzył raz, prawie na oślep. Ostrze jego szabli zadźwięczało na mosiężnym napierśniku. Następnie rzucili się w głąb holu za kilkoma uciekającymi postaciami. Dobiegli do głównego wejścia i zobaczyli, jak Valangas i dwóch innych mężczyzn wskakuje na siodła i pochylając się nad karkami wierzchowców popędzają konie do galopu.

— Niech uciekają — powiedział Hobart. — W pałacu mogli jeszcze zostać jacyś inni

buntownicy.

Wracali na pole walki przechodząc obok zastrzelonego przez Valangasa strażnika. Dalej natknęli się jeszcze na trzy ciała: Chariona i dwóch osiłków. Nad jednym z nich siedział pochylony Theiax i zajadał ze smakiem.

— Gdzie jest Laus? — spytał Hobart. Z gabinetu dobiegł czyjś pisk. Rzucili się do środka... i zobaczyli trzęsącego się Alaxiusa i drżącą ze zdenerwowania, rozhisteryzowaną królową.

— Czarnoksiężnik! — wrzeszczała Vasalina.. — Zabrał ją! Przez okno!

Theiax podbiegł do okiennicy, oparł się o nią, tocząc pianę z pyska i wypełniając pokój ogłuszającym rykiem. Po chwili, kiedy wszyscy doszli już jakoś do siebie i ryk ucichł na tyle, że można już było znowu rozmawiać, królowa wyjaśniła, iż Laus pod postacią ogromnej świni staranował boczne drzwi zabarykadowane przez Alaxiusa, przybrał swe normalne rozmiary i porwał Argimandę. Następnie z jego szat wysunęły się dwa skrzydła, dzięki którym wyfrunął przez okno.

Dalsza opowieść królowej była nieco niezrozumiała.

— Rollinie, synu, nie powinienes tracić czasu — powiedział król. — Podczas gdy Laus trzyma moją córkę jako zakładniczkę, Valangas zbierze barbarzyńców!

— Ja? — spytał z głupia frant Hobart.

— Oczywiście, to ty ją przecież ocalisz! Ja jestem za stary, a Alaxius myśli tylko o własnym bezpieczeństwie. Kiedy już tego dokonasz, oddam ci również drugą połowę królestwa. Zostaniesz więc królem Logai!

— O mój Boże — wymamrotał Hobart przez zaciśnięte zęby i, zwracając się do króla, powiedział: — Czy nie lepiej byłoby odłożyć to wszystko, sir? Przecież ja nie mam żadnego doświadczenia...

— Nonsens, chłopcze! Po tym wszystkim, co dla nas zrobiłeś. Dwa razy uratowałeś mi życie, jak dotąd...

— To był zwykły przypadek... — przerwał mu Hobart.

— Nie bądź taki skromny, synu. Tak czy inaczej, dekret przekazujący ci wszystkie moje prawa został już przygotowany, a poza tym, mąż Argimandy musi mieć odpowiednią pozycję...

Hobart zacisnął pięści, żeby wrzasnąć: — Nie chcę twojej córki, twojego królestwa ani niczego, co do ciebie należy! Jestem inżynierem i kawalerem, chcę tylko wrócić... — Zamierzał w ten sposób przeciwstawić się władcy, ale właśnie zauważył Theiaxa pomrukującego gniewnie w kącie. Wiedział, że jeśli znowu zgodzi się uratować Argimandę, nie uda mu się już z tego wywikłać. Gdyby tylko istniał jakiś sposób odsunięcia terminu tego koszmarne go ślubu, to może byłby w stanie znaleźć nową szansę ucieczki. Jeśli go jednak przyszpila kontraktem na całe życie, znajdzie się w prawdziwych opałach. Jego bezsensowne, głupie sumienie nie pozwoli mu odejść od młodej żony, nawet jeśli będzie miał dobrą wymówkę. Co gorsza, może nawet mu się tu spodobać...

Theiax stał przed nim wpatrując się prosto w jego oczy.

— Idziemy? — zaryczał. — Idę z tobą. Ocalasz mnie przed zmniejszeniem do rozmiaru kotka, robię teraz wszystko, co mówisz.

Kiedy Hobart zastanawiał się nad odpowiedzią, ogon Theiaxa zaczął powoli poruszać się to w lewo, to w prawo. Ponieważ było bardziej prawdopodobne, że znaczenie tego machania było bliższe kociej niż psiej tradycji porozumiewania się, Hobart długo się nie zastanawiał:

— No, dobra.

* * *

Przy każdym kolejnym etapie swojej kampanii, Rollin Hobart coraz wyraźniej widział beznadziejność sytuacji, w jakiej się znalazł. Jego zadaniem było, po pierwsze, ocalenie Argimandy, po drugie, zorganizowanie armii składającej się z najemników, którzy broniliby Logai lub gdyby się to nie udało, zasianie niezgody między plemionami barbarzyńskimi, *à la* pułkownik Lawrence po to, by oddalić moment inwazji do chwili ponownego uzbrojenia królestwa.

Co gorsza, zgodził się tego dokonać i chcąc nie chcąc musiał teraz wypić piwo, którego

nawarzył.

Pierwszą czynnością, o której Logaianie w swym zadufaniu i wierze we własną logikę, na pewno nigdy by nie pomyśleli, było sprawdzenie, w którym kierunku odleciał Laus. Okazało się, że wielu mieszkańców Oroloi widziało czarnoksiężnika wylatującego z królewskiego pałacu. Notując ich obserwacje na mapie miasta, Hobart wkrótce miał dobre pojęcie o tym, w którym kierunku uciekł porywacz. Porównanie mapy miasta z mapą całej Logai wykazało, że przedłużenie linii lotu prowadzi wprost do kraju zwanego Parathai, zamieszkanego przez plemiona barbarzyńców. Fakt ten bardzo zmartwił króla Gordiusa.

Oczywiście, myślał Hobart, czekając na stajennych, którzy mieli przyprowadzić jego konia i przynieść pozostałe akcesoria jeździeckie, Laus mógł zmienić kierunek ucieczki, lecieć zygzakiem lub kołować, aby zmylić ewentualny pościg... Hobart musiał jednak zaryzykować. Było przecież możliwe, że czarnoksiężnik poleciał w prostej linii do swojej kryjówki, jeśli w ogóle ją miał. Mentalność ludzi żyjących w tym świecie była bardzo mało skomplikowana.

Machnął szablą. Co za bezsens, pomyślał, gdyby mi chociaż dali karabin maszynowy! Nie wiedział nic o obchodzeniu się z białą bronią i jakoś zupełnie nie garnał się do nauki. Ale ponieważ jedynym dostępnym rodzajem broni palnej była tutaj rusznica, której załadowanie zajmowało parę minut, pomyślał, że poręczniej będzie mieć pod ręką jakiś majcher.

Po pełnym łez pożegnaniu przez rodzinę Xerophi, Rollin Hobart dosiadł swego wierzchowca i wyruszył do Barbarii. Jechał w ponurym nastroju, mając przeświadczenie, że jest prawdopodobnie najbardziej nieudanym błędnym rycerzem, jakiego widział ten świat pełen szlachetnych śmiałków i zepsutych do szpiku kości złoczyńców.

W drugim dniu swej podróży przez Barbarię, Rollin Hobart przemierzał kręte drogi wijące się między cylindrycznymi płaskowzgórzami. W pewnym momencie Theiax zaryczał.

Hobart wstrzymał konia. Lew stał z szeroko rozstawionymi łapami i wibrującym ogonem, wpatrując się w jakiś punkt na horyzoncie.

— Idą ludzie — mruknął.

I rzeczywiście była to prawda. Hobart miał zamiar pokazać im swój proporzec, miniaturę sztandaru, jaki woził ze sobą król Gordius, na którym widniało słowo RAIT. Miał nadzieję, że obcy zrozumieją, iż jest królewskim ambasadorem i uszanują jego nietykalność.

Coraz wyraźniej słychać było stąpanie na piasku. Wkrótce zza płaskowzgórza wyjechał oddział uzbrojonych jeźdźców. Na widok Hobarta i jego kompana krzyknęli, ustawili się w szeregu bojowym i rzucili galopem do ataku. Hobart podniósł proporzec. Jeźdźcy przyspieszyli. Czyżby nie wiedzieli nic o nietykalności ambasadorów? Nad głową inżyniera przeleciała najpierw jedna, potem następne strzały.

— Uciekamy czy walczymy, książę? — warknął Theiax.

Szybko myśląca część mózgu Hobarta ciężko borykała się z pozostałą jego częścią przekonując ją, że jeźdźcy zdecydowanie nie mają przyjaznych zamiarów, że naprawdę mogą go zabić. Nerwowo błędził palcami w poszukiwaniu zapalniczki. Rzucił proporzec, odciągnął kurek strzelby i zapalił lont. Następnie wymierzył w jeźdźców. Theiax zdążył jeszcze wydać z siebie przerażający ryk, który odbił się echem po wzgórzach, i przywarł do ziemi gotów do skoku.

W ostatnim momencie szarżujący rozdzielili się, przejeżdżając po obu stronach niedosłego królewskiego ambasadora położyli się na koniach tak, aby ciała zwierząt zasłoniły ich przed ewentualnym strzałem.

— Theiax, podnieś proporzec! — wrzasnęła Hobart.

Szarżujący zatrzymali się gwałtownie, wznecając tumany kurzu. W jednej chwili Hobart został otoczony przez mężczyzn napinających łuki i mierzących w niego dzidami oraz przedziwnie powyginanymi mieczami. Inżynier obrócił się w siodle mierząc muszkietem w coraz to innych przeciwników, ale w żaden sposób nie mógł przecież uchwycić ich wszystkich na celowniku. Gdyby któryś z nich rzucił się do ataku, będzie musiał strzelać, a wtedy pozostali poszatkują go w jedną pięćdziesiątą czasu potrzebnego mu do ponownego załadowania strzelby. Jedyną pociechą była myśl, że nawet gdyby mógł latać, prawdopodobnie nie na wiele by się to w tej chwili zdało.

— Jesteśmy posłami! — krzyknął Hobart. Na brak reakcji ze strony jeźdźców dodał: — Co jest? Nie rozumiecie po angielsku... logaiańsku?

Mężczyźni nosili wysokie kapelusze z czarnej wełny, spod których wylaniały się jasnożółte włosy opadające na ramiona. Długie, luźne spodnie i buty z miękkiej skóry dopełniały ich ubioru. Zamiast mu odpowiedzieć, zaczęli się coraz głośniejszym śmiać. Spoglądali przy tym na Theiaxa.

Udomowiony lew siedział na tylnych łapach trzymając proporzec w przednich. Rzucił Hobartowi zdegustowane spojrzenie.

— Co to za sztuczka? — spytał. — Nie jest to chyba właściwa pora na wygłupy. Ktoś tu robi ze mnie idiotę.

Hobart schylił się i zabrał mu proporzec.

— W porządku? — spytał.

Kilku obcych wymieniło komentarze w języku, którego Hobart nie mógł zrozumieć. Theiax na wszelki wypadek wydał z siebie parę warknięć. Inżynier powoli odwrócił się od lwa, ponownie mierząc w napastników z muszkietu. Dmuchnął jeszcze w lont, dzięki czemu znów rozżarzył się on jasnym płomieniem.

Jeden z mężczyzn odezwał się w nieznanym inżynierowi języku. Hobart powiedział, że jest ambasadorem króla Gordiusa i żąda, aby go zabrano do ich grubej ryby. Po paru powtórzeniach tej informacji i wielokrotnym wskazywaniu na proporzec obcy wydawali się rozumieć, o co chodzi. Zacieśnili krąg wokół Hobarta i ruszyli w kierunku, z którego przyjechali.

* * *

Khurav, hipokryta Parathai był miło wyglądającym mężczyzną. Wysadzany drogimi kamieniami pendent zwisał ukośnie na szerokiej, nagiej klatce piersiowej i podtrzymywał ogromną szablę. Zadał pytanie we własnym języku, skierowane do ludzi eskortujących inżyniera. Inżynier w żaden sposób nie mógł zrozumieć ich odpowiedzi, ale wydawało mu się, że brzmiała ona mniej więcej w ten sposób: „O, hipokryto, znaleźliśmy tego obcego razem z oswojonym lwem niedaleko granicy z Logaią. Właśnie zamierzaliśmy ich poszatkować, ale ten obcy powiedział, że jest ambasadorem...” Prawdopodobnie obstawa zapomniała dodać, że groźne warczenie Theiixa i muszkiet pomogły ambasadorowi w odwiedzeniu ich od zamiaru pokrajania tych nieznanym na małe kawałeczki.

Kurav zwrócił się teraz bezpośrednio do Hobarta, wolno i dokładnie wypowiadając logaiańskie... a raczej angielskie słowa:

— Czy chciałeś się ze mną spotkać?

— Tak — odparł Hobart. — Jesteś hipokrytą Parathai, nieprawdaż?

Khurav zmarszczył brwi.

— Czy pragniesz temu zaprzeczyć?

— Ależ skądże, spytałem tylko. — Hobart przedstawił się, na co Khurav jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

— Moi ludzie mówią, że kiedy cię spotkali, ten oswojony lew trzymał porzecz. Skąd mam wiedzieć, że to nie on jest ambasadorem? — zapytał.

Theiix spojrział oszołomiony, a następnie otworzył paszczę i wydał z siebie jakiś dziwny ryk opadający kolejnymi tonami gamy, który wywołał poruszenie wśród zebranych. Powtórzył go jeszcze parokrotnie, w końcu jednak przewrócił się na grzbiet machając łapami i rżąc ze śmiechu:

— Dobrze! Jestem ambasadorem! Ale numer! Nie mogę się powstrzymać!

— Chce przez to powiedzieć — wyjaśnił Hobart — że nie jest ambasadorem.

— Słyszę — odparł Khurav. — Ale nie lubię, jak ktoś się ze mnie śmieje. Czy ja przypadkiem nie zostałem obrażony?

— Och, skądże! — krzyknął pospiesznie Hobart. Wiedział już, że czeka go ciężka przeprawa z tym gościem. Pamiętał, co król Gordius powiedział mu przed podróżą: „Uważaj synu na Khurava. Mówi się, że jest bardzo dumnym barbarzyńcą”.

Hipokryta spojrział wrogo na muszkiet Hobarta, jak gdyby nie okazał jeszcze swej dumy w wystarczającym stopniu.

— Chcesz mnie przestraszyć przygotowanym do strzału muszkietem, książę Rollinie. Czyżbyś chciał wyzwać mnie na pojedynek?

Hobart natychmiast zgasił lont strzelby. Przepraszył za muszkiet, zachowanie Theiixa i za to, że się w ogóle urodził. W końcu udało mu się rozwiać nieco podejrzenia Khurava, dzięki czemu ten zaprosił go do swojego ogromnego, filcowego namiotu. W przedsionku Khurav zatrzymał się na chwilę i zaczął z rozmachem gestykulować.

— Jesteś moim gościem, książę Rollinie. Wszystko to należy do ciebie. Wszystko co moje, należy do ciebie.

— Doprawdy, jest pan zbyt uprzejmy — rzekł Hobart, domyślając się, że tak wygląda tutejsza formuła gościnności.

— Nie, nie jestem. My tutaj w Parathai podejmujemy wszystkich bardzo gościnnie. Dlatego ja również jestem tylko gościnnie. Oczywiście, należy przez to rozumieć, że wszystko co twoje, jest moje. Na przykład, bardzo podoba mi się złoty łańcuszek, który nosisz przy tym dziwnym stroju.

Hobart, robiąc wszystko, aby ukryć ogarniające go uczucie złości, odpiął łańcuszek od zegarka i podał mu. Zrobił to w taki sposób, że Khurav nie dostrzegł zegarka, gdyż wtedy prawdopodobnie zażądałby i niego.

— Siadaj — powiedział wódz, sam zajmując wygodną pozycję — i mów po co przyszedłeś, i dlaczego.

— Z kilku powodów — odparł Hobart, zastanawiając się od czego zacząć. — Po pierwsze:

chciałbym prosić o ekstradycję uciekiniera Lausa, byłego nadwornego czarnoksiężnika, który powinien być osądzony zgodnie z prawem logaiańskim.

— Czy to ten, który przeleciał nad naszym krajem trzy dni temu?

— Chyba tak. Zgadza się?

— Nie znajduje się na moim terytorium. Poleciał dalej. Być może do Marathai.

— Waszych sąsiadów? — dopytywał się Hobart, który jeszcze nie nauczył się nazw wszystkich barbarzyńskich plemion.

— Naszych odwiecznych wrogów — poprawił go Khurav. — Nie widzę więc, w jaki sposób mógłbym ci pomóc.

— Może w takim razie złożę wizytę wodzowi Marathaian? — spytał inżynier.

— Nie — zdecydowanie powiedział Khurav.

— Czemu nie?

— Są naszymi wrogami. Ty jesteś naszym przyjacielem. W takim razie jesteś ich wrogiem. To chyba oczywiste. Gdybyś był ich przyjacielem, byłbyś naszym wrogiem i musiałbym cię zabić.

Hobart westchnął. Niezależnie od tego, jak grzecznie rozmawiało się z hipokrytą, dyskusja w każdym momencie mogła przybrać niebezpieczny obrót. Ale była jeszcze pewna szansa...

— Czy jesteście teraz w stanie wojny z Marathaianami?

— Tak, ale nie prowadzimy walk.

— Dlaczego?

— Mają strzelby. A już dawno ostrzeżliśmy ich, że jeśli zaczną używać tak niegodnych rodzajów uzbrojenia, to odmówimy dalszej walki z nimi. Niestety, odrzucili nasze ultimatum.

— A wy nie macie żadnych strzelb?

— Jedną albo dwie. Trzymamy je jako ciekawostki. Jestem zbyt dumny, aby ich używać.

Hobart ożywił się. Pochylił się i rzekł:

— Nie wiecie przypadkiem, skąd zdobyli te strzelby?

— Mówi się, że zostały przysłane z Logai, chociaż nie wiem, dlaczego król Gordius miałby być taki głupi żeby uzbrajać swoich wrogów.

Hobart o mało nie sypnął się mówiąc, że głupota króla Gordiusa polegała na czymś zupełnie innym, ale w porę przypomniał sobie, że dyplomata nie powinien przekazywać żadnych informacji nie otrzymując w zamian czegoś znacznie ważniejszego.

— Mimo że Logaia jest bardzo silna, z przyjemnością powitalibyśmy pomoc od tak wielkich wojowników jak Parathaianie — rzekł dyplomatycznie. — Gdybyście zechcieli pomóc nam w walce z Marathaianami, to z pewnością byście nie pożałowali...

Hipokryta pochylił się do przodu spoglądając na inżyniera złowrogo:

— Książę, czy chcesz mnie obrazić? Czyżbyś nie wiedział, że jestem zbyt dumny, żeby służyć jako najemnik?

— P-p-przepraszam, hipokryto...

— Oczywiście — kontynuował Khurav nieco się rozluźniając — jeśli król Gordius zechciałby przysłać mi jakiś prezent, musiałbym się zrewanżować. Może nawet swoimi usługami. Wznowilibyśmy normalne walki z tymi wiarołomcami...

— Dobra, dobra — przerwał mu szybko Hobart. — Sprawa załatwiona. Kiedy tylko wrócę do Logai porozmawiam z Gordiusem. A tak przy okazji, nie słyszeliście nic o naszym generale— uciekinierze Valangasie?

— Chodzi ci o syna szamana Marathaian, Baramyasha? Dopiero co wrócił do swego ojca.

— To chyba ten sam.

— Możliwe. Pewnie zmienił nazwisko na czas pobytu w Logai. No, ale to już pora obiadu — Khurav wstał nagle i poprowadził gościa do innej komory namiotu.

Na pierwsze danie podano pieczone jagnię. Obiad serwowały dwie krzepkie, dobrze zbudowane dziewczęta wystrojone od stóp do głów i przyozdobione brzęczącymi przy każdym kroku cekinami. Khurav z pełnymi ustami wskazał na dziewczyny i zabalgotał:

— Moje żony — pociągnął wielki łyk wina. — Którą chcesz?

— Eeee... co?

— Którą chcesz? Chyba nie myślisz, że kłamałem mówiąc, że wszystko co moje jest i twoje? To byłaby zniewaga!

— Ja... eee... czy mógłbym wybrać później?

— Jak wolisz. Jeśli bardzo chcesz, możesz mieć je obie, proszę jednak, żebyś zostawił mi jedną, gdyż jestem z nich bardzo dumny.

Na następne danie podano jagnię gotowane. Hobartowi wydawało się wcześniej, że znajduje się w kłopotliwym położeniu, kiedy rodzina Xerophi wyjawiała mu swoje plany wobec niego. Jak mało wiedział o kłopotliwych sytuacjach! Nieznośnie idealna Argimanda była dostateczną próbą, ale kobieta—barbarzyńca, która zgodnie ze wszystkimi regułami tego świata musiała być stuprocentowym barbarzyńcą... Zaraz, zaraz. Nie mógł zaprotestować twierdząc, że jest już żonaty, albo zamierza wkrótce poślubić jakąś dziewczynę, gdyż Khurav najwyraźniej nie widział niczego złego w poligamii. Gdyby więc odmówił przyjęcia tego prezentu, hipokryta poczułby się urażony i posiekałby go na kawałki. Gdyby powiedział, że jest...

Na trzecie danie podano jagnię w potrawce. Khurav z dumą opowiadał o stadach zwierząt hodowanych Przez jego ludzi, o problemach związanych z utrzymaniem wilków z dala od owiec i lwów z dala od wielbłądów. Hobart natomiast powoli zaczynał mieć wrażenie że za żadną cenę nie wmusi już w siebie ani kawałka jagnięcia. Nie miał jednak odwagi zupełnie zaprzestać jedzenia, więc tylko bawił się widelcem. Pociągał też tylko mały łyk wysmienitego wina, podczas gdy Khurava wypijał potężny haust.

Khurav wepchnął do swojej paszczy obydwoma rękami ostatni kawałek jagnięcia, po czym obmył usta całym pucharem wody. Następnie pochylił się w stronę Hobarta, obaj siedzieli w kucki na macie, i beknął przeraźliwie.

Hobart, chociaż normalnie nie był zbyt czuły na tym punkcie, tym razem jednak musiał się odsunąć ze wstrętem. Po raz pierwszy od ich spotkania Khurav wyglądał na zadowolonego.

— Tooo mi się udało! Spróbuj lepii, książę! — Nagle zaczął mówić z dziwnym akcentem i Hobart przestraszony zorientował się, że jego gospodarz był dość poważnie pijany.

Hobart otworzył usta i naprężył przelyk, ale nie udało mu się wydobyć z siebie nawet cichutkiego beknienia.

— Dawa! — zachęcał hipokryta. — O taaa! — otworzył gębę i z jej głębi wydobyło się kolejne kolosalne beknienie.

Hobart jeszcze raz spróbował swych sił, ale bez żadnego rezultatu.

Khurav zrobił marsową minę.

— To niegrzeczi ni beknuć po obiedzi. Bekaj, jusz!

Hobart z desperacją spróbował zadośćuczynić barbarzyńskiej etykietce.

— Nie mogę! — zapiszczał zrozpaczony. Khurav rzucił mu mordercze spojrzenie. Uniósł wargi i pokazując zęby, warknął:

— Wienc to ta! Chcesz mnie obrasić! Pewni chcesz walczyć, coo? No, jusz!

Wstał gwałtownie. Niestety, najwyraźniej należał do osób, których odruchy fizyczne nie poddawały się łatwo zatruciu alkoholem. Dobył szabli z pochwy.

— Wstawaj! — krzyknął. Kiedy zaś zobaczył wahanie Hobarta, siłą podniósł go i postawił na nogi.

— Theiax! — wrzasnął Hobart czując, że jest wypychany przez główne wejście do wielkiego namiotu.

Khurav odrzucił go od siebie i spojrzał prosto w oczy.

— To ten lew, co? Ha ha! — podniósł głos, wydając najwyraźniej rozkaz: — Adshar! Fruż! Yzdeg!

— Thu, hipokryt! Thu, hipokryt! — odpowiedział jakiś głos w ciemności, a w świetle pochodni zmaterializowali się jacyś mężczyźni. Khurav zadał im pytanie, oni odpowiedzieli i natychmiast rozbiegli się. Hobart usłyszał pobrzękiwanie łańcuchów i ryki obudzonego Theiixa. Ryki grzmiały coraz głośniejsze, a łańcuchy brzmiały znacząco, z czego można było wywnioskować, że lew został spętany.

Khurav podszedł do Hobarta, który nadal utrzymywał, że nie ma żadnych złych zamiarów.

Wódz wydyszał:

— Nie masz tarczy? W takim razie ja tesz jej nie wezmę. Wyciongaj szablę.

Założył lewe ramię do tyłu, jak niemiecki szermierz i rozstawił nogi. W jego oczach odbijały się żółte płomienie malutkich pochodni.

— Ale!... — krzyknął Hobart.

Ciach! Ogromne ostrze ucięło pukiel włosów z głowy Hobarta.

— Wyciongaj! — wrzasnął Khurav. — Albo i tak cie zytne!

Rollin Hobart wyciągnął szablę. Prawdopodobnie żywot jego zostałby marnie zakończony w ciągu paru minut, na szczęście jednak barbarzyńca zaczynał być lekko oszołomiony wypitym alkoholem.

Obaj szermierze nie wykazywali się zbyt dobrym fechtunkiem. Hobart doskoczył do przeciwnika, zamachując się pełnym ramieniem. Ostrza zderzyły się, Hobart odstąpił i teraz on sparował straszliwy cios hipokryty. Siła uderzenia nieomal wyrwała szablę z ręki inżyniera, obracając rękojeść w dłoni. W tym momencie oko Hobarta spoczęło na kawałku nieosłoniętej skóry przeciwnika: dłoni chronionej jedynie przez osłonę rękojeści. Hobart podniósł szablę i opuścił ją uderzeniem z backhandu. Poczul, że trafił w cel.

Szabla Khurava upadła na piasek, a wielki barbarzyńca stał przyglądając się swojej prawej dłoni. Na jej grzbiecie widniała długa pręga, która, niestety, była jedynym urazem. Hobart zdał sobie sprawę, że uderzył przeciwnika płaską powierzchnią szpady. Czas uciekał. Nagle silnie, choć płasko, uderzył szablą w czaszkę przeciwnika. Brzdęk!

Khurav zatoczył się i usiadł. Mrugając powiekami spojrzął w górę i próbował coś powiedzieć. Następnie zaczął powoli się podnosić. Kiedy już udało mu się ciężko wstać, założył ręce na ramiona i rzekł krótko:

— Zabij mnie.

— Dlaczego? Nie chcę!

— Zabij mnie, mówię. Jestem zbyt dumny, aby żyć po tym, jak mnie upokorzyłeś.

— Och, bez przesady, Khurav! To tylko przypadek. Przecież my w ogóle nie powinniśmy byli walczyć!

— Więc odmawiasz? Dobrze. — Hipokryta wzruszył ramionami i obrócił się do jednego z widzów stojących wokół nich. Wydał jakiś rozkaz, i mężczyzna wyciągnął szablę. Khurav ukląkł przed nim, opuścił głowę i odgarnął włosy z karku.

Hobart z przerażeniem wpatrywał się w niecodzienne widowisko. Paranthaian splunął w rękę, przymierzył się do ciosu, podniósł szablę i opuścił ją z gwizdem. Hobart zamknął oczy, zanim ostrze dosięgło karku. Nie mógł natomiast, niestety, zamknąć uszu. Ciach, lup!

Grupa widzów wydała z siebie jakiś dziwny odgłos, który pobrzmiwał coraz głośniej. Najwyraźniej były to odgłosy łkania. Wielkie łzy toczyły się po twarzach barbarzyńców aż do ich bujnego zarostu. Połączyli szczątki tego, który zwał się Khurav i kilku z nich je wyniosło.

Hobart zastanawiał się, co teraz z nim będzie. Pewnie go zarzną, chociaż przez parę minut nie zwracali na niego w ogóle uwagi. Patrzyli na grupę odnoszącą zwłoki. Może udałoby mu się zniknąć w mroku... Zaraz, najpierw musiałby uwolnić Theiaxa. Oczywiście, cały ten pomysł z wyprawą ratunkową należał do Theiaxa, ale mimo to nie mógł go teraz tak zostawić...

Zaczął powoli iść w kierunku, z którego wcześniej dochodziły go porykiwania lwa. Zaledwie zdążył uczynić dziesięć kroków, silne dłonie schwyciły go z tyłu i rzuciły z powrotem w krąg światła latarni.

Barbarzyńcy skupili się wokół niego krzycząc coś i machając śmiercionośną bronią. Jeden z nich przystawił swoją zarośniętą twarz do twarzy Hobarta i darł się:

— Fez paretłwi ush lokh hipokryt! Ush hipokryt Parathen!

Reszta powtarzała za nim:

— Ush hipokryt Parathen!

Nie ulegało wątpliwości, że tłumaczyli mu, co też robią z osobami, które pozbawiły życia hipokrytę Parathai...

Stary już mężczyzna z orlim nosem, w wysokiej filcowej czapce z bokami opadającymi na uszy,

starał się ich uciszyć. Kiedy mu się to wreszcie udało, zwrócił się do Hobarta w łamany logaiańskim:

— Oni mówią ty nowy hipokryta.

— Ja... co?

— Ty nowy hipokryta, hipokryta Parathai.

— Ale... Ale ja nie chcę być nowym hipokrytą! Chcę tylko...

— Źle, że ty nie chcesz — odparł stary mężczyzna spokojnie. — Ale być za późno. Ty pobić Khurav. Ty być hipokryta. Teraz my... eee... yavzi... ty wiedzieć... podnieść ty!

Zrobili to z ogromnym entuzjazmem, wrzucając Hobarta na wielką tarczę niesioną na ramionach paru osiłków. Przynajmniej przez godzinę obnosili go wokół obozu. Mężczyźni śpiewali, kobiety skrzeczały i machały pochodniami, a dzieci darły się wniebogłosy. Protesty i prośby Hobarta, żeby odwiązać Theiaxa pozostały bez echa. Stary mężczyzna był jedynym barbarzyńcą, z którym mógł się porozumieć, ale niestety, w tej chwili zgubił się gdzieś w zamieszaniu.

Ponownie zmaterializował się, kiedy niosący tarczę wojownicy postawili go wreszcie przed namiotem.

— Ty jeszcze nie iść. Parathai musi przyrzec lojalność! — powiedział starzec.

Przed inżynierem sformowała się natychmiast kolejka mężczyzn, na początku której stał jakiś wyrosnięty chłopak. Z zapalem złapał i podniósł rękę Hobarta i wymamrotał zdanie po parathaijsku. Następnie odsunął się, a jego miejsce zajął kolejny poddany powtarzający ten sam schemat zachowania. Potem następny i następny. Kiedy Hobart uściśnął już około stu rąk, zaczął odczuwać ból dłoni. Przy dwustu dłoni była spuchnięta i czerwona, a stopy z lekka zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Przy trzystu oczy zaszyły mu mgłą i zataczał się ze zmęczenia. Przy pięciuset...

Nie wiedział, jak udało mu się to wytrzymać, gdyż każde uściśnięcie dłoni wywoływało teraz potężny ból aż do łokcia. Wreszcie ceremonia zaczęła zbliżać się do końca. Hobart na chwilę dotknął ręki ostatniego mężczyzny cofając ją szybko, zanim doszło do uścisku. Dziękował Bogu za to, że kobiety nie musiały również poprzysięgać wierności.

Zwrócił swoje nic już prawie nie widzące oczy w kierunku starca.

— Czy mogę już iść? — zapytał. Mężczyzna skinął głową.

— Jak się nazywasz?

— Sanyesh, wódz stu rodzin — odpowiedział starzec.

— Dobra, Sanyesh. Chcę cię widzieć jako pierwszego jutro rano — Hobart ociężale wtoczył się do namiotu i nagle poczuł, że ktoś z obu stron chwyta go pod ramiona. Zdążył jeszcze konwulsyjnie pomyśleć: Mordercy, kiedy usłyszał kobiecy śmiech i pobrzękiwanie cekinów.

Za nim odezwał się cienki głos Sanyesha:

— To twój żony, hipokryta. Podobać ci się, tak?

— Ale ja nie chcę...

— Trudno, ty pobić Khurav, więc one twoje. W porządku. One ładne dziewczyny, więc ty nie rozczarować je, dobrze? Dobranoc.

Rollin Hobart wepchnął chusteczkę do ust, żeby nie wydrzeć się na całe gardło.

Wdowy po Khuravie podały Hobartowi śniadanie, gdy tylko się zbudził. Służyły mu z oddaniem, ale nie mogły się powstrzymać od pełnych wyrzutu spojrzeń, tak jakby chciały powiedzieć: „W jaki sposób uraziłyśmy cię, panie?” No cóż, musiały jakoś zdławić te wyrzuty. Mimo że duch był chętny, to ciało...

Śniadanie składało się z kupy wszelkich możliwych organów i narządów jednej z owiec, prawdopodobnie tej, której mięso zjedli wczoraj. Niewątpliwie takie postępowanie było ekonomiczne i konieczne, jeśli barbarzyńcy chcieli przyjmować pożywienie zawierające odpowiednią ilość witamin. Ale Hobart prędzej by zdechł, niż zjadł którykolwiek z tych przysmaków.

Problem Hobarta polegał na tym, że był zbyt przyjazny. Bardzo łatwo można go było przekonać do przyjmowania na siebie nowych obowiązków, które następnie okazywały się przydawać mu kolejnych zadań. Dlatego cel, jaki sobie postawił, powrót do własnego kraju, tym bardziej się oddalał, im większe czynił ku temu starania. Cóż jeszcze mógł zrobić? Za każdym razem, kiedy już był bliski podjęcia nieugiętej decyzji odejścia, przychodził wyszczerzony Theiax albo barbarzyńcy ze swoimi szablami i bez problemu przekonywali go do dalszego zaangażowania. Może gdyby zaczął od zakatrupienia Theiixa... Nie, nie mógł tego zrobić.

Zdrada nie leżała w jego naturze, poza tym udomowiony lew był zabawnym i miłym kompanem.

Musiał albo wypełnić swoje obowiązki, albo przed nimi uciec. Oficjalne tytuły, jakie zostały mu bez pytania o zgodę narzucone, nie musiały przecież być przeszkodą w jego planach. Mógł wykorzystać swą władzę do odnalezienia Hoimona ascety...

przed ubraniem się wypędził swe „żony”, co bardzo je zdziwiło, po czym poszedł szukać Theiixa. Wkrótce odnalazł go rozwiązanego i nadąsanego. Nawet kiedy Hobart wyjaśnił mu zajścia poprzedniego wieczora, Theiax patrząc w ziemię, zamruczał:

— Jestem podle traktowany. Jestem upokorzony! Myślę, że jesteś moim przyjacielem, a ty pozwalasz tym ignorantom związać mnie jak świnie. Tracę swoją godność!

— Przestań już, Theiixie — uspokajał go Hobart. — Byłem praktycznie nieżywy, kiedy skończyli ze mną ostatniej nocy. Teraz już wszystko jest w porządku. Spójrz, może jak zrobię dla ciebie jakąś sztuczkę, poprawi ci się humor? Może stanę na głowie, co?

Usta Theiixa rozciągnęły się i wydobył się z nich jeden z tych kaskadowych ryków, które oznaczały śmiech.

— Śmieszny jesteś, książę! No dobrze, już mi przechodzi. — Lew pobiegł ścieżką między namiotami przed Hobartem, jak mały piesek.

Hobart wrócił do namiotu hipokryty.

— Zhizda Sanyesh Veg — oznajmiła mu jedna z wdów, co bez wątpienia oznaczało przybycie wodza stu rodzin.

Hobart zaczął go najpierw metodycznie wypytywać o prawa i obowiązki hipokryty. Był lekko zszokowany faktem, że te pierwsze praktycznie całkowicie przesłaniały te drugie. Być może gdyby został z Parathaiami dłużej, mógłby nauczyć ich czegoś o konstytucyjnym rządzie... Nie, no, znowu to samo Rollinie! Zajmij się swoimi sprawami! Zresztą z tymi analfabetami i tak daleko byś nie zajechał...

Było dość oczywiste, że jednym z jego pierwszych poczynań będzie wybranie spośród otaczających go osiłków strażnika królewskiej świty, wszędzie za nim podążającej. Dlaczego? Jak wyjaśnił mu Sanyesh, hipokryta jest zawsze otoczony swoją świtą i jest to jedna z oznak jego wodzostwa. Przyznał też, że w tej chwili nie ma pośpiechu z wybieraniem strażnika.

— Cóż — westchnął Hobart — a może by tak przeprowadzić inwazję na Marathaii? — Powiedział to, nie dlatego, że generalnie był za najeżdżaniem sąsiadów, ale ponieważ wyglądało na to, iż jest to jedyny sposób osiągnięcia celu.

Sanyesh podniósł białe brwi.

— A strzelby?

No cóż, to było rzeczywiście dobre pytanie. Marathaianie posiadali praktycznie wszystkie logaiańskie strzelby, a z powodu dużej odległości i niedoskonałych środków transportu zebranie odpowiedniej ilości uzbrojenia z innych ucywilizowanych państw, takich jak na przykład Psythoris, zabrałoby wieczność. Parathaianie mieli tylko białą broń. Natomiast ich przyszli przeciwnicy posiadali prócz niej strzelby i prawdopodobnie byli wspierani magią Lausa. Mimo wspaniałej budowy fizycznej Parathaian, przymiotnikiem najczęściej używanym przy ich opisie był „płochy”. Przyjmując, że opis ten powinien być, jak wszystko w tym świecie, rozumiany dosłownie, prawdopodobnie oznaczało to, że wojownicy barbarzyńscy przypuszczali gwałtowny atak, ale po pierwszej porażce, uciekali jak dzieci. Chyba że ich wodzem był Dżyngis Chan, ale tego o Rollinie Hobarcie nie można było powiedzieć.

Jeśli jednakże nie można było w żaden sposób wyrównać przewagi broni, to co dopiero marzyć o przewadze magii?

— Czy w waszym plemienu są jacyś czarnoksiężnicy albo magowie? — spytał Hobart.

— Był — odpowiedział staruszek i wzruszył ramionami.

— Jak to, „był”?

— Był szaman i dwa adept.

— I co się z nimi stało?

— Nie żyć. Oni mówić, że Khurav musieć walczyć z Marathai mocno albo w ogóle. On myśleć, że oni obrażać.

— A macie jakichkolwiek dobrych magów w Parathai albo gdzieś w okolicy?

Sanyesh zadumał się.

— Ikthepeli mieć uzdrowiciel. Nie bardzo dobry. Ikthepeli być brudny dzikusy, nie wiedzieć nic.

Plemię Ikthepeli żyło w dość znacznej odległości, więc Hobart zdecydował, że jest już zbyt późno, aby wysłać gońca. Pozostałą część dnia spędził usiłując nauczyć się od Sanyesha podstaw języka Parathaian. W ten sposób przekonał się na własnej skórze, że dobry inżynier jest zazwyczaj kiepskim lingwistą i na odwrót. Nauczył się więc paru słów, ale nie opanował podstaw kwiecistego języka Parathaian, w którym wydawało się być tyle deklinacji, co rzeczowników i tyle koniugacji, co czasowników.

Wdowy, starając się przejednać swego nowego pana i władcę, przygotowały mu specjalny obiad: jagnię z rusztu. Hobart pospiesznie zjadł posiłek, a następnie wyrzucił z namiotu Sanyesha, który mógłby siedzieć, pić i rozmawiać przez całą noc. Potem pospieszył do części sypialnej, chcąc jak najszybciej pogrążyć się we śnie tak, aby móc wstać jeszcze przed świtem. Tymczasem w łóżu znalazł wdowy uzbrojone w niedwuznaczne uśmiechy, które zmroziły krew w jego żyłach. Palcem wskazał wyjście.

— Wychodź, dziewczyny! — rozkazał.

Wdowy spojrzały na niego szeroko otwartym, oczami.

— Bish er unzen math shahv gvirsha? — zapytała jedna z nich.

— Nie wiem o co ci chodzi, więc daj sobie spokój Idę spać. Proszę się przesunąć.

— A, buzd unzen Hipokryt Shamzi yala?

Hobart domyślił się, że pytała, czy coś z nim jest nie tak. Poczzerwieniał i wrzasnął:

— Won!

Zrozumiały ton jego głosu i przestraszone uciekły.

* * *

Sanyesh patrzył z ukosa na jasne słońce, które właśnie wyskoczyło zza horyzontu. Po chwili rzekł do Hobarta:

— Zhav przysłać gorący dzień.

Nie była to dla inżyniera najlepsza informacja, ponieważ od razu zrozumiał, że dzień będzie bardzo gorący, praktycznie nie do wytrzymania. Na szczęście nie miał ze sobą płaszcza i wierzchniego ubrania. Zacisnął usta. Co za cholerny świat! A może to z nim było coś nie tak? Nie potrafił się zaadaptować, przez co nie mógł z przyjemnością spędzić nawet pięciu minut w tym

świecie, pomimo wszystkich honorów, jakimi wciąż obdarzali go tubylcy. Nonsens! Wiedział po prostu czego chce, to wszystko!

— Kto to jest Zhav? — spytał od niechcienia.

Rozmowa z Sanyeshem była udręką z powodu dialektu starca, ale pozostałych dwóch Parathaiian, Yzdeg i Fruz którzy jechali z nimi w charakterze próbnych strażników, nie mówiło ani trochę po logaiańsku. Zoli poleceni przez Sanyesha. Kiedy Hobart już ich zaakceptował okazało się, że byli serdecznymi przyjaciółmi Khurava. Chociaż nie wykazywali, jak dotąd, chęci pomszczenia poprzedniego hipokryty, ich obecność sprawiała, że Hobart czuł się nieswojo i trzymał muszkiet pod ręką.

— Pan wszystko — odpowiedział Sanyesh.

— Osoba rzeczywista, czy może żyje w niebie albo Coś w tym rodzaju? — dopytywał się Hobart.

— On rzeczywisty. Nie żyć w niebie. Ale być pan wszystko: ty, ja, lew, pogoda, wszystko.

— Brzmi jak Nois, o którym opowiadają Logaianie.

— Ten sam osoba, inny nazwa. Logaianie ignorant, nie używać właściwy nazwa.

— To barbarzyńcy są ig... — zagrzmiał nagle Theiax, ale Hobart obrócił się szybko w siodle i spojrzał na niego groźnie. Udomowiony lew zamilkł. Hobart zadał jeszcze parę pytań na temat Noisa–Zhava, który wydawał się zajmować w tym dziwnym świecie pozycję kogoś między japońskim cesarzem a żydowskim Jehową dla ubogich. Rzeczywiście mieszkał w realnym miejscu, w dzikim lesie, około stu kilometrów za granicami Maratii. Każdy mógł się z nim osobiście spotkać i porozmawiać o rzeczach takich jak susza czy zaraza, chociaż niewielu się na to odważyło. Kiedy Hobart spytał, dlaczego nie omawiają z nim innych tematów, korzystając z bliskości bogacesarza, Sanyesh wzruszył ramionami i odparł, że wydaje mu się, iż Zhav żąda odpowiedniej ceny za swoje usługi.

Wyjechali z krainy piaszczystych wzgórz i jechali Przez sawannę podobną do tej, na której Hobart polo—wał na dzikiego zwierza. Różnicą było jedynie to, że ta obecna była płaska jak powierzchnia stołu. Zatrzymali się wreszcie i odpoczęli godzinę, pozwalając koniom popaść się na trawie. Theiax, okręcając ogon wokół nosa poszedł spać i przeraźliwie chrapał.

Kiedy prażące słońce zaczęło opadać, przekroczyli kolejną ostrą granicę oddzielającą sawannę od pustyni Usłana była czerwonym piaskiem z wielką ilością zakopanych lub leżących na jej powierzchni sferycznych czarnych kamieni. Pustynia miała trochę zieleni w postaci cylindrycznych, kaktusowatych roślin rosnących równo w rzędkach rozmieszczonych co piętnaście metrów.

Musieli iść piechotą, aby konie nie nastąpiły na zdradzieckie, okrągłe kamienie. Serce Hobarta podskoczyło z radości, gdy Sanyesh wskazał na błyszczącą przed nimi w słońcu wodę. Był bowiem pewien, że za chwilę umrze z pragnienia, ponieważ ich niewielki zapas wody dawno już się skończył. Drugim powodem śmierci byłoby znudzenie.

— Jesteś pewien, że to nie fatamorgana? — spytał.

— Co to być fatamorgana?

— No wiesz, widzisz przed sobą wodę, ale tak naprawdę, to jej tam wcale nie ma.

Sanyesh podniósł swe chude ramiona tak wysoko, że prawie dotknęły uszu.

— Nie być coś takiego w Parathai.

Zapewne ma rację, pomyślał Hobart. W tym świecie wszystko było takie, na jakie wyglądało. Sanyesh powiedział mu, że zbiornik wodny, który leżał przed nimi to jezioro Nithrid. Było takie duże, że Hobartowi wydawało się iż jego przeciwny brzeg leżał daleko poza zasięgiem wzroku.

— Móc zobaczyć — stwierdził Sanyesh, kiedy Hobart spytał go o tę kwestię. Oczywiście, barbarzyńcy mieli dobry wzrok. — Jeśli nie, być morze, a nie jezioro — dodał staruszek.

Wkrótce dojechali do wierzchołka średniego wzgórza leżącego nad brzegiem jeziora. Hobart zauważył wiele żółtych sylwetek poruszających się w dole, przy brzegu. Prawdopodobnie i one zauważyły jeźdźców, gdyż kiedy ruszyli drogą w dół, małe sylwetki przyspieszyły swoje ruchy jak stado podnieconych mrówek. Do uszu Hobarta doszły słabutkie krzyki.

Barbarzyńca imieniem Fruz wskazał na sylwetki i coś ryknął.

— On mówić, musieć się spieszyć. Ikthepeli uciekać — przetłumaczył Sanyesh.

Ale zanim dotarli do jeziora, żółte dzikusy wpełznąły do wody swoje czółna z wydrążonego pnia drzewa i szybko wiosłując odpłynęli. Fruz i Yzdeg wykrzykiwali jeszcze przez chwilę epitety pod adresem tubylców znikających w odbijającym się w jeziorze zachodzącym słońcu.

— Chyba nam nie ufają, co? — skomentował Hobart.

Sanyesh splunął z pogardą.

— Niepotrzebni, chyba że do polowanie dla sport.

Jeśli barbarzyńcy mieli zwyczaj zabijania Ikthepeli dla samej przyjemności, Hobart mógłby zrozumieć, dlaczego ich powitanie nie było zbyt serdeczne. Jednakże zdecydował się nie rozpoczynać dyskusji na temat dylematów moralnych, więc spytał tylko:

— I co teraz?

— Znaleźć miejsce do spać — odparł orłonosy starszek. — Słońce szybko zajść. Zjadacze ryb wrócić.

— Kiedy?

— Może jutro, może nie. Nikt nie wie — odpowiedział starszek i wzruszeniem ramion podkreślił jeszcze nieistotność czasu.

U podstawy wzgórza znajdowało się wiele otworów w ziemi. Były to najwyraźniej wejścia do jaskiń, które zamieszkiwali dzicy. Hobart bez entuzjazmu obejrzał parę z nich. Mocno śmierdziały swoimi ostatnimi mieszkańcami i zawierały wiele pierwotnych rodzajów broni i narzędzi: drewniane włócznie, grzebienie z ości rybich i tym podobne. Popołudniowe słońce ogrzało jaskinie do temperatury piecyków.

— Spójrzeć, hipokryta — rzekł w pewnej chwili Sanyesh. Wskazał pieczarę, której wejście zasłaniała skórzana kotara. Kiedy ją odsunęli, owionął ich podmuch zimnego powietrza wydobywającego się z jej wnętrza. Pod kątem prostym do kotary z jaskini wyprowadzony był mały rowek, którego koniec ginął w piasku. W małym kanałku płynął strumyczek wody.

— Dobry dla spać, hipokryta — stwierdził Sanyesh. Akurat w tym momencie światło zgasło i zapadła ciemność, zupełnie jakby ktoś wyłączył żarówkę. Słońce zaszło, a ponieważ było za późno na dalsze badanie terenu, sugestia starca wydawała się najbardziej rozsądną.

Kiedy Theiax zgłosił się na ochotnika do trzymania warty, Fruz i Yzdeg po raz pierwszy spojrzeli na lwa po przyjacielsku. Ludzka część uczestników wyprawy rozłożyła się wygodnie w zimnej jaskini i zapadła w głęboki, błogi sen.

Rollina Hobarta obudziło światło i jakieś dźwięki. Światło wpadało przez wejście do jaskini, gdyż kotara była odsunięta na bok przez głowę Theiixa. Dźwięki natomiast wydobywały się z pyska zwierzęcia i były jego krzykiem:

— Żółci ludzie wracają, książę! Wstawaj!

Parathaianie ziewnęli i szybko powrócili ze swoich sennych wojaży.

— Co robią? — spytał Hobart, obmacując zęby językiem i marząc o szczoteczce do zębów.

Udomowiony lew obejrzał się przez ramię.

— Przy pływa wiele małych łódek. Jeden żółty człowiek wyskakuje i wychodzi na brzeg. Chcesz, żebym go zabił?

— Nie, nie! Chcę się z nim spotkać — Hobart wstał i całkowicie odsunął kotarę na bok. Czółna Ikthepeli stały parę metrów od brzegu, zapakowane żółtymi ludźmi, nie wykazującymi żadnych oznak wrogości. Przez plażę szedł jeden z dzikich, przysadzisty, w średnim wieku, z twarzą przypominającą pomarszczone jabłko oraz prostymi, czarnymi włosami. Na piersi miał naszyjnik z czaszką jakiegoś małego zwierzęcia, a w przekłutym nosie tkwiła podłużna kość. Było to jego jedyne odzienie.

Kiedy zauważył grupkę w jaskini powiedział coś wysokim głosem i rzucił się na ziemię. W ten sposób doczołgał się do nich przejawiając wszelkie oznaki najwyższego szacunku.

Yzdeg splunął i wskazując palcem na Hobarta rzekł

— Myavam hipokryt Parathen irs zamath varaliv Logayag vorara math a gviri!

Czołgający się mężczyzna podniósł głowę, spojrzął na inżyniera, robiąc nieco mniej beznajdzijną minę i powiedział dość poprawnie:

— Chciałbyś rozmawiać ze mną po lagaiańsku?

— Aaa...ha — odparł zdziwiony Hobart. — Wstań człowieku. Nie skrzywdzę cię!

— Błagam o łaskę dla mojego biednego ludu, który nigdy nie skrzywdził Parathaiian... — zaczął dzikus podnosząc się z ziemi.

— Dobra, dobra, powiedz im, że mogą wyjść na brzeg. Jeśli nie będą nas zaczepiać, to nic im nie zrobimy.

Dzikus odwrócił się i krzyknął coś do swoich ziomków siedzących w łodziach. Natychmiast wtaszczyli ostrożnie czółna na plażę, po czym cichutko zniknęli w swoich jaskiniach. Wszyscy byli bardzo wychudzeni i wyglądali dość mizernie. Z faktu, że rozmawiający z Hobartem dzikus wyglądał na najlepiej odżywionego, inżynier domyślił się, że jest to ich wódz.

— Szukamy uzdrowiciela Ikthepeli — poinformował go.

— Do czego jest wam potrzebny? — spytał wódz.

— Mamy do niego interes. Może nam pomóc.

— To ja nim jestem. Nazywam się Kai.

— Świetnie! W jaki sposób...

— Mizam Zhav! — krzyknął nagle Fruuz, gapiąc się we wnętrze groty. Wszyscy spojrzeli w tym kierunku. W świetle, które przedzierało się teraz do wewnątrz ukazał się oczom Hobarta widok, który zmierzwił mu czuprynę na głowie. Zobaczył wielkie kawały lodu, pod każdym z nich zwłoki ludzkie o jasnoczerwonej skórze.

— Kto to? — spytał Hobart. — Nie zdążyliście ich pochować, czy co?

— Nie — odparł obojętnym głosem Kai. — Musimy przecież coś jeść.

— Hę?

— Pewnie. To Rumatzi, których zabiliśmy w tegorocznej bitwie.

— Chcesz przez to powiedzieć, że wy... eee...

— Nie wiedzieliście? Każdej zimy wycinamy z jeziora bryły lodu. Wiosną organizujemy bitwę z Rumatzi, którzy mieszkają po drugiej stronie jeziora. Ta sama liczba wojowników z obu stron, takie samo uzbrojenie, szansę są więc równe. My zabieramy ich nieżywych, oni naszych. Mamy co jeść. Dobry pomysł, prawda?

— Nie dla mnie — nie zgodził się Hobart.

— Ale co innego możemy zrobić? Jest nas za dużo, a ryb za mało, głodujemy. Rumatzi też głodują. Musimy kogoś zabić, więc dlaczego nie mielibyśmy przy tym zabawić się w wojnę?

— Może jestem staromodny, ale wydaje mi się to dość makabrycznym sposobem chowania zmarłych.

Kai rozłożył ręce.

— Mielibyśmy walczyć tak jak ludzie na koniach i nie zjadać martwych? Według nas zabijanie ludzi bez żadnego dobrego powodu jest bardzo niedobre!

— Dobra, jak chcecie, to jedźcie choćby własne babki — powiedział pojednawczo Hobart. — Wracając do ważniejszych rzeczy, jak...

Usta i oczy Kaia otworzyły się w przerażeniu.

— Mielibyśmy jeść ludzi z naszego plemienia? Przecież to byłby kanibalizm! Zjadać ludzi! My jemy Rumatzi, oni jedzą nas. Zawsze uważamy, żeby przypadkiem nie pomieszać ciał! Wy, ludzie na koniach, macie takie złe, nieprzyzwoite pomysły! — mówił podniesionym głosem.

— Dobra, przestań już! Potrzebujemy pomocy dobrego magika w walce z naszymi nieprzyjaciółmi Marathaianami...

— Nic z tego! — przerwał mu Kai. — To nie moja wojna! Moi ludzie mają wystarczająco dużo problemów z Parathaianami, żeby wplątywać się jeszcze w kłopoty z Marathaianami! Poza tym, nie jestem dobrym magikiem. Jestem tylko biednym, głodnym Ikthepeli, który zna parę sztuczek mogących ochronić mnie i mój lud!

— Jakież to problemy mieliście z moimi ludźmi? — zapytał Hobart.

— Nie ukarzesz moich biednych ludzi, jeśli ci powiem? — odpowiedział pytaniem na pytanie Kai, przypatrując się z przestachem kompanom inżyniera.

— Pewnie, że nie!

— Dobrze. I tak byście mnie nie złapali. Zniknąłbym natychmiast, ale moi Ikthepeli tego nie potrafią. Pytasz o problemy. Czy nazwałbyś problemem to, że twoi jeźdźcy przyjeżdżają i przerabiają nasze łodzie na drewno na opał?

— Hmm... Chyba tak — przyznał Hobart.

— Czy nazwałbyś problemem to, że przyjeżdżają i zabierają naszą jedyną sieć, którą pletliśmy przez rok, tak, że musimy oszczędzać ryby, dopóki nie wpleciemy nowej sieci?

— Bez wątplenia.

Kai wyprostował się, jego wcześniejszy przestach gdzieś się ulotnił, krew zawrzała.

— Czy w takim razie można również nazwać problemem to, że gwałcą nasze kobiety na plaży, przed całym plemieniem? Że zabijają ich mężów, kiedy ci starają się ich powstrzymać? Trzech mężczyzn zginęło... zaraz, zaraz, kiedy to było... piętnaście dni temu. Pozostali przeżyli tylko dlatego, że szybko biegną. Jeden zginął cztery dni temu. Znaleźliśmy go martwego, przeszytego parathaiańską strzałą. Po prostu jeden z waszych ludzi chciał się zabawić. I co teraz powiesz, hipokryto?

Słuchając tego wszystkiego, Hobart był tak samo oburzony jak Kai.

— Wkrótce położę temu kres — stwierdził kategorycznie. — Ale poczekaj, wróćmy do twojej pomocy.

Kai spojrział na niego przebiegle, ale z taką otwartością, że efekt był bardziej śmieszny, niż straszny.

— Jeśli rzeczywiście powstrzymasz Parathaiian od najeżdżania nas, to wam pomogę — odezwał się po chwili Kai. — Ale czy jesteś w stanie tego dokonać? To bardzo dumni ludzie.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — zapewnił go Hobart. — Jeśli popełnią jakieś przestępstwo, ukarzę ich tak, jakby dopuścili się przestępstwa na członku ich własnego plemienia. Ale jak możesz nam pomóc? Rzeczywiście jesteś kiepskim magikiem, czy to tylko dowcip?

— Nie jestem najlepszy, ale ja również uczynię, co w mojej mocy. Może znam więcej niż tylko parę sztuczek.

— Na przykład?

— O, tego ci na pewno nie powiem. Tajemnica handlowa, jak to mówią, ha, ha, ha... — zaśmiał

się Kai.

— Bardzo śmieszne — uśmiechnął się gorzko Hobart. — Przynajmniej pokaż, na co cię stać.

— A więc patrz. — Kai spojrzał na niebo, wyciągnął w jego kierunku dłonie i zaczął zawodzić wniebogłosy:

Marekula eromanga,
Savaii upolu!
Maalaea topanga
Nukunana kandavu,
Pap pago oadmaru!

Kilkadziesiąt metrów ponad jeziorem zebrała się mała chmurka, wyglądająca najpierw jak zwykła chmurka na pogodnym niebie, potem jednak ściemniała, zgęstniała i przekształciła się w miniaturową chmurkę przynoszącą ulewny deszcz i burzę. Głos Kaia przeszedł w pisk i w pewnym momencie czarownik klasnął w dłonie. Natychmiast na jezioro spadła wąska strużka deszczu. Chmura zaczęła się obniżać i już po dwóch czy trzech minutach dosięgła powierzchni jeziora, które w tym miejscu spieniło się, tworząc bulgoczącą kipieli o średnicy piętnastu metrów.

Teraz Kai klasnął w dłonie dwa razy i deszcz natychmiast przestał padać. Chmura wyparowała. Kai obrócił się do Hobarta z szerokim uśmiechem.

— Niezła sztuczka, co? — powiedział.

— Niezła. Chcesz wziąć ze sobą jakieś rzeczy, zanim wyruszymy?

— Ja miałbym z wami jechać? O nie, panie! Nie ja! Boję się Parathaiian, a moi biedni ludzie potrzebują mnie. Mam lepszy pomysł! — Zdjął naszyjnik z małą czaszką gryzonia i powiesił go na szyi inżyniera. — Kiedy będziecie mnie potrzebować, schwyć za czaszkę, ściśnij ją, tylko nie za mocno, bo pęknie, i wezwij mnie. Przybędę natychmiast! Możesz mnie jednak wezwać tylko trzy razy. Później czar przestanie działać.

— Cóż... — zaczął powątpiewająco Hobart.

— Nie martw się. Przyjdę! Muszę chronić moich ludzi — Kai zastygł w bezruchu. Jego oczy wpatrywały się gdzieś w pustkę. Po chwili wziął kilka odłamków kości, które miał wplecione w wiechę na czubku głowy, rzucił je w powietrze i badawczo przyjrzał się układowi, w jakim spadły.

— Ha! — krzyknął. — Teraz hipokryto możesz dowodnie mi, że to, co mówiłeś jest prawdą. Ja pokazałem ci, co znaczy magia, ty mi pokaż, co to jest sprawiedliwość. Jeden z twoich Parathaiian zabił właśnie jednego z moich biednych ludzi!

— Co?!! — Hobart rozejrzał się wokoło. Yzdeg najwyraźniej gdzieś przepadł.

— Tak. Zabrał żonę Aao. Według nas zabieranie czyjejś żony jest przestępstwem. Ostatnim razem, kiedy to się stało, w czasach mojego ojca, oddaliśmy złoczyńcę Rumatzi, żeby mieli co jeść. Ale to jeszcze nie wszystko, żona Aao walczyła z twoim człowiekiem, a on wpadł w złość i zabił ją. Powiedz mi teraz, czy go zabijesz?

Hobart gwizdnał. Jak zwykle, właśnie gdy zamierzał odetchnąć z ulgą okazywało się, że jego zdumiewający fart miał w sobie jakiś haczyk. W tym przypadku był to całkiem okazały haczyk, gdyż inżynier musiał dokonać egzekucji na jednym ze swoich nowych kompanów.

— Czy mógłbyś... — zwrócił się do Sanyesha, ale urwał, kiedy zauważył kamienną twarz starca. Nie mógł ufać nikomu oprócz siebie. Musiał znaleźć Yzdega, dowiedzieć się, co zrobił i sprawić, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Podniósł muszkiet.

— Jazda! — krzyknął ruszając w kierunku miejsca, gdzie Theiax z nieszczęśliwą miną pilnował koni. Było ich tylko trzy. Do tej pory Hobart miał jeszcze nikłą nadzieję, że znajdzie Yzdega gdzieś smacznie śpiącego. Ikthepeli wyszli ze swoich jaskiń i okrążając z daleka Parathaiian przeszli z powrotem do łodzi, przygotowując się do ewentualnej ucieczki. Kai poszedł za ich przykładem, wplatając kości z powrotem w siano na głowie.

— Chodź z nami, zobaczysz co z tego wyniknie — zaproponował mu Hobart.

Kai przecząco potrząsnął głową, a Hobart, widząc spojrzenia, które Sanyesh i Fruzy posyłali

uzdrowicielowi, dobrze rozumiał, o co mu chodzi.

— Kości i tak powiedzą mi co się stało, hipokryto! — wyjaśnił Kai.

Hobart wsiadł więc na konia i pojechał na szczyt wzgórza. Przed nim rozpościerała się płaska, usłana kaktusami pustynia. Inżynier od razu zauważył jeźdźca na żółtym koniu poruszającego się dość spokojnie w ich kierunku. Bez wątpienia był to Yzdeg.

Szepty pomiędzy Fruzem i Sanyeshem jadącymi za Hobartem sprawiły, że skóra mu ścierpła na karku. Zabicie człowieka w sposób nie powodujący odwetu ze strony jego przyjaciół było nie lada sztuką.

Obydwaj Parathaianie najwyraźniej myśleli w ten sam sposób, gdyż w pewnym momencie Sanyesh krzyknął ostro:

— Hipokryta! Ja słyszeć ty rozmawiać z dzikus. Ty nie móc zastrzelić Yzdeg za taki mały wina! Fruż też tak mówić.

— Skąd wiecie, że on w ogóle coś zrobił? — spytał Hobart.

— Och, dzikus wie. Ale co z tego? Nie przestępstwo zabić bezużyteczny zjadacz ryb. Każdy to robić. Oni nie ludzie.

Rollin Hobart potrzebował właśnie tego stwierdzenia, aby upewnić się, że czyni dobrze.

— Od tej chwili są już ludźmi! — odkrzyknął. — Słyszałeś, jaki zawarłem układ.

— Ale, hipokryta! — nalegał Sanyesh — jeśli ona prawdziwy człowiek, dlaczego nie zachowywać się jak prawdziwy człowiek? Prawdziwa kobieta, jak Parathai nigdy nie chodzić bez ubranie, jeśli nie chceć, żeby mężczyzna wziąć ją. Jeśli ona prawdziwy człowiek, to znaczyć, że ona chceć, żeby mężczyzna wziąć ją. Być jej wina. Kobieta nie może powiedzieć do Parathai „weź”, a potem uderzyć go, to być zniewaga. A jeśli nie prawdziwy człowiek, to nie przestępstwo zabić.

— Bez różnicy — uciał Hobart. — Nowe prawo Parathai brzmi: Ikthepeli to prawdziwi ludzie niezależnie od tego, czy noszą ubranie, czy nie i jako takich należy ich traktować z szacunkiem. Ja, hipokryta, tak powiedziałem.

Wyglądało jednak na to, że praw barbarzyńców nie można było tak łatwo zmienić. Sanyesh nie dawał za wygraną:

— Ale to nie być prawo, kiedy Yzdeg zabić kobieta. Nie móc zabijać człowieka za prawo, które nikt nie znać! — starał się przekonać Hobarta.

To była niestety prawda. Nawet w konstytucji Stanów Zjednoczonych znajdował się paragraf mówiący o tym, że prawo nie działa wstecz. Poza tym, Sanyesh i Fruż zaczynali właśnie nerwowo bawić się rękojeściami swoich szabli, starszek delikatnie, a młodzieniec prowokująco. Hobart rozumiał więc, że może zastrzelić jednego z nich trzech, ale pozostała przy życiu dwójka z pewnością nie da mu już ponownie nabić muszkietu.

Tymczasem Yzdeg zbliżył się już do nich na odległość głosu. Słońce odbijało się w jego żółtych włosach. Podśpiewywał sobie coś pod nosem, tak jakby na świecie nie istniały dla niego żadne problemy. Wycierał przy tym zakrwawiony nóż kawałkiem cienkiej skóry.

Pozostali dwaj Parathaianie oczekiwali w napięciu, łypiąc na Hobarta. Inżynier powiedział jednak tylko: — Czas już wracać do domu, chłopcy — i skierował konia w kierunku Parathai.

Po chwili jazdy w milczeniu, Hobart podjechał do Sanyesha i spytał:

— Powiniennem dowiedzieć się więcej o prawach Parathai. Czy uznajecie prawo samoobrony?

— Tak — odparł doradca, nie robiąc przy tym zbyt przyjaznej miny.

— A co myślicie o pojedynkach?

— Zależec. Jeśli walka sprawiedliwa, taka sarna broń, takie samo wszystko, nie zbrodnia. Jeśli pojedynek z duża przewaga, jak strzelba, to morderstwo. Rodzina móc wziąć cię przed zebranie plemienia i dostać pozwolenie na zabicie.

— A co z odpowiedzialnością za czyny osób działających w czyimś imieniu?

— Co? — Sanyesh nie rozumiał.

— Przypuśćmy, że człowiek wynajmuje innego człowieka, żeby zabił trzeciego człowieka — wyjaśnił mu Hobart. — Kto jest mordercą?

— Każdy po połowa — padła odpowiedź. — Zamiast zabić jeden człowiek, my zabijając obu po

połowie.

— A w jakim to sposób? — spytał zaintrygowany Hobart.

— Prosto. Odcinamy w połowie głowę.

Hobart porzucił rodzący się w jego umyśle pomysł napuszczenia Theiixa na niezdyscyplinowanego Yzdega. Nie miało dla niego większego znaczenia, czy pozbawią go połowy głowy, czy też całej. Musiał więc zabić Yzdega w jakiś bardziej pokrętny sposób.

Nie chodziło o to, że Hobart chciał zabić Yzdega czy kogokolwiek innego, niezależnie od tego, jak odrażające wydawały mu się czyny barbarzyńcy. Obiecał jednak Gordiusowi i obiecał Kaiowi...

— Niech szlag trafi te wszystkie obietnice! — powiedział głośno.

Chwilę głęboko się zamyślił, potem rzekł do Sanyesha:

— Powiedz Yzdegowi, że najwyraźniej jest wystarczająco odważny, żeby zabić kobietę.

Sanyesh spojrział podejrzliwie na Hobarta, ale jednak rzucił coś w kierunku młodego strażnika. Ten w pierwszej chwili stropił się, ale zaraz odpowiedział dość długim przemówieniem.

— On mówić — tłumaczył Sanyesh — on odważny człowiek. Zabić dużo Marathai.

— Nie widziałem, żeby zabijał jakichś Marathaian, wiem jednak, że zabił kobietę — skwitował Hobart.

Tłumaczenie znowu potrwało chwilę, zanim Sanyesh ponownie zwrócił się do inżyniera.

— On mówić, że nie zabić prawdziwa kobieta, tylko brudna zjadacz ryb.

— W porządku — zakończył pojednawczo Hobart. — W takim razie jest wystarczająco odważny, żeby zabić biedną kobietę jedzącą ryby.

Tym razem Yzdeg zrobił marsową minę. Sanyesh oznajmił:

— On mówić, że być wystarczająco odważny, żeby zabić jadacz ryb, prawdziwa kobieta, prawdziwy mężczyzna albo każdy.

— Może i tak. Ale nadal nie widziałem, żeby zabił prawdziwego mężczyznę, albo nawet prawdziwą kobietę, tylko biednego zjadacza ryb i to w dodatku kobietę.

Kiedy zostało to przetłumaczone Yzdegowi, młody barbarzyńca nie wytrzymał. Podniósł się w strzemiączkach i zaczął coś wykrzykiwać. Kiedy Sanyesh mógł coś wreszcie powiedzieć, wyjaśnił Hobartowi:

— On mówić, ty go obrażać.

— Ależ wcale nie — zaprotestował Hobart. — Ja tylko stwierdzam fakty. Zgodzisz się przecież, że nie widziałem, żeby zabijał jakichś Marathaian oraz, że jeśli zabił kobietę Ikthepeli, to z pewnością jest na tyle odważny, aby to zrobić?

— Chyba tak — przyznał niechętnie Sanyesh.

Tym razem Yzdeg naprawdę wybuchnął. Zaskrzeczał coś i złapał za rękojeść szpady. Hobart na wszelki wypadek wyciągnął zapalniczkę i przyłożył do lontu strzelby.

Spokojnie, starając się zapanować nad tonem głosu, powiedział:

— Zgodzisz się chyba, Sanyesh, że nie zaatakowałem Yzdega i że jeśli on na mnie napadnie, to mam prawo zastrzelić go w samoobronie?

— Chyba tak — mruknął Sanyesh.

— Spytaj Fruza, czy mam rację. — Fruza zgodził się po chwili wahania. Dialektyka sprzeczki wykraczała zdecydowanie poza zdolność jego pojmowania.

Yzdeg nadal darł się wniebogłosem. Sanyesh tłumaczył:

— On mówić, że chcesz walczyć z tobą, ale strzelba przeciw szablom to nie uczciwie.

— Cóż... — zawahał się Hobart. Pojedynek na szablach z Yzdegim, który prawdopodobnie zrobi z niego sieczkę, był ostatnią rzeczą jakiej pragnął. — Powiedz mu, że jeśli jest wystarczająco odważny, żeby zabić kobietę jedzącą ryby...

Przerwał mu kolejny wybuch Yzdega, który najwyraźniej był już wystarczająco zaznajomiony ze sformułowaniem „kobieta jedząca ryby” i prawidłowo reagował na każde jego użycie.

— On mówić, szablom też nie uczciwie. Ty pobić Khurav, on najlepszy szablomista w Parathai, teraz ty być najlepszy szablomista. Ty zbyt dobry — rzucił Sanyesh.

Całe szczęście. Co jednak mógł zaproponować? Zapasy? Jedno spojrzenie na masywne ramiona

Yzdega wybiło mu ten niedorzeczny pomysł z głowy. Boks? Nie było to chyba najlepsze rozwiązanie. Jak większość pracowników wykwalifikowanych Hobart nie używał pięści od czasu, gdy był młodym chłopakiem, chociaż podobnie jak większość Amerykanów czuł, że pochodzi z narodu urodzonych bokserów.

Jego spojrzenie padło na czerwono-czarną powierzchnię pustyni.

— Powiedz mu, że skoro nalega na walkę, będziemy walczyć na kamienie, jeśli wszystko ma być uczciwie.

Yzdeg był już w stanie, w którym zgodziłby się nawet na walkę packami na muchy w budce telefonicznej. Zsiedli z koni.

— Mam nadzieję, że wiesz co robisz, książę — zaryczał Theiax. — Jeśli chcesz, żebym...

— Nie — przerwał mu Hobart. — Sanyesh, czy ty i Fruz zgadzacie się, że ponieważ obraza to stwierdzenie nieprawdziwe, a ja nie powiedziałem niczego, co nie byłoby prawdą, nie obrażam Yzdega?

— On mówić... ja nie wiedzieć...

— Albo coś jest obrazą albo nie, prawda? — rzekł Hobart triumfująco. Dwóch jeźdźców skinęło niechętnie głową. Hobart kontynuował: — Yzdeg wyzwiał mnie na pojedynek, praktycznie zmusił do walki, prawda? A ja zrobiłem wszystko, żeby nasze szansę były równe. Niezależnie od tego, jak to się skończy, nie złamałem żadnego z praw i zwyczajów Parathai, prawda?

Sanyesh w żaden sposób nie mógł zaprzeczyć choćby jednemu z tych stwierdzeń, niezależnie od tego, jak bardzo chciał.

Obaj pojedynkujący się zebrali po kupce czarnych kamiennych kuleczek i stanęli w odległości około piętnastu metrów od siebie. Hobart wykonał parę ćwiczeń ramienia, które nie rzuciło piłki baseballowej od czasu zakończenia college'u. Yzdeg nieudolnie starał się naśladować ruchy rywala. W końcu stanęli naprzeciw siebie z kamieniami w rękach. Sanyesh przyjął na siebie rolę sędziego.

— Yikki! — krzyknął.

Yzdeg rzucił pierwszy kamień dołem, dość niecelnie Inżynier nie zwracając na niego w ogóle uwagi złożył ręce z przodu, przeniósł nad głowę, w dół, do tyłu i do przodu naśladowując skok węża. Kamień świsnął koło prawego ucha Yzdega. Barbarzyńca rzucił drugi kamień jeszcze bardziej niecelnie i szybko się schylił, żeby zebrać dodatkową porcję amunicji. Hobart poczekał, aż ten zacznie się prostować, oszacował, gdzie znajdzie się jego głowa w momencie, gdy dotrze tam kamień i zamachnął się. Droga ruchu czoła i kamienia zbiegły się w jednym punkcie. Trzask!

Szybko pochowali Yzdega na pustyni, aby ciało mogło natychmiast rozłożyć się w gorącym piasku. Kości Kaia, gdyby ten ich użył, z pewnością przyniosłyby mu teraz oczekiwaną wiadomość.

Hobart dosiadł swego wierzchowca starając się ukryć, najlepiej jak potrafił, ogarniające go dreszcze. Sanyesh i Fruz podążyli za nim pełni zrozumiałego strachu.

Hobart jechał ze zwieszoną głową, więc podbiegł do niego zaniepokojony Theiax i spytał:

— O co chodzi, książę? Cokolwiek robisz, udaje ci się, a mimo to wyglądasz na coraz bardziej smutnego! Chcesz, żebym zrobił jakąś sztuczkę? Patrz! — I lew wywinął trzy koziołki.

Hobart uśmiechnął się szeroko.

— Dzięki stary druhu — odparł — ale gdybym chciał się śmiać, to rżałbym teraz spoglądając na własną sytuację. Jeśli chcesz mnie rozweselić, to wymyśl lepiej sposób, w jaki mógłbym stać się efektywnym, stuprocentowym nieudacznikiem!

Kiedy Hobart dotarł wreszcie do swego namiotu, a jego towarzysze chcieli odejść do własnych kwater, inżynier krzyknął:

— Hej, Sanyesh, nie skończyłem jeszcze z tobą!

— Co? — spytał starszek obracając się. Hobart wprowadził go do namiotu hipokryty.

— Sanyesh — zaczął — chcę natychmiast rozpocząć małą wojnę z Marathai.

— Wojna! — krzyknął Sanyesh podskakując z ręką na szpadzie. Zaskoczony inżynier po chwili zorientował się, że gest ten miał czysto symboliczny charakter. — Wojna! Ha! Ciach! Mach! Bum! Zabić mnóstwo Marathai! Wr-r-r — Wyraz zaciętości nagle opuścił twarz barbarzyńcy. Sanyesh przez chwilę spoglądał w pustkę, najwyraźniej nad czymś się zastanawiając. — Nie można zacząć zaraz wojny! Trzeba zebrać ludźmi, powiedzieć wódz, planować bitwa!

— Ile czasu to nam zajmie?

— Pięć... sześć dni.

— No to w porządku.

— Ha — zrzędził Sanyesh, siadając. — Jeśli ty nie chcesz wojna od zaraz, to dlaczego tak mówić. Ja się Podniecać po nic. Ty walczyć sprawiedliwie?

Pytanie zaskoczyło Hobarta. Odpowiedział po chwili zastanowienia:

— N-n-no, chyba tak

— Dobra — Sanyesh wstał, podszedł do wejścia do namiotu i popatrzył w ciemności ogarniające namiot na zewnątrz. Stał tam elegancki, młody barbarzyńca, który, jak wydawało się Hobartowi, musiał być kimś w rodzaju adiutanta. Sanyesh zagadał do niego coś po parathaijsku, po czym wrócił do inżyniera i spytał:

— Ilu ludzi ty chcesz wziąć?

— A ilu można zwerbować?

— Dwanaście tysięcy czterysta dziewięciu — odparł starszek bez zastanowienia.

— Dobra, bierzemy wszystkich. Sanyesh gwizdnął.

— Dlaczego ty mówić, że mała wojna, jak ona bardzo duża? Ty strasznie trudny hipokryta do zrozumieć. Ja myśleć, ty chcesz mała bitwa, po sto człowiek każda strona.

— Nie, tak tylko mi się powiedziało. Ale o co ci właściwie chodziło z tą bitwą po sto osób po każdej ze stron? Czy obydwaj przeciwnicy muszą wybrać tę samą liczbę walczących?

— Pewnie, każdy to wiedzieć! Hobart pokiwał głową w zamyśleniu.

— Rozumiem. Ma to swoje zalety, rozstrzygacie sprawę bez zbytecznego przelewu krwi.

— Och, nie o to chodzić — odparł Sanyesh. — Odważny Parathai nie bać się umierać i nawet w wielka wojna niedużo ginąć. To po prostu być niedo... niedogodne, kiedy tyle mężczyzna wychodzi z wioski, kiedy owca mieć młode.

— Cieszę się, że wasze wojny są dość bezkrwawe, ale jak to się ma do waszej odwagi?

— To proste — odparł Sanyesh z wyrazem twarzy nauczyciela tłumaczącego dziecku, że dwa razy dwa jest cztery. — Przypuszczać, że jest grupa mężczyzna, tak?

Dobrze. Grupa móc walczyć w szyk, tak? Nie móc walczyć, jeśli roz... no, ty wiedzieć, wszyscy osobno. Dobrze. Bitwa zacząć się. Ludzie upadać na ziemia, rozpychać się. Jeden albo dwa być zastrzelony. Grupa nie w szyk. Nie móc walczyć, więc uciekać. Nie tchórz uciekać, kiedy nie móc walczyć, nie?

Hobart pomyślał, że to wielka szkoda, iż wszystkie jednostki wojskowe, które w całej historii ludzkości uciekały przy pierwszej potyczce, nie znały logiki Sanyesha, dzięki której mogłyby usprawiedliwić swoje zachowanie. Zostawił jednak tę kwestię i przeszedł do bardziej rzeczowych pytań związanych z organizacją wyprawy. Starszek narysował węglem drzewnym szkic na kawałku skóry i opowiedział o kilku drogach nadających się do przeprowadzenia inwazji.

— No cóż — westchnął Hobart — nie mam zielonego pojęcia, która z nich jest najlepsza, jak ci się wydaje Sanyesh?

Sanyesh natychmiast wskazał najprostsza drogę do Marathai. Hobart wzruszył ramionami.

— Dobra, jeśli tak mówisz — rzekł, zgadzając się z barbarzyńcą. Wolałby jakieś bardziej pokrętne podejście przeciwnika, ale ponieważ nie mógł sam kierować ekspedycją, stwierdził, że będzie lepiej zgodzić się z radą Sanyesha.

Przeżył kolejny szok, gdy jadąc konno dokonywali z Sanyeshem przeglądu zbierających się oddziałów. — Słuchaj, Sanyesh, kim był ten młody chłopak, który siedział wczoraj z nami podczas rozmowy? Dzisiaj go nie widziałem — zapytał w pewnym momencie.

— On herold — mruknął starzec. — Pójść ostrzec Marathai.

— Co?!!!

— Ja powiedzieć, że on pójść ostrzec Marathai. Powiedzieć, kiedy my atakować, która droga, wszystko.

— O mój Boże! Więc to był zdrajca albo szpieg?

— Nie, nie, hipokryta! Ty powiedzieć chceć walczyć uczciwie. Dobrze. Kiedy walczyć uczciwie, wysłać herolda, żeby wyzwać przeciwnik, zorganizować pole bitwy. Jasne, tak?

— Cholernie jasne! — wściekł się Hobart. — Wygląda na to, że będziemy musieli zmienić plany i przeprowadzić nieuczciwą wojnę.

— Nie móc tego zrobić — zawyrokował spokojnie Sanyesh.

— A czemu do diabła nie?

— Rozkazy już wydane, przygotować się do uczciwa wojna, bitwa za pięć dni w Kotlinie Uzgend. A ty teraz chceć zmieniać. Musieć odwołać rozkazy. Potrwa kilka dni, zanim wszystko wrócić do stanu poprzedni, a potem jeszcze sześć dni do przygotowania się do nieuczciwa wojna. Więc my nie zdążyć do Kotliny Uzgend przed bitwą. Jeśli my nie przyjść, Marathai być obrażeni i powiedzieć, że my oszukiwać. Potem oni napaść na nas, zanim my być gotowi. Niemożliwe, hipokryta.

Hobart był wściekły i próbował się klócić, ale staruszek nie dał się przekonać. Wyjaśnił, że można było prowadzić przygotowania do uczciwej lub nieuczciwej wojny. W obu przypadkach były one inne i dlatego przygotowanie się do jednego rodzaju wojny, a prowadzenie innego było zupełnie niemożliwe. Należałoby wtedy zwyczajnie odwołać wcześniejsze rozkazy i zaczynać wszystko ponownie.

Hobart dał w końcu za wygraną, ale w nocy przyszedł mu do głowy pomysł na śmiały wybieg, pozwalający na obejście problemów stawianych przez Sanyesha. Następnego dnia oznajmiono mu, że zmobilizowanych i uzbrojonych zostało ponad dwa tysiące mężczyzn. Rozkazał Sanyeshowi:

— Powiedz im, żeby wzięli swoje posłania i jedzenie na jeden dzień. Chcę ich wziąć na całonocne manewry.

— Dobrze — odparł Sanyesh i przekazał rozkaz. Po południu wszyscy zdążyli się przygotować i wymaszerowali z obozu. Było tam 841 żołnierzy piechoty, potężnych wojowników falangi z sześciometrowymi włóczniami i reszta jeźdźców.

Hobart z ledwością przetrzymał beznadziejnie nudny ranek, dziękując opatrności, że nie został żołnierzem zawodowym i dzięki temu nie musiał częściej oddawać się tak przerażającej nudzie. Na około godzinę przed zachodem słońca doszli do miejsca, gdzie żółty piasek nagle zamienił się na biały. Wzdłuż linii demarkacyjnej leżał długi rząd małych obelisków ciągnących się w obie strony aż do horyzontu. Armia zatrzymała się i rozwiązała szyk.

— O co chodzi, Sanyesh? — spytał Hobart.

— Granica z Marathai — odparł Sanyesh.

— Tak myślałem. Ale dlaczego się zatrzymują?

— Ty powiedzieć, że to manewry, nie inwazja, hipokryta.

— Dobra, i co z tego? Według mnie, jeśli będziemy dalej maszerować, dojdziemy do stolicy Marathai przed zmierzchem. Możemy ich zaskoczyć...

— Niemożliwe, hipokryta. Nie móc zacząć przygotowań do uczciwa wojna i w połowie zacząć nieuczciwą wojna.

— Niech to szlag! — wrzasnął Hobart. — Masz im powiedzieć, że idziemy dalej! To rozkaz!

Sanyesh spojrział na niego cierpko, ale przetłumaczył informację podwładnym. Ci wyglądali na jeszcze bardziej zdegustowanych, ale wydali rozkazy ludziom. Zamiast kontynuować marsz, armia

stała nadal w miejscu z tą tylko różnicą, że rozgorzała teraz zacięta dyskusja. Po paru minutach małe grupki żołnierzy zaczęły się odrywać od oddziałów i ruszały w kierunku, z którego przyszły.

— Hej! — wydarł się Hobart. — Co to ma znaczyć? Bunt?

— Oni dezertować — odparł nonszalancko Sanyesh. — Oni mówić, ty ich oszukać. Nie lubić oszukujący hipokryta. Niedługo ja też odejść.

— Powiedz im, że po prostu zmieniłem decyzję...

— Nieważne. Nie lubić zmienny hipokryta, również.

Twarz Hobarta zmieniła kolor na siny, ale w końcu skapitulował.

— Dobra — mruknął. — Powiedz im, że żartowałem. Jestem strasznym kawalarzem, jasne?

Sanyesh spojrzał na niego zdziwiony.

— Ty śmieszny człowiek. Dobra! Świetnie! Parathai lubić dowcip. — Podniósł się w strzemiach i krzyknął: — Gish!

Ludzie powoli wracali. Nadal coś gadali, ale z czasem zaczęli się uśmiechać i śmiać na głos, co całkiem uspokoiło inżyniera. Kilku podeszło nawet do Hobarta, śmiejąc się, poklepując go po plecach i mówiąc coś w swoim języku.

Nagle złapali go za ramiona, skrzyżowali je za plecami i związali nadgarstki. Szybko pojawił się jeden z żołnierzy niosąc przyzwoicie skreconą linę z pętlą, która wkrótce zarzucona została na głowę inżyniera. Koniec liny przerzucono przez gałąź rosnącego obok drzewa.

— Hej! — krzyknął Rollin Hobart. — Co to ma znaczyć?

Nikt mu nie odpowiedział. Żołnierze uśmiechając się zacisnęli pętlę, a kilku potężnie wyglądających osiłków złapało przeciwny koniec liny. Dopiero teraz Hobart z przerażeniem zorientował się, co zamierzali zrobić; pognać jego konia tak, żeby on sam zawisł na drzewie. Okrzyki protestu nie przynosiły najmniejszego rezultatu.

Ciach! Silne uderzenie spadło na zad zwierzęcia, które rzuciło się do przodu. Hobart zacisnął zęby oczekując morderczego szarpnięcia. Lina zacisnęła się, szarpnęła... i przeleciała wolnym już końcem przez gałąź.

Teraz kawalerzyści zbrali się wokół Hobarta i jeden z nich rozwiązał mu nadgarstki. Kiedy się obrócił, cała armia pokładała się ze śmiechu, kiwając się w siodłach i tarzając po ziemi.

— Sanyesh! — wysapał inżynier. — Co to ma znaczyć?

— Ha-ha-ha! — zanosił się śmiechem staruszek. — Spodobać ci się żart, tak? Ha-ha-ha-ho-ho-hoo!

Hobart już nic się nie odezwał, nie chcąc sprowokować kolejnego żartu. Nie udało mu się to jednak. Kiedy tylko zszedł z konia, silne ramiona porwały go i wrzuciły na rozłożone prześcieradło. Trzymający je mężczyźni rozciągnęli teraz materiał i Hobart poszybował w powietrze. Kiedy spadł, znowu rozciągnęli materiał, a on poleciał jeszcze wyżej. Chwytał powietrze dłońmi, starając się nie spadać głową w dół. Pamiętał, że jest to najlepszy sposób na złamanie sobie karku. Góra — dół — góra — dół. Kręciło mu się w głowie i nie mógł złapać oddechu, na szczęście jednak w końcu opuścili go na żółty piasek. Zataczając się, podszedł do Sanyesha i chwycił go za ramię, żeby nie upaść.

— Ha, ha, ha — rechotał się staruszek. — Więcej zabawa. Ty chcesz więcej żart, tak?

— He, he, bardzo śmieszne — przedrzeźniał go Hobart. — Powiedz im, że była to wystarczająca dawka humoru jak na jeden dzień. Cofniemy się o parę mil i rozstawimy namioty. Potem porozmawiamy o kampanii.

Rzeczą, która najbardziej poruszyła Hobarta była myśl, że jeśli pozwoliłby całej armii zdezerterować, zostałby uwolniony od całej tej zgrai logicznych lunatyków. Cholerne obowiązki!

Nie rozumiał zupełnie parathaiańskiego poczucia humoru. Dopiero po skromnej kolacji jego zszarpane nerwy zaznały odrobiny spokoju. Pomyślał, że jedyną pociechą jest to, iż jako wódz nie musiał sam rozbijać swojego namiotu. Poza tym jako hipokryta miał prawdziwe łóżko, a raczej prawdziwy materac. Wszedł więc do swej kwatery myśląc, że zapomni o dzisiejszych przeżyciach, kiedy wejdzie z nim w bliższy kontakt.

Niestety, jakiś dowcipniś ułożył dokładnie na środku tegoż materaca piramidkę z końskich odchodów.

* * *

Parę dni później, po południu, gońcy przynieśli Hobartowi, jako naczelnemu wodzowi armii parathaiańskiej wieść, że Marathaianie ustawieni w szyki bojowe oczekują niedaleko w kotlinie. Nie była to wiadomość, która by go zaskoczyła, gdyż zauważył wcześniej odbijające się od zbroi promienie światła słonecznego. Sanyesh rozpoczął już rozstawianie armii.

Hobart nie miał zbyt wielkiego zaufania do starszaka, ale jedyną alternatywą było prowadzenie wojny samemu, co byłoby raczej nierozsądne. Nawet jeśli wiedział cokolwiek o strategii i taktyce, nie mógł przecież w ciągu kilku dni nauczyć barbarzyńców żadnej nowej techniki walki. Poza tym teren był na tyle nieprzyjazny, że tradycyjne metody walki były tu równie dobre, jak jakiegokolwiek inne. Maszerowali między pionowymi ścianami czarnych skał wysokich na ponad dziesięć metrów, w kotlinie o szerokości wystarczającej dla swobodnego rozmieszczenia armii, ale zbyt małej, aby można było myśleć o choćby najmniejszym rozwinięciu flanki w stylu Subotai czy Shermana.

Sanyesh wydawał rozkazy, a ponieważ najczęściej robił to będąc wystarczająco daleko od Hobarta, ten dowiadywał się o tym w momencie, gdy żołnierze zaczynali już dany rozkaz wykonywać. Mimo to żołnierze mieli wrażenie, że ich hipokryta rzeczywiście kieruje bitwą, tak jak powinien. Ponieważ nie mogli zrozumieć, w jaki sposób można być dowódcą, a jednocześnie nie dowodzić, nie zastanawiali się nawet nad takim problemem. Nie wykazywali poza tym żadnych oznak niezadowolenia z faktu, że Hobart nie jest jednym z nich. Inżynier tłumaczył to sobie tym, że są zbyt zaabsorbowani i zadowoleni z bitwy, by zaprzętać sobie głowy takimi drobiazgami. W jaki sposób będą zachowywać się po przegranej, to już inna sprawa. Hobart coś nie coś wiedział na ten temat i nie wyglądało to zbyt różowo.

Tymczasem nie miał nic innego do roboty, jak tylko przyglądać się z pewną obojętnością krwawemu dramатовi. Poczynania tych ludzi były tak niszczycielsko spójne, a ich motywy tak dziecinnie proste, że nigdy nie wydawali mu się istnieć naprawdę. Jeśli próba ta się nie powiedzie, będzie musiał zapuścić bokobrody i udać się w głąb Marathai przebrany za jednorękiego rycerza poszukującego chwały, lub kogoś w tym rodzaju. Oczywiście, mógł zrobić tak wcześniej, ale taka romantyczna, rycerska podróż była dla niego ostatnią możliwością.

Żaden z Parathaiian nie mógł mu pomóc w odnalezieniu Hoimona. Khurav na początku swego panowania oznajmił, że każdy asceta, który chciałby natychmiast otrzymać miano męczennika powinien tylko postawić stopę na terenie Parathai. Niewielu skorzystało z okazji i ostatnio kontakt między bractwem ascetów i Parathaią urwał się zupełnie.

Obrócił się do Sanyesha.

— Lepiej chyba rozłożyć drabinę — rzekł.

— Tak jest — odparł Sanyesh i wydał odpowiedni rozkaz. Składane drabiny były jedynym wynalazkiem jaki Hobart wprowadził do sztuki wojennej Parathaiian. Jak sama nazwa wskazuje, były to drabiny, które różniły się od widywanych na co dzień tym, że ich rozmiary były nieco większe. Z ich szczytu mógł patrzeć ponad głowami pieszych i konnych, i w ten sposób lepiej orientować się w przebiegu bitwy, niż gdyby stał na dnie kotliny.

Wszedł po szczeblach.

— Theiax! — zawołał, ale lew zapodział się gdzieś wśród żołnierzy, którzy, kiedy już się do niego przyzwyczaili, byli niezmiernie dumni z posiadania takiego sprzymierzeńca.

Wprost przed Hobartem znajdowała się falanga składająca się z sześciu tysięcy mężczyzn trzymających pionowo sześciometrowe piki jak włosie wielkiej szczotki. Po jej obu stronach ustawiały się w szyku małe oddziały lekkiej piechoty oraz ciężkiej konnicy. Lekka konnica, konni łucznicy rozstawili się w prostej linii wzdłuż całego frontu. Jeśli pomysł miałby tkwić w niespodziewanym rozmieszczeniu armii, to Hobart wątpił, czy udałoby się osiągnąć zaskoczenie, gdyż Parathaianie zawsze walczyli w tym samym ustawieniu.

Przeciwnik był już na tyle blisko, że można było odróżnić poszczególne sylwetki. Nieprzyjacielska armia najwyraźniej jednak w pewnym momencie zmieniła szyk. Na każdym skrzydle znajdował się oddział ciężkiej konnicy, pośrodku natomiast rozciągał się łańcuszek

piechoty, kwadraty pikinierów i prostokąty muszkieterów.

Przed każdą z armii pojawiły się teraz barwne sylwetki, pokrzykujące na siebie nawzajem. Hobart pochylił się w kierunku miejsca, gdzie stał Sanyesh i spytał, o co im chodzi.

— Pojedynek — odparł Sanyesh. — Ty zaraz zobaczysz.

Barwne sylwetki zagrały na trąbkach i wróciły do swoich oddziałów. Z marathaiańskiej armii wyjechał jakiś jeździec, który przegalopował w tę i nazad po żółtym piasku pomiędzy armiami. Marathaianie wzniesli okrzyki radości. Teraz spośród Parathaiian wyjechał jakiś jeździec. W szeregach Marathaiian zapadła cisza, ucieszyli się natomiast ich przeciwnicy. Obydwaj jeźdźcy ustawili się po przeciwnych stronach wolnej przestrzeni pomiędzy wojskami, które rozsiadły się wygodnie i w charakterze widzów przyglądały spektaklowi.

Żołnierze ucichli. Z daleka dobiegł tętent kopyt końskich pod dwoma śmiałkami, którzy za chwilę mieli zewrzeć się w pojedynku. Przemknęli jednak obok siebie zbyt szybko, by Hobart mógł zauważyć, co się stało. Dojrzał jedynie, że jeden z jeźdźców pojechał dalej, stojąc w strzemionach, podczas gdy drugi wypadł z siodła z włócznią pierwszego przesywającą jego ciało.

Z okrzyków radości Hobart wywnioskował, że zwycięzcą został Marathaiianin. Podjechał on teraz bliżej do szyków Parathaiian i wyzywał kolejnego śmiałka. Oczywiście, po chwili się go doczekał. Tym razem, kiedy się zwarli dał się słyszeć odgłos pękającej broni. Kawalki złamanych włóczni poszybowały w powietrze. Jeźdźcy okrążyli się, odrzucając resztki połamanych włóczni i wyciągając szable. Przez chwilę widać było tylko wymachujące szablami ramiona, a do uszu widzów dochodził szcęk broni. Potem jednak jeden z rycerzy spadł na ziemię. Niestety, najwyraźniej znowu był to Parathaiianin.

Sanyesh obrócił bladą jak ściana, zmartwioną twarz do swego wodza.

— Źle — wymamrotał. — Jeśli my przegram wszystkie pojedynki, my przegram bitwę.

— Dlaczego?

— Tak być zawsze. Ach, patrz!

Żółty cień Theiixa z podniesionym pionowo ogonem kołyszącym się jak maszt przemykał po piasku w kierunku wrogiego kawalerzysty. Ze strony Marathaiian rozległy się ostrzegawcze okrzyki, ale mimo że śmiałek przygotował się na niespodziewany atak Theiixa oderwał się od ziemi w potężnym skoku, uderzył z wielką siłą w mężczyznę i wyrzucił go z siodła. Koń uwolniony od jeźdźcy parsknął i krążył po polu walki zamkniętym przez nieprzyjacielskie armie i ściany kotliny, starając się za wszelką cenę wydostać na zewnątrz. Tymczasem lew stał nad Marathaiianinem i potrząsał nim tak, że jego ręce i nogi latały bezwładnie jak kończyny lalki. W końcu Theiix zmęczony igraszkami powrócił do szeregów armii.

Znowu pojawili się heroldowie.

— O co chodzi? — spytał Hobart, kiedy parathaiański herold przepchnął się przez tłum żołnierzy do Sanyesha i porozmawiał z nim przez chwilę.

— Protest — wytłumaczył Sanyesh. — Generał Baramyash mówić, jego ludzie nie walczą z lew. Nieuczciwie. Jeśli nie...

— I co z tego?

— Jeśli nie być pojedynki, to nie być też bitwa! — zdenerwował się Sanyesh.

— Bzdura. Świra można dostać, siedzę tylko i gapię się na tych matolów. — Hobart złapał za czaszkę gryzonia przewieszoną na piersi i zawołał: — Kai! — Bez jakiegokolwiek oddźwięku. Zawołał głośniejszym głosem: — KAI!

— Nie musisz się tak wydzierać — zapiszczał głos za nim. Był to, oczywiście, uzdrowiciel szczerzący się jak jakiś zdeprawowany żółty idol. — Czego sobie życzysz, hipokryto?

Hobart wskazał na armię nieprzyjaciela.

— Możesz ich nastraszyć? — zapytał.

— Nie wiem. Może. Co ma być, zakłęcie burzowe?

— Nie. Coś lepszego. Jakiś potwór na przykład. W tym momencie Sanyesh przerwał ich rozmowę:

— Uwaga, hipokryta. Nieprzyjaciel nadchodzić! Dowódca nieprzyjaciela, syn hipokryty Khovinida,

Baramyash alias Valangas najwyraźniej stracił już cierpliwość i wydawał teraz głośne i krótkie rozkazy. Marathaianie zakrzyknęli coś i ruszyli do przodu. Kai zmarszczył brwi.

— Mogę wyczarować żmiję. Patrz. — Zrobił parę kroków i zadeklamował:

Borabora tahaa
Totoya manua
Gorontalo morea
Niihau korea
Kealakekua!

U podstawy drabiny pojawiła się półmetrowej długości nakrapiana żmija. Natychmiastowym efektem jej pojawienia się było parsknięcie i zrzućenie jeźdźca przez stojącego w pobliżu konia.

— Zabierz ją! — krzyknął Hobart. — Nie tutaj! Nie możesz zesłać parę tysięcy takich zwierzątek w szeregach Marathaian?

Kai rozłożył ramiona.

— Mogę wyczarować tylko jedną na raz. Myślisz, że co, że jestem wielkim magikiem? Jestem tylko biednym, głodującym zjadaczem ryb...

— Zamknij się! — wydarł się desperacko Hobart.

Sanyesh opuścił go, żeby ustawić w szyku swoich ludzi. Jedyne znajome twarze znajdujące się w pobliżu należały do Kaia, konia Hobarta stojącego u podnóża drabiny i stajennego przytrzymującego konia. Inżynier nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby jego armia zaczęła uciekać, zanim uda mu się zejść z drabiny i wsiąść na swego wierzchowca.

— Co jeszcze potrafisz? Otworzyć ziemię?

— Troszeczkę — zakwilił Kai. — O tak:

Aia aia alala
Walia walla potala
Nuuanu nukuhiva
Tokelau kapaaa:
Rota, haleakala!

Ziemia zatrzęsała się i zagrzmiała. Drabina zakołysała się niebezpiecznie, przez chwilę zatrzymała się na granicy przewrócenia, po czym stanęła znowu pewnie na ziemi. Piętnaście centymetrów od niej w piasku pojawiło się pęknięcie. Stojący w pobliżu żołnierze spojrzeli z przerażeniem.

Hobart, który kurczowo trzymał się drabiny, odetchnął i krzyknął do Kaia:

— Ty głupku! Jeszcze jeden taki dowcip i wystraszysz mi całą armię! Nie mógłbyś zrobić czegoś tym po drugiej stronie linii frontu?

Kai zamachał rękami.

— Nigdy nie mówiłem, że jestem wielkim magiem! Jestem tylko biednym, głodującym...

Jego słowa zagłuszył wzmagający się grzmot kopyt końskich, gdyż kawaleria marathaiańska ruszyła do ataku wprost na flanki Parathaian. Ze swojego podwyższenia Hobart wyraźnie widział, jak jego kawaleria została poważnie przetrzebiona. Prawdopodobnie i jego własna kawaleria zauważyła to, gdyż kiedy włócznicy Baramyasha rzucili się na nich, formacja straciła ostre brzegi. Konie biegały w tę i z powrotem, a skrzydła parathaiańskiej armii rozpadły się na bezładny tłum podążających donikąd jeźdźców. Marathaianie krzyknęli tryumfująco i próbowali wyłapać przegranych. Cały tłum zniknął w dole kotliny w wielkiej chmurze pyłu.

Hobart przypomniał sobie opowieści Sanyesha, o tym, że barbarzyńcy uważali najmniejszą dezorganizację za dobry powód do ucieczki z pola walki, co, jak dowodzili dzięki logice Arystotelesa, było zupełnie oczywiste.

Ucieczka i pogoń pojawiły się tak nagle, że piechota po obu stronach nie zdążyła się nawet ruszyć. Hobart krzyknął do Sanyesha:

— Myślisz, że dopadniemy tych drani, zanim wróci kawaleria?

— Jak twój magik? — odpowiedział pytaniem na pytanie Sanyesh.

— Beznadziejny.

— To ja wiedzieć, ale czy on znać trochę magia?

— Nie za wiele. Kai, umiesz coś jeszcze? — Hobart potrząsnął uzdrowiciela za ramiona.

— Mogę sprawić, że dzikie kwiaty zakwitną. W zeszłym roku zatrzymałem szerzącą się wśród mojego biednego ludu zarazę. Umieję napędzić ryb do sieci...

— Wszystko zbyt pokojowe. Wy, dzicy, jesteście, cholera, zbyt cywilizowani, żeby żyć w tym świecie. Sanyesh, powiedz im, żeby ruszali. — Zrozumiał, że wcześniejsze nie wypróbowanie umiejętności Kaia było błędem. Chciał jednak zachować wszystkie trzy życzenia na później, co teraz okazało się niepotrzebnym skąpstwem...

Falanga ruszyła do przodu. Żołnierze w pierwszych rzędach opuścili piki i maszerowali na wroga w rytmie bębnow. Pozostali szli za nimi z pikami podniesionymi pionowo ku górze. Mieli stopniowo przyspieszać kroku, aż biegnąc uderzą w nieprzyjaciela, jeśli w ogóle w niego uderzą. Coć mogło się przecież wcześniej wydarzyć...

Trach! Z szeregów Marathaian buchnął ogień. Rozległy się okrzyki bólu i przestachu... Kai wszedł do połowy drabiny, po czym spadł na ziemię, kiedy parę kul muszkietowych świsnęło mu koło uszu. Rollin Hobart poszedł w jego ślady w bardziej jednak dostojnym tempie. Trach! Muszkiety w drugim rzędzie zagrzmiały. Hobart wskoczył na konia, kiedy zwierzę zaczęło podskakiwać w miejscu ze zdenerwowania. Trach! Falanga zwolniła, a następnie zatrzymała się. Trach! Zaczęli się cofać. Sanyesh galopował na koniu wokół nich pokrzykując, ale żołnierze nadal cofali się, aż wyszli poza zasięg strzelb.

Pierwszy rząd muszkietierów nie zakończył jeszcze ładowania, więc na chwilę zapadła cisza. Sanyesh krzyknął do Hobarta:

— Ty zrobić coś, cholera, szybko, Hipokryta! Marathai wkrótce strzelać...

Nagle mózg Hobarta przeszła, pędząca tempem błyskawicy, myśl.

— Kai! Deszcz na wroga, szybko!

Musiał powtórzyć rozkaz, zanim uzdrowiciel zrozumiał o co mu chodzi. Zaraz jednak Ikthepeli zaczął:

Marekula eromanga...

Zbita, mała chmurka uformowała się nad szeregami Marathaian. Po chwili spadły z niej strugi deszczu. Sanyesh i jego oficerowie sformowali falangę w coś przypominającego jej pierwotne ustawienie. Marathaianie spojrzeli ze złością na niebo, na prawo i lewo, a następnie wykonując polecenia zwierzchników zaczęli posuwać się do przodu, najpierw pikinierzy, a potem muszkieterowie. Falanga przeciwnika niepewnie ruszyła naprzód. Pomiedzy szczotką pik Hobart zauważył muszkietierów bezowocnie starających się wystrzelić z muszkietów, których lonty zamokły od deszczu.

Dwóm strzelbom udało się mimo wszystko wypalić. Bum! Bum! Salwa ta tylko wzmocniła siłę Parathaian, których pierwsze szeregi zorientowały się już w problemie nieprzyjaciela. Z przepelnionym pewnością siebie okrzykiem falanga pomaszerowała ponownie na wroga, który jednakże nie miał zamiaru czekać na uderzenie. Z zamokłymi muszkietami i zdecydowanie mniejszą liczbą pikinierów, Marathaianie wykonali teraz podobny manewr, który wcześniej zaprezentowała kawaleria parathaian. W ciągu trzydziestu sekund cała masa żołnierzy uciekała w popłochu rzucając piki i muszkiety. Niektórzy nawet pozbywali się hełmów, pancerzy i nagolenników, dzięki czemu mogli uciekać szybciej.

Kawaleria Marathaian skupiła się ponownie w kotlinie tuż przed zachodem słońca. Żołnierze podśpiewywali wesołe piosenki i wymachiwali łupami, które udało im się zdobyć w wozach z zaopatrzeniem przeciwnika. Ogólnie rzecz biorąc, ich samopoczucie było wyśmienite. Pognali za podwładnymi Hobarta aż do niższego ujścia kotliny nie odnosząc praktycznie żadnych strat. Kiedy jednak wrócili na pole bitwy znaleźli jedynie paru rannych i nieżywych żołnierzy oraz ogromną

ilość sprzętu wojskowego, włącznie z paroma tysiącami muszkietów rozsianych po całym dnie kotliny. Marathaianie zdziwieni przedyskutowali między sobą dziwne znalezisko, wyjaśnili sobie, co się stało i spokojnie odjechali. Cóż, jeśli przegrali bitwę, to trudno, nie pierwsza i nie ostatnia.

Następnego dnia Rollin Hobart rozłożył się już wygodnie w marathaijskim mieście namiotów, po czym udał się do kotliny, żeby pozbierać sprzęt i tych spośród rannych, którzy przeżyli noc. Poszedł z nim Kai, mając na głowie jakiś dziwny turban. Niektórzy z żołnierzy parathaijskich, po nocy igraszek z kobietami podbitego państwa, posłali rano do Sanyesha delegację, która zaprotestowała przeciwko temu, że po obozie biega nagi dzikus. Domyślając się kto to taki, Sanyesh znalazł jakąś starą parę spodni i przekazał ją wraz z instrukcją użytkowania Kaiowi. Uzdrowiciel zadowolony z prezentu, nie rozumiejąc jednak jego przeznaczenia, zrobił z nim to, co wydawało mu się najbardziej stosowne a mianowicie owinął je wokół swej szerokiej żółtej głowy.

Teraz Kai obserwował ludzi, którzy w czasie walki mieli okazję z bliższej odległości zaznajomić się z kulą muszkietową i zauważył:

— Wszyscy ci zmarli zupełnie się zmarnują. Co za źli, niemądry ludzie! Muszę już iść, Hipokryto. Jeśli mnie będziesz potrzebował, zawołaj me imię. Do widzenia! — I Kai zniknął.

Rollin Hobart doszedł do wniosku, że jeśli zrzuci wystarczająco dużo obowiązków na starego Sanyes—ha, to nie będzie on miał czasu knuć zdradzieckich planów. A takie plany pojawiłyby się prędzej czy później. Hobart nie miał co do tego wątpliwości, ponieważ Sanyesh choć był jedynym środkiem komunikacji z podległymi mu siłami, ale nie darzył go zbytnią przyjaźnią. Jeśliby zdecydował się zostać hipokrytą, Hobart niewiele mógłby na to poradzić. Gdyby jednak zlikwidował Sanyesha, znalazłby się w jeszcze gorszej sytuacji, niż obecna.

Jego jedyną nadzieją było więc szybkie działanie, zanim ktoś zorganizuje bunt. Ocalić Argimandę, wysłać ją do ojca i szybko zniknąć. Abdykując i obsadzając jakiegoś Parathaianina na swej obecnej, gorącej posadzie, uprzedziłby skierowaną przeciwko sobie rewoltę. Jeśli mu się to jednak nie uda, o dobry Boże, jeśli jego los nadal będzie kroczył tą samą ścieżką, to Marathaianie mogą również zechcieć wybrać go na swojego Hipokrytę! Może nawet będą chcieli walczyć z Parathaiainami o przywilej posiadania go jako wodza. Może się również zdarzyć, że jakiś miejscowy Salomon zasugeruje kompromis, polegający na przecięciu Hobarta na pół i podarowaniu go obu zainteresowanym stronom.

Inżynier miał jednak nadzieję, że do tego momentu dawno już będzie daleko stąd, szukając, w przebraniu, Hoimona i starając się wrócić do domu. Do domu! Stary dobry Nowy Jork! Piękny i potężny, odpowiednie miejsce dla kogoś, kto jest inżynierem. Uprzejmi, interesujący przyjaciele, cóż z tego, że niektórzy z nich uważali go za zawziętego starego zrzędę. Nie jest przecież zawzięty, nonsens! Po prostu wie, czego chce...

Tak Rollin Hobart myślał o firmie Higgins & Hobart, kiedy wjeżdżał do marathaiańskiego miasta namiotów. Za nim toczyły się skrzypiące wozy wyładowane pikami i muszkietami.

Kiedy już prawie dotarł do niesprawnej fosy i wału obronnego, na spotkanie mu wyjechał Sanyesh z kilkoma żołnierzami świty i sztandarem. Odległość była bardzo mała, ale jako doradcy wodza duma nie pozwalała mu iść piechotą.

— Ja wysłać ludzi do Logai — rzekł staruszek — żeby opowiedzieć Gordius o bitwa, tak jak ty kazać. Przyjechać połowa nasza kawaleria i trochę Marathai. Oni powieścić, że przyłączyć się do nas, jeśli my dać im z powrotem ich rodzina. Jeden z nich wiedzieć coś o Laus. Dobrze mówić po logaiański. Ty chcieć rozmawiać?

— Tak, natychmiast — odparł Hobart. — I powiedz tym Marathaianom, że z chęcią oddamy im ich rodziny bez żadnych zobowiązań, chociaż, oczywiście, będzie nam bardzo przyjemnie, jeśli nadal będą chcieli się do nas przyłączyć.

Hojny gest mógł okazać się słusznym lub głupim posunięciem. Jeśli jednak była to zbyt pochopna decyzja, to już następcą Hobarta będzie biedził się nad jej skutkami.

Przyprowadzony Marathaiainin okazał się być młodym wodzem stu rodzin o imieniu Gorvath. Sprawił Hobartowi wielką przyjemność faktem, iż wspaniale władał logaiańskim i inżynier mógł wreszcie normalnie z kimś porozmawiać.

— Jeśli będziesz działać z wyczuciem, Hipokryto, to w ciągu miesiąca możesz mieć wszystkich Marathaiain — oznajmił Gorvath. — Khovind i Baramyash mają swoich zwolenników, ale reszta naszej armii jest rozsiana po całym kraju. Wątpię, żeby hipokryta Khovind zdołał zebrać wielu popleczników, gdyż rozniosła się wieść, że szczęście Zhava jest z tobą.

— Hmm... — zastanowił się Hobart. — Nie wyglądasz na zbytnio zasmuconego losem swoich niedawnych dowódców.

Na twarzy Gorvatha osmalonej pędem powietrza pojawił się uśmiech. Wzruszył ramionami i wyjaśnił:

— Ja też myślę, że jest z tobą szczęście Zhava... albo Noisa, jak wolisz.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę przez to powiedzieć, że wygląda na to, iż nasz pan wybrał ciebie na tego, który podbije nasz świat, jak daleko, nikt jeszcze nie wie.

— Poważnie?

Gorvath zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem, nie kłamię, jeśli o to ci chodzi. Dlatego też, będąc przy zdrowych zmysłach chcę związać z tobą mój los tak mocno, jak tylko mi się uda. Nie zdziwię się, jeśli hipokryta Khovind i jego syn zrobią to samo.

Akurat!, prychnął w myślach Hobart. Najpierw będą musieli go złapać. Na głos powiedział jednak:

— Co możesz mi powiedzieć o czarnoksiężniku, Lausie?

Gorvath zachichotał.

— Łajdacy zawsze zdradzają, inaczej nie byłiby łajdakami. Laus przyleciał tu w zeszłym tygodniu na tych swoich skrzydłach, które zamieniają się w osłonę od deszczu. Przywiózł ze sobą córkę Gordiusa jako zakładniczkę. Wkrótce potem pojawił się Baramyash po czterech latach spędzonych w przebraniu na dworze Gordiusa. Okazało się, że ich mały plan z logaińskim kanclerzem zakładający wycięcie w pień rodziny królewskiej i podbicie oraz splądrowanie królestwa, nie powiódł się z powodu przybycia księcia Rollina, który jak wszystko na to wskazuje, jest teraz również hipokrytą Rollinem. Co stało się później, tego dokładnie nie wiem. Wydaje mi się jednak, że Baramyash i Hipokryta Khovond myśląc, że czarnoksiężnik, który dopiero co zdradził jednego pana, podobnie uczyni z następnym, zdecydował się zlikwidować niebezpieczeństwo i posłużyć się córką Gordiusa jako zakładniczką. Uważali, że mając księżniczkę oraz większość muszkietów w Logai nie potrzebują już magii Lausa do pokonania Gordiusa. Jak się domyślam, Laus przejrzał ich plany, dzięki swojej sztuce magicznej, gdyż szybko założył swoje skrzydła i odleciał z księżniczką zanim cokolwiek mu się przytrafiło.

— Gdzie poleciał? — wypytywał Hobart.

— Nie wiadomo. Kiedy ostatnio go widziano, leciał na południe.

Hobart zastanowił się. Rozbita piechota Hipokryty Khovinda uciekła w większości na północ i wschód. Kawaleria rozjechała się we wszystkich kierunkach. Prawdopodobnie duża jej część pojechała na południe, gdyż ten kierunek zapewniał ucieczkę daleko od Logai i Parathai, jak również armii parathaińskiej znajdującej się na wschodzie. Gdyby pojechał z małym oddziałem na południe, ryzykował napotkanie większych sił Marathaiian... Jeśli jednak będzie czekał, aż wszystko znajdzie się pod jego kontrolą, wydarzenia zaczną kierować jego poczynaniami. Nie wiedział jeszcze, w jaki sposób, ale na pewno tak by się stało...

Nagle wstał i zawołał:

— Fruz, Sanyesh, gvakh! — Polecenie: „Dawać Sanyesha” stało się nieomal jego automatyczną reakcją na wszelkie problemy związane z barbarzyńcami. Do Gorvatha powiedział jeszcze: — Jeśli chcesz się do mnie przyłączyć, możesz jechać ze mną. Jedziemy po Lausa!

Kiedy się przygotowywał, jego umysł wyświetlał nowe plany i alternatywy. Wezmą grupę około stu żołnierzy z najszybszymi końmi. Zawoła Kaia... nie, lepiej poczeka, aż znajdą Lausa. Dzikus prawdopodobnie nigdy nie jechał jeszcze na koniu i nie miał ochoty próbować. Jeśli ktoś będzie ich gonił, to powinni zdołać uciec. Hobart zdążył już nauczyć się porządnie jeździć na koniu, był już prawie ekspertem w tej dziedzinie. Jak jednak odnajdą czarnoksiężnika? Proste. Hobart pamiętał, jak magia działa na zwierzęta.

Kiedy wydał odpowiednie rozkazy, Sanyesh zaczął z niezadowoleniem potrząsać głową, lecz dwie godziny później, czyli tuż przed zachodem słońca zgromadził setkę lekkich kawalerzystów z zapasem koni. Hobart przekazał starszemu władzę w obozie i wzięwszy Gorvatha za przewodnika i tłumacza odjechał. Theiix maszerował obok niego radośnie pomrukując. Gdyby się okazało, że Marathaiianin wprowadzi ich w pułapkę lub specjalnie sprawi, że się zgubią, albo okaże się, że Laus nie poleciał wcale w tym kierunku... Hobart nie przejmował się. Podjąłby każde ryzyko, aby tylko zakończyć tę ostatnią misję w jego karierze, a sądząc po dotychczasowym szczęściu, nie musiał przejmować się przeciwnościami losu...

Jechali powoli, oświetleni blaskiem gwiazd. Hobart oceniał, że przejechali już sześćdziesiąt kilometrów, kiedy słońce nagle wyskoczyło zza horyzontu. Zgadywał, że Laus poleciał o wiele dalej od miasta namiotów. Wydał więc rozkaz rozwinięcia szyku w linię długości kilku kilometrów i powiadomienia go o wszelkich oznakach zdenerwowania koni. Zwierzęta po całonocnej podróży

wyglądały na trudne do poruszenia czymkolwiek.

Opuścili sawannę, przez którą jechali od dłuższego czasu i wjechali w pagórkowaty krajobraz. Każde wzgórze było niskie i miało kształt identyczny jak wszystkie inne, nawet biorąc pod uwagę zarośla rosnące na jego szczycie. Jediną formą zwierzęcą spotykaną od czasu do czasu był ptaszek lub jaszczurka. Po żołnierzach marathaiańskich zniknął wszelki ślad.

Hobart ziewnął z nudy i zmęczenia. Żaden kawałek tej ziemi nie wykraczał poza ograniczoną ilość ukształtowań terenu topograficznie identycznych: stożkowe góry, półkoliste wzgórza, płaskie równiny i tak dalej. Przykrywająca je roślinność również układała się w parę zaledwie typów: dżungla, trawa lub brak jakichkolwiek roślin. Nie widział jeszcze wszystkich możliwych kombinacji tych czynników, ale był pewien, że potrafi z dużą dozą dokładności wyobrazić je sobie, więc po co właściwie było okrażać świat, żeby je zobaczyć? Prosił tylko w duchu o szansę znalezienia Argimandy, bezpiecznego odholowania jej do ojca i... Takie sprawy, jak to, kto zostanie Hipokrytą tego czy innego plemienia i co powinno się zrobić z muszkietami logaiańskimi, nie interesowały go zupełnie.

Kolejna godzina leniwie wdrapywała się na plecy swej poprzedniczki. Było już prawie południe, kiedy jeden z jeźdźców przygalopował do Hobarta i wyrzucił z siebie niezrozumiały potok słów.

— On mówi, że konie na prawym skrzydle stają dęba — wyjaśnił Gorrath. — Czy o to ci chodziło?

— No. Otoczyć go! — rzucił Hobart. Trudno, niech Laus zamieni go w małą kupkę czarnego popiołu, i tak nie ma nic gorszego niż samotne przemierzanie tego ohydneho świata!

Parathaianie szybko zorientowali się co do przyczyny niepokoju koni i nie wykazywali szczególnego zapału, aby zbliżyć się do czarnoksiężnika. Hobart pomyślał, że zapewne udałoby mu się wzbudzić w nich entuzjazm odpowiednią gadką zachęcającą do boju, ale jak dotąd nie wygłaszał takiego przemówienia i nie miał zamiaru teraz czynić tego po raz pierwszy. Powiedział im więc tylko, żeby się rozciągnęli jak najszerzej wokół koła magicznej mocy. Następnie zsiadł z konia i przywiązał go do krzaka. Ani konie, ani barbarzyńcy nie mogli mu już dalej pomóc.

Schwycił czaszkę gryzonia i krzyknął:

— Kai!

W powietrzu pojawiła się jakaś ciemniejsza plama, przypominająca chmurę pyłu i rozległ się syczący gwizd. Po chwili stanął przed nim uzdrowiciel. Kiedy Hobart tłumaczył mu, co zamierza zrobić, jego szeroka, szafranowa twarz wydłużała się coraz bardziej.

— Nie jestem dobrym magikiem! — zajęczał. — Znam tylko parę małych zaklęć, które pomagają mi ochronić mój lud!

— To i tak lepiej, niż nic — odparł niewzruszenie Hobart. — Co mógłbyś zrobić, żeby odparować albo zneutralizować czary Lausa?

— Cóż... zaraz... mogę... auu! Proszę, Hipokryto, każ swojemu lwu przestać obwąchiwać moją nogę, to mnie d-d-denerwuje!

Kai powiedział, że może stworzyć coś w rodzaju tarczy, która chronić ich będzie przed wszystkimi, oprócz najsilniejszych zaklęć.

Potrzebował do tego gałązek i skóry ryb. Gałązki nietrudno było znaleźć w okolicznych krzakach, ale ryby stanowiły pewien problem.

— Wyczaruj je — poradził Hobart.

— Nie ma wody — lamentował Kai, rozkładając ręce.

— O mój Boże, no to spuść deszcz! — warknął Hobart. Fakt, że Kai znał parę magicznych sztuczek nie oznaczał wcale, że dzikus był geniuszem. Z pomocą Theiixa wykopali w ziemi małe wgłębienie o średnicy sześćdziesięciu centymetrów, a zaklęcia Kaia zaczynające się od „Marekula eromanga...” sprowadziły chmurę burzową metrowej wielkości, która napełniła dziurę wodą. Kolejny czar zappełnił wodę podskakującymi rybami. Tu proces myślowy Kaia znowu zawiódł i Hobart musiał zasugerować rozhisteryzowanemu wróżbicie, że powinien wyczarować sobie jeszcze nóż do obrania ryb.

Tarcza miała kształt i wygląd charakterystyczny dla dziecięcego latawca, ze skórą ryb rozpiętą zamiast papieru.

— Musisz trzymać ją przed sobą jak prawdziwą tarczę. Ale uważaj, nie jest tak wytrzymała jak prawdziwa — powiedział Kai.

Hobart spytał go, co jeszcze potrafi wyczarować. Ten policzył najpierw na palcach obu rąk znane mu zaklęcia i odparł, że jedynym, które może im się jeszcze przydać jest czar szerszenia.

— Dobra — westchnął Hobart. — Idziemy.

— Co? O nie, ja nie idę! Nie mógłbym stanąć oko w oko z wielkim Lausem. Nigdy nie uczyłem się do college'u dla magów. Jestem tylko biednym zjadaczem ryb...

— Jazda! — ryknął Hobart. — Chyba, że chcesz sprowadzić na swoich ludzi coś naprawdę niemiłego!

Przekłusowali ostrożnie wśród niskich pagórków, aż w pewnym momencie Theiax zatrzymał się w pół kroku z jedną łapą uniesioną do góry, położył uszy po sobie i cichutko zaryczał. Hobart dojrzał na wierzchołku pagórka małą sylwetkę. Zapalił lont muszkietu.

— Spróbuję podkraść się i strzelić — powiedział cicho. — Jeśli to się nie uda, rzucimy się na niego. Będę trzymał tarczę przed sobą tak długo, aż dojdę blisko niego i będę go mógł dosięgnąć mieczem. Wy dwaj zostańcie za mną, żebyśmy mogli was osłaniać.

— A jak odleci? — spytał Theiax.

— Rzeczywiście — Hobart złapał się za brodę. — Z czego zrobione są te jego skrzydła?

— Chyba ze skóry sępa — odparł Theiax.

— Świetnie! Kai, jak będzie się chciał wzbic do lotu, sprowadzisz na niego ulewę! Jeśli uda ci się przemoczyć jego pióra, to daleko nie uleci.

Kiedy między nimi a wzgórzem, na którym stała wieża Lausa pozostało już tylko jedno wzniesienie, wczolgali się powoli na jego szczyt i popatrzyli przez krzaki. Hobart usłyszał, jak Theiax głęboko wzdycha. Spojrzał w kierunku wieży i na jej szczycie dojrzał postać ludzką w przejrzystych szatach. Argimanda!

— Gdzie Laus? — szepnął.

— Wyczuwam jego obecność — wymamrotał lew. — O, tam, u podstawy wieży!

Sama wieża była właściwie zrujnowaną, starą budowlą, uformowaną w kształcie cylindra z jednym wejściem częściowo zablokowanym głowami i ciałami dwu wielkich węży leżących jeden na drugim i rozciągających się wokół podstawy.

— Amfisbaena! — ryknął Theiax.

— Co to takiego? — spytał Hobart.

— Wąż o dwu głowach, po jednej na każdym końcu. Alaxius mówi, że Laus też umie się w taką zamienić, ale nigdy tego nie widziałem.

— Gotowi? — mruknął Hobart. Postawił tarczę pionowo przed sobą i wysunął lufę muszkietu przez krzaki. Z tej odległości mógł już trafić w jedną z głów ale którą? Czy ludzka inteligencja Lausa znajdowała się w jednej z nich, czy w obu, a jeśli w jednej, to w której? Z bijącym sercem pomyślał, że chce to już mieć za sobą. Westchnął i nacisnął spust. Boom! Kolba uderzyła go w ramię. Przesunął się szybko, gdyż chmura dymu całkowicie przesłaniała pole widzenia. Zauważył obłoczek pyłu wzbijający się piętnaście metrów przed głowami gada. Cholera, powinien był pamiętać, że gładko—lufa rusznica nie jest automatycznym winchesterem.

— Deszcz! — warknął przez ramię do Kaia.

Kai natychmiast zaczął wypowiadać zaklęcie. Głowy węża cofnęły się zaraz po wystrzale. Jedna z nich kiwała się powoli, jak człowiek oglądający z bliska film na ekranie panoramicznym. Druga głowa ciskała się bezcelowo na boki. Powoli wepchnęła się przez drzwi do wieży, po czym całe ciało gada zaczęło wpełzać do budowli. Druga głowa znikła najpierw za wieżą, a potem pojawiła się po drugiej stronie kończąc długi tułów.

Chmura burzowa zagotowała się wyrzuciła z siebie zawartość... Kiedy parę sekund później na dachu wieży obok Argimandy pojawił się Laus w swojej ciemnej todze i stożkowym kapeluszu, z nieba lało jak z cebra. Dwie małe figurki rozglądały się wkoło szukając światła.

Hobart rzucił muszkiet w ręce Kaia.

— Używaj go jak maczugi! — krzyknął. — Jazda! Wypadli z zarośli i rzucili się pędem w dół wzgórza. Hobart wyciągnął szablę i zasłaniał się dokładnie tarczą.

— Patrz! — krzyknął zdenerwowany Theiax. Laus chwycił w ramiona broniącą się przed nim księżniczkę i unióś ją w powietrze na ogromnych skrzydłach sępa. „W powietrze” nie jest właściwym wyrażeniem, ponieważ mimo desperackich machnięć skrzydeł, nie unosili się do góry, ale raczej spadali w dół, coraz niżej. Przelecieli nad doliną między wzgórzem z wieżą a sąsiednim wzniesieniem i opadli na jego kamiennym stoku.

Hobart skręcił w ich kierunku. Laus, trzymając pod pachą kopiącą i ciągnącą go za brodę Argimandę, wyjął wolną ręką różdżkę.

— Theiax! — wrzasnął Hobart. — Wracaj! — Lew wyskoczył zza pola ochronnego tarczy i rycząc tak, że ziemia trzęsła się w posadach, rzucił się w kierunku czarnoksiężnika. Hobart był na tyle blisko, że zauważył na twarzy maga wahanie i usłyszał głośno wymawiane zaklęcie. W pół skoku Theiax zmniejszył się do rozmiaru kotka podwórzowego, spadł na ziemię i wyciągnął się jak długi.

Hobart biegł dalej. Słyszał za sobą zdyszanego Kaia, ale dzikus coraz bardziej oddalał się od niego, ponieważ nie mógł lub nie chciał dotrzymać inżynierowi kroku. Laus zaczął wypowiadanie zaklęcia:

Faborle dyor murtho
Tarwuzei kounovir!
Worngord oudorzhar
Meveiler shaibaudir!
SIRVZASHTAUI!

Nic się jednak nie stało, oprócz tego, że lewa ręka Hobarta, ta która trzymała tarczę zatrzęsała się od lekkiego wstrząsu elektrycznego. Laus jeszcze raz zaczął wypowiadać zaklęcie:

Wargudviz vlapeisez
Thorgwast tha zistal...

Urwał jednak, gdyż zorientował się, że Hobart dobiegnie do niego, zanim zdąży skończyć zdanie. Porzucił więc Argimandę i w sekundę zmienił się z sędziwego czarnoksiężnika w amfisbaenę.

Hobart usłyszał za sobą przerażony krzyk Kaia, gdy potwór jak strumień lawy ruszył w dół wzgórza wprost na nich. Znajdująca się na przodzie głowa była niewątpliwie dominującą. Patrzyła na Hobarta z przeblaskiem inteligencji w oczach i nawet wyglądem przypominała Lausa. Pozostała, ciągnąca się bezużytecznie na końcu, była jedynie głową wielkiego węża.

Hobart instynktownie podniósł tarczę, żeby się zasłonić i jednocześnie machnął szablą w walący na niego pysk. Szabla odbiła się od łba potwora, a tarcza została zmiażdżona przez wielkie szczęki. Hobart zdążył w ostatnim momencie cofnąć rękę. Głowa pożarła tarczę i wypluła pozostałości, po czym ponownie rzuciła się na Hobarta. Inżynier odskoczył poza jej zasięg, machnął szablą, nie trafił, jeszcze raz odskoczył. Przez ułamek sekundy dojrzał Kaia tańczącego w przerażeniu jakieś dziesięć metrów od niego.

— Spadaj! — wydarł się na niego, po czym musiał znowu skoczyć w bok, aby umknąć szczękcom potwora. Pomyślał z żalem, że, niestety, nie był nigdy najlepszy w dwa ognie. Trafił szablą w pysk amfisbaeny, ale znów nie przyniosło to żadnego skutku. Pomyślał teraz, że będzie musiał chyba trafić w oko...

— Uwaga! — zapiszczał Kai. — On się znowu zamienia w czarnoksiężnika, a ty nie masz już tarczy!

Niech no się tylko zamieni z powrotem w człowieka, rzekł do siebie w myślach Hobart. W obecnej formie Laus najwyraźniej nie mógł wypowiadać zaklęć, inżynier był natomiast pewien, że jeśli tylko czarnoksiężnik zdecyduje się powrócić do ludzkiej postaci, on, Hobart, własnymi rękami zetnie mu łeb, zanim tamten zdąży mruknąć choćby słówko.

Zabawkowej wielkości Theiax wskoczył na grzbiet węża i z wielką złością starał się rozszarpać

go na kawałki swoimi malutkimi szczękami i pazurami. Kai, zbierając się na odwagę podskoczył do potwora i walnął go kolbą muszkietu. W chwilę później kłapnęła tuż obok niego wielka paszcza bestii z rozwartymi szczękami i uzdrowiciel czym prędzej pierzchnął przed niebezpieczeństwem.

— Wypowiem zaklęcie! — oznajmił.

Hobart dzierżący szablę w spoconych od walki dłoniach, usłyszał wypowiedane za plecami niezrozumiałe słowa. Powietrze przepelniło się złowrogim brzęczeniem i nagle, ni stąd, ni zowąd pojawiły się setki żółto-czarnych owadów: szerszeni!

Całe ciało amfisaeny momentalnie pokryło się żądlącymi przybyszami. Szybko jednak owady przekonały się o bezcelowości swoich poczynań, gdyż ich żądła nie były w stanie przebić grubej skóry węża. Po chwili więc wzbily się w powietrze szukając nowej ofiary.

...Hobart wydarł się w niebogłosy, kiedy poczuł setki bolesnych jak pchnięcie nożem ukłuć. Zatoczył się do tyłu i wściekle wymachując rękami zaczął odganiać nowych nieprzyjaciół. Jeden z Marathaian, Zygfryd usłyszał za sobą krzyk agonii. Jedno spojrzenie wystarczyło, by zorientować się w sytuacji: szerszenie jako najbardziej obiecujący cel na marathaiańskim krajobrazie wybrały sobie nieosłoniętą ubranie skórę Kaia. Dzikus rzucił muszkiet i zaczął uciekać w tempie, o którego osiągnięcie Hobart nigdy by go nie posądzał. Potwór rzucił się ponownie do ataku.

Hobart rozstawił szeroko nogi i czekał na nadchodzące uderzenie. Gdyby tylko udało mu się dosięgnąć oka... Potwór również odczekał parę sekund łapiąc swój ohydny, gadzi oddech. Dominująca głowa cofnęła się, przygotowując do wyrzutu. Hobart zadrzał na widok niemożliwych do pomylenia zębów jadowych osadzonych w na pół otwartych teraz szczękach. W polu widzenia miał również drugą głowę, która zwisała poniżej pierwszej i również się kołysała gotowa do skoku. Jak dwie pięści boksera... Dominujący łeb uczynił próbę ataku, zatrzymując się jednak przed Hobartem, gdy ten podniósł szablę do góry. Płask! Przez moment Hobartowi mignęła przed oczami kolba muszkietu, którym Argimanda trafiła Lausa dokładnie między oczy.

— Uwważaj! — krzyknęła księżniczka.

Hobart zdążył spojrzeć w kierunku drugiej głowy potwora dokładnie w chwili, gdy ruszyła ona do natarcia. Zrobił unik rzucając się w bok i upadając na ziemię. Po chwili jednak szybko wstał, dokładnie w momencie, gdy potwór wpadł w to puste już miejsce i wbił zęby w swój drugi łeb!

Część węża znajdująca się bezpośrednio za ugryzioną głową zawirowała w proteście, ale silne szczęki zdążyły się już zacisnąć i pochłonąć całą paszczę. Nie było już odwrotu. Szczęki powoli przesuwały się coraz dalej, wysysając do otworu gębowego kolejne fragmenty węża. Hobart stał zafascynowany tym widokiem, a wielka pętla gada skręcała się coraz bardziej i grubiała, osiągając w końcu wygląd torusa. Kiedy Hobart stwierdził, że dalsze samozjadanie się nie jest już fizycznie możliwe, ciało gada zlało się w łuskowatą kulę wielkości ogromnej piłki, która po chwili zaczęła się szybko zmniejszać, aż wreszcie znikła zupełnie.

Argimanda stała oblepiona swoimi lekkimi, wilgotnymi szatami i trzymała w ramionach malutkiego Theiaxa. Hobart patrzył na nią bezmyślnie.

— Co się z nim stało? — spytał w końcu.

— Połknął się — odparła księżniczka.

— Jak?

— Kiedy uderzyłam w myślącą głowę musiałam ją na chwilę ogłuszyć, dzięki czemu przez moment nie kontrolowała tej drugiej. A druga, będąca zwykłą głową węża musiała być posłuszna swoim instynktom: kiedy raz schwyciła myślący łeb nie mogła uczynić nic innego, jak tylko go połknąć.

— Rozumiem, ale gdzie on się podział?

— Jak ci się wydaje, jak długa była amfisaena? — spytała uśmiechając się księżniczka.

— Jakies piętnaście metrów.

— A w jakim tempie była połykana?

— Jakies półtora metra na minutę.

— To co w takim razie musiało się stać po dziesięciu minutach?

Wziął ją za rękę i sprowadził w dół wzgórza.

— Moja pani — rzekł — dziękuj Noisowi, że androsfinks nie zadał tego pytania!

Po Kaiu nie było śladu, chociaż wszędzie go szukali.

— Pewnie wolał zniknąć — zasugerował Hobart. — Te żądła nie były wcale przyjemne. Do ciebie też dotarły?

— Na szczęście nie — odparła Argimanda. — Czy mogę coś zrobić, aby ulżyć twoim cierpieniom, kochany książę?

— Nie, dzięki. Wytrzymam, aż dojdziemy do obozu.

— Obozu? Chodzi ci o jedno z miast namiotów Marathaian?

— Uhm. — Hobart krótko opowiedział księżniczce o ostatnich wydarzeniach. — A teraz zabiorę cię tam i natychmiast zajmujemy się odtransportowaniem ciebie do ojca — zakończył.

— Po raz drugi ocaliłeś mi życie, Rollinie — westchnęła Argimanda. — Nie ma takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobiła, gdybym tylko mogła. Ale... nie zmieniłeś chyba swojej decyzji?

— Nie. Przykro mi — wymamrotał Hobart nagle przypominając sobie, że jest bardzo zajęty ponownym załadowaniem muszkietu. Dziewczyna jednak wcale nie chciała zawstydzić go dalszą dyskusją na temat ich związku. Najgorsze w położeniu Hobarta było właśnie to, że Argimanda nigdy nie dawała mu powodu do zdenerwowania.

Postawiła na ziemi Theiixa, który zaczął za nimi nieudolnie biec, niepoprawnie określając odległości i wpadając na wszystkie napotkane przeszkody terenowe.

— Jestem znieważony! Jestem upokorzony! Książę, czy nie możesz mnie przywrócić do normalnych rozmiarów? — piszczał.

— Nie, chłopie. To nie moja działka.

— Nie powinienesz zabijać Lausa! On mógłby mi pomóc.

— Ja go przecież nie zabiłem. Popełnił samobójstwo. Prawdę mówiąc — kontynuował Hobart zwracając się do Argimandy — nie dokonałem żadnego ze szlachetnych czynów, które wy i inni ludzie w tym porządnie zwichniętym świątku natarczywie mi przypisujecie. To wszystko czysty fart plus moje podłe i egoistyczne wysiłki zmierzające do ocalenia własnego tyłka.

Argimanda uśmiechnęła się i powiedziała:

— Twoja wróżka oprócz heroizmu musiała obdarzyć cię również skromnością, Rollinie.

— Nie jestem bohaterem! — zawołał Hobart desperacko. — Jestem zwykłym inżynierem— praktykiem i wcale nie jest ze mną łatwo żyć! Jestem egocentrykiem i chodzę własnymi drogami. Moi przyjaciele twierdzą, że jestem uparty i pedantyczny...

— Nie dość, że bohater, to jeszcze uczony! — wyrwało się rozochoconej księżniczce. — Nigdy nie sądziłam, że taka kombinacja zalet jest w ogóle możliwa! Gdybyś tylko pozwolił mi służyć tobie, pokornie...

— Proszę, nie mówmy o tym więcej! — przerwał jej—

— Dobrze, książę. — W jej oczach pojawiła się mgielka łez, ale szybko zamrugowała powiekami i uśmiechnęła się szczerze. — Już samo przebywanie z tobą przez kilka godzin będzie dla mnie wystarczającą nagrodą!

Hobart zacisnął pięści i zęby nie mogąc zdecydować się, czy ma wrzasnąć „Zamknij się!” i uciekać zostawiając tę szaleńczo piękną osobkę, czy też rzucić się do jej stóp z przeprosinami. W rezultacie ruszył do przodu zarzucając muszkiet na ramię i przybierając groźne oblicze. Argimandzie nie przeszkadzało szybkie tempo marszu. Szła obok Hobarta na swoich pięknych, długich nogach. Wreszcie dotarli do eskorty.

Ktoś na jednym ze wzgórz krzyknął: — Hej! — i zaczął schodzić w ich kierunku. Był to Gorvath.

— Nie podejrzewałem, że was tak szybko ujrzę. Prawdę mówiąc, miałem wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek was zobaczę! Przyprowadziłeś damę? — Barbarzyńca zsunął z głowy przyłbicę i uklonił się Argimandzie. — Jestem oszołomiony jej pięknem! — Gorvath zatoczył się, aby pokazać, że nie żartuje z tym oszołomieniem. Po chwili jednak odzyskał władze umysłowe i powiedział do Hobarta scenicznym szeptem:

— Byłaby wspaniałą Hipokrytką!

— Nie wątpię — odparł oschle Hobart. — Spieszmy się. Zbierz chłopaków.

Gorvath ruszył do dzieła, ale gdy ujrzał Theiaxa, który starał się schować za najbliższym krzakiem, najpierw zatrzymał się zaskoczony, a potem nie mogąc się opanować wybuchnął śmiechem.

— Uaahahahaha!... Szlachetna bestia została zmniejszona! Pewnie prałeś go w gorącej wodzie! — Gorvath zataczał się teraz ze śmiechu trzymając się za brzuch.

— Jak wrócę do normalnego rozmiaru, nauczę cię, czym się może skończyć wyśmiewanie się ze mnie! — awanturował się anemicznym głosem Theiax.

Argimanda siedziała już na koniu, więc Hobart wskoczył również na swojego wierzchowca i zawołał do Theiaxa:

— Myślisz, że uda ci się wskoczyć bez podrapania albo konia? No to wskakuj!

Kiedy miniaturowy lew rozłożył się w poprzek siodła, zwrócił swe małe, żółte oczka na Hobarta i spytał:

— O co chodzi w tych plotkach, jakobyś miał nie poślubić Argimandy?

— To nie są plotki — odparł Hobart, z przyzwyczajenia protestując przed ożenkiem i nie zwracając już uwagi na etykietę.

Theiax przybrał groźną minę i splunął z obrzydzeniem.

— Kiedy odzyskam swój normalny rozmiar, nie będziesz się tak nonszalancko wypowiadał o mojej księżniczce!

— Wiem — zachichotał Hobart. — Ale pomyśl o tym inaczej. Nie chciałbyś przecież, żeby Argimanda weszła w związek, w którym nie ma miłości, prawda?

— Jest miłość. Ona kocha ciebie.

— W takim razie w związek nieszczęśliwy.

— Jeśli ona cię kocha, to jest z tobą szczęśliwa. Ty powinieneś ją uszczęśliwić, tak jak ja uszczęśliwiam lwice, które mnie kochają. To wystarczy — ponuro podsumował lew, obracając głowę na wszystkie strony i przyglądając się swoim nowym wymiarom.

— Do diabła, w takim razie niesprawiedliwy związek!

— Niestrapiedliwy... niest... na liście herbaty! Jesteś dla mnie za mądry. Gdzie pójdziesz, kiedy opuścisz moją księżniczkę?

— Z powrotem do mojego świata, mam przynajmniej taką nadzieję.

— Czy w tamtym świecie są lwy?

— Tak, ale nie w miejscu, gdzie mieszkam. Nie wolno ich trzymać ani na ulicach, ani w domach.

Theiax wydał z siebie cichy odgłos przypominający buczenie, który prawdopodobnie miał oznaczać zamyślenie.

— Kocham Argimandę, ale kocham też moją godność — rzekł po chwili. — Nie mogę wracać do Oroloi. Każdy pies w mieście słyszy o mojej wielkości i czeka tylko na to, żeby się za mną pouganiać i mnie jeszcze bardziej upokorzyć. Mogę iść z tobą?

— Pomyślę o tym — obiecał Hobart. — Musiałbym cię przemycać jako zwykłego kotka.

— Wiem. — Udomowiony lew porzucił wreszcie ten temat i przez pozostałą część podróży wspominał już tylko swoje romanse z wszelkiego rodzaju dzikimi lwicami. Dla Hobarta opowieści te były dość osobliwe, ponieważ Theiax, będąc kotem nie miał żadnych zahamowań. Starał się jednak nie śmiać, nie chcąc urazić małego przyjaciela. Pomyślał nawet, że zdeklarowany kawaler powinien mieć jakieś zwierzątko w domu, a jego ostatni pies zdechł kilka lat temu. Theiax musiałby jednak nauczyć się powstrzymywać od rozmowy z nim przy gościach...

— Hipokryto! — krzyknął Gorvath. — Ktoś dotarł do obozu przed nami. Patrz! — Wskazał na trawę stratowaną licznymi końskimi kopytami, której nawet Hobart nie mógł nie dostrzec.

— Co o tym myślisz? — spytał inżynier.

— Nie wiem, ale może to być Hipokryta Khovind i jego syn.

— Co będzie, jeśli zaatakują obóz?

— Wątpię. Przy świetle dziennym nie mogliby działać przez zaskoczenie — Gorvath zatoczył

ręką półkole, wskazując zupełnie płaską równinę, której trawa nie byłaby w stanie ukryć postaci większej od Theiixa.

— No cóż, będziemy musieli sprawdzić, co się tam stało — oznajmił Hobart. Po godzinie jazdy zobaczyli na horyzoncie zarys miasta namiotów będący na razie tylko małą nieregularnością pomiędzy niebieskim niebem i żółtym morzem trawy.

— Może powinniśmy wysłać zwiady? — zaproponował Gorvath.

Hobart modlił się w duchu, żeby barbarzyńcy nie zapytali go o kwestie dotyczące strategii wojskowej i taktyki. Chęć nie chęć musiał jednak odpowiedzieć:

— Jeśli podjedziemy bliżej, to na pewno nas zauważą. A nie mam zamiaru czołgać się dwadzieścia kilometrów brzuchem po trawie. Może wyślemy Theiixa. On jest wystarczająco mały... auuu! Ty skurczybyku...

Udomowiony lew zatopił szczęki w udzie inżyniera, i zaraz odskoczył.

— Naśmiewasz się ze mnie! — miauknął. — Nie pozwalam ludziom robić z siebie pośmiewiska! Jestem lwem, nawet jeśli nie widać tego po moich rozmiarach!

— Dobra, dobra, wcale się z ciebie nie naśmiewałem. Powiedziałem tylko, że dzięki twojemu rozmiarowi jesteś wprost idealny do rozpoznania sytuacji w obozie. Na świecie nie ma innego człowieka ani zwierzęcia, które mogłoby zrobić to lepiej!

— A, to co innego. Przepraszam za to zadrapanie.

Udobruchany Theiix ruszył spokojnie przez trawę i już po kilku sekundach zniknął zupełnie z pola widzenia.

Cała wyprawa oczekiwała powrotu lwa. Jedni zeszli z koni, inni siedzieli w siodłach jedząc, paląc lub śpiąc. Konie nerwowo przestępowały z nogi na nogę. Hobart na wszystkie możliwe sposoby unikał rozmowy z Argimandą lub Gorvathem, obawiając się, że mogłyby w jakiś nieostrożny sposób wziąć na siebie nowe obietnice do spełnienia. W końcu uciął sobie drzemkę, ale gdy minęło parę godzin, zaczął się denerwować. Słońce było już bardzo nisko, kiedy z trawy nagle wyłonił się Theiix dysząc ze zmęczenia.

— Konie! — wydyszał mały lew. — W całym obozie tylko konie! Parathaiiańskie, marathaiiańskie nawet trochę koni z Logai! Rozpoznałem uprząż.

— Ciekawe, co logaiiańskie konie mogą tu robić? — spytał retorycznie Hobart. — Nie widziałeś żadnych śladów walki?

— Nie, wszędzie spokój. W obozie ludzie śpiją. Hobart westchnął zbity z tropu.

— Chyba będziemy musieli pojechać i przekonać się osobiście. Hej tam, wszyscy na koń! Kiedy zbliżymy się do miasta namiotów, uważać. W każdej chwili możemy uciekać, jeśli okaże się, że chcą nas zaatakować.

Musieli okrążyć parę stad zwierząt, pilnowanych przez pastuchów. Z całą pewnością w okolicy nie było śladów walki. Tak jak mówił Theiix, wokół całego obozu stały konie ustawione w rzędy. Kiedy przedzierali się pomiędzy zwierzętami, Hobart rozpoznał jednego z logaiiańskich stajennych królewskich.

— Cześć! — zawołał. — Co ty tu robisz, Glaukonie? — Nie wiem, panie — odparł młodzieniec. — Przyjechałem z królem Gordiusem, jak mi przykazał.

Hobart na czele wyprawy podjechał do głównej bramy. Kiedy się do niej zbliżał, ktoś go musiał zauważyć, gdyż z wnętrza obozu dobiegło go ryczenie trąb. Potem śpiew i inne odgłosy zadowolenia ucichły, a z bramy wylał się tłum ludzi.

Hobart zacisnął rękę na cugłach, gotów w każdej chwili zawrócić swego wierzchowca. Ludzie jednak nie okazywali żadnych oznak wrogości. W pierwszym rzędzie szła czwórka: Sanyesh, król Gordius, były generał Valangas w ubraniu barbarzyńcy, z krótką blond grzywką opadającą na czoło oraz bardzo stary barbarzyńca, który kuśtykał pomagając sobie laską. Wokół nich i za nimi tłoczyli się paziowie i giermkowie ze sztandarami. Następnie stało się to, czego Hobart obawiał się bardziej niż kolejnej wojny: czterej władcy zakrzyknęli jednym głosem:

— Witaj, Rollinie, Królu Królów!

Hobart miał pięciosekundową szansę wzięcia nóg za pas, stracił ją jednak zbyt długo się namyślając. W chwilę potem wszyscy go okrążyli. Argimanda padła w ramiona ojca, a pozostali

ściągnęli go prawie siłą z konia.

Kiedy wrzawa ucichła, król Gordius uściśnił mu serdecznie dłoń, mówiąc:

— Wiedziałem, że ją ocalisz, chłopcze! A ponieważ jesteś teraz królem całej Logai i hipokrytą Parathai, hipokryta Khovind... to znaczy on — tu wskazał palcem staruszek z laską — hipokryta Khovind i jego syn zgadzają się, że jedynym rozsądnym wyjściem z sytuacji jest uczynienie cię Królem Królów, Hipokrytą nad Hipokrytami, władcą wszystkich trzech królestw!

— Ależ — zaczął jęczeć Hobart — ja nie chcę być Królem Królów...

— Bzdura, synu! Jesteś odpowiednim kandydatem do tego tytułu! — Król ujął Hobarta pod ramię i wprowadził przez bramę. — Widzisz, nie udało nam się dokonać tego wcześniej, ponieważ Marathaianie nie zgadzali się na władcę parathaińskiego ani logaińskiego. Logaińczyk natomiast nie przyjąłby Parathaijczyka ani Marathaijczyka, i tak dalej, he, he. Ale ty nie jesteś jednym z nas. Obcy z włosami barbarzyńcy i manierami człowieka cywilizowanego. Jak to niegrzecznie ujął mój syn Alaxius: wydumana osoba, ubierająca się w rzeczy o nieistniejącym kolorze, a jednocześnie posiadająca wielką siłę i odwagę. Jesteś jedynym, który może rządzić naszymi krajami, powstrzymać głupie waśnie i stworzyć jedno wielkie królestwo!

— Możemy stworzyć coś większego, niż tylko trzy królestwa, Hipokryto Hipokrytów — dodał hipokryta Khovind. — Możemy podbić dzikich Theoiri...

— Poza tym — wszedł mu w słowo Gordius — je, stem pewien, że Psythorisowie przyłączą się do nas, jeśli tylko z nimi porozmawiamy...

— A jak się nie przyłączą, to i tak ich podbijemy...

— Powinniśmy też przejąć złote miasto Plakh. Kontroluje ono szlaki handlowe do Gan Zheng...

— Potrzebujemy też Gór Buryonoi, żeby mieć, eee... jak to się mówi... granicę strategiczną...

Hobart słuchał z zaciśniętymi ustami. Kiedy dotarli do namiotu hipokryty, powiedział spokojnie, szczerząc zęby:

— Pozwolicie, że odpocznę, w czasie kiedy będziecie snuć plany o tym, jak mam zająć całą planetę? Chciałbym przez chwilę zostać sam.

Zapewnili go, oczywiście, że może pozostać sam tak długo, jak mu się żywnie podoba. Jest przecież Królem Królów i wszystko będzie robione tak, jak rozkaże. Hobart ukrył się w jednej z mniejszych komnat, w której spał w noc po bitwie. Chwycił czaszkę gryzonia i przywołał Kaia.

Żółty człowieczek pojawił się zniechęcony. Rozglądał się nerwowo, słysząc dochodzące przez ściany namiotu odgłosy świętowania. Jego naga skóra pokryta była wieloma czerwonymi uządleniami.

— Dopadły cię szerszenie? — spytał Hobart ze współczuciem. — Przykro mi, stary. Nie możesz się wyleczyć magią?

Kai bezradnie rozłożył ręce.

— Kupiłem zaklęcie od handlarza magią. Nie działa. Handlarze zawsze oszukują nas, biednych zjadaczy ryb. Czy możesz im coś powiedzieć na ten temat, Hipokryto Hipokrytów?

— Może. Widzę, że jesteś na bieżąco. Słuchaj, kiedy tak znikasz, czy możesz wziąć kogoś ze sobą?

— Pewnie. Bierzesz mnie za rękę, a ja cię pociągam za sobą. Ciach-prach.

— Dobra. Wiesz, gdzie podziewa się ten Nois?

— Chodzi ci o Baaa, pana wszystkiego?

— Noisa, vel Zhava vel Baaa, jak wolisz.

— Wiem — odpowiedział Kai zaczynając rozumieć, o co chodzi.

— No to w takim razie zabierz mnie tam. I to już! Kai zaczął się trząść ze strachu i upadł na kolana.

— O Hipokryto Hipokrytów Hipokrytów! Boję się! Baaa jest panem wszystkiego! Wszechpotężnym! Dlaczego chcesz się z nim spotkać? — lamentował.

— Planuje jakieś nowe sztuczki, a zupełnie mi się to nie podoba. Będziemy się chyba musieli spotkać. No dobra, dawaj łapę!

Podczas gdy Kai kontynuował lamenty, Hobart chwycił jedną z jego brudnych dłoni i potrząsnął mocno dzikusem.

— Zmiotamy! — ryknął.

— T-t-ty zaopiekujesz się moim biednym ludem, kiedy odejdę?

— Tak! Do cholery jasnej, zbieraj się... — W tym momencie Kai rozpląnął się w powietrzu. Hobart poczuł silne pociągnięcie za rękę. Schwycił się mocniej dzikusa i poczuł, że jest gdzieś ciągnięty. Wszystko wokół wirowało.

— Jesteśmy na miejscu — zaskrzeczał Kai. Otoczenie znowu było bardziej materialne, więc Hobart odetchnął z ulgą.

Stali w środku wielkiego kanionu. Otaczały ich stoki czarnych, gładkich skał. W ścianach nie było stopni ani jakichkolwiek innych nieregularności. Hobart nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób ktoś, kto wpadłby w tę pułapkę, zdołałby się z niej wydostać bez pomocy skrzydeł lub magii.

Dno kanionu było okrągłe i płaskie. Stali na jego skraju w miejscu, gdzie podobna do obsydianu skała pięła się do góry. Na środku dna kanionu, które mogło mieć około kilometra średnicy, stała wielka biała piramida, nienaturalnie jasna, gdyż promienie zachodzącego słońca ginącego za krawędzią kanionu nie dosięgały nawet jej wierzchołka.

Jesteśmy na miejscu — powtórzył Kai wskazując na budowlę. — Muszę już iść. Oddasz mi czaszkę? Tobie jest i tak niepotrzebna, bo już nie działa. Hobart oddał mu naszyjnik. Kai rzekł:

— Do widzenia Hipokryto Hipokrytów Hipokrytów Hipokrytów — powiedział Kai. — Jesteś wielkim człowiekiem. Nie potrzebujesz mnie już więcej. Ale pamiętaj, że obiecałeś chronić biednych zjadaczy ryb. Gdybyś mnie kiedyś szukał, to będę wśród mego ludu, nad jeziorem Nithrid. — I mały uzdrowiciel zniknął.

Hobart odwrócił się w stronę piramidy żalując, że nie wziął ze sobą muszkietu. Nic tak nie przywracało pewności siebie, jak naładowana spluwa, nawet jeśli była to jedynie nabijana przez lufę rusznica.

Słońce skryło się za krawędzią kanionu, a jego promienie nagle zgasły. Hobart stał w upstrzonej gwiazdami ciemności, twarzą zwrócony do piramidy, która wyraźnie emanowała zimnym, białym światłem przypominającym kolor duchów. Chwilę wahał się, po czym ruszył pewnym krokiem w jej kierunku.

Piramida robiła się coraz większa i większa, aż stanęła w pełnej okazałości. Hobart zatrzymał się i zawołał:

— Hej! — Chwilę odczekał. — Czy tu mieszka Nois? — rzucił pytanie.

W białej powierzchni budowli pojawiło się bezszelestnie wejście, w którym stał wysoki, majestatyczny starszy mężczyzna.

— Czego szukasz, Rollinie Hobarcie? — zapytał.

— Szukam najwyższego szefa. To ty?

— Nie. Jestem tylko sługą naszego pana, me imię Psylleus. Czy wiesz, co czynisz?

— Nie, ale i tak chcę się widzieć z Noisem. Powiedziano mi, że każdy może się z nim spotkać.

— Dobrze, jeśli rozważyłeś to...

— Daruj sobie — przerwał mu Hobart z irytacją. — Gadamy i gadamy, a tu robi się coraz zimniej. Czy ten twój Nois w ogóle istnieje?

Psylleus aż brwi podniósł ze zdziwienia.

— Oczywiście! Najbardziej idealna istota musi przecież istnieć. Nois jest najbardziej idealny, dlatego istnieje. Quod erat demonstrandum*.

Hobart zrezygnowany machnął ręką.

— Dobra, ruszaj do niego, Arystotelesie.

Kapłan pokłonił się i wprowadził Hobarta do środka. Trudno było opisać wygląd wnętrza ponieważ ciągle świeciło tutaj to wszechobecne białe światło. Szli wzdłuż czegoś, co przypominało korytarze, na jednym z zakrętów Hobart nieomal wpadł na ścianę, aż weszli do wielkiej komnaty. Kiedy oczy Hobarta przyzwyczyły się już do otoczenia, zobaczył stojącą na środku małą piramidę. Jednak zamiast ostrego wierzchołka na jej szczycie umieszczone było promieniujące białą poświatą proste krzesło, w którym siedziała ledwo widoczna, ubrana w białe szaty postać.

— Przyszedł — przerwał ciszę Psylleus.

— Ach — dało się słyszeć ze szczytu piramidy. Był to silny głos, chociaż dość skrzekliwy i najwyraźniej należący do starszej osoby. — Pokaż się, Rollinie Hobarcie. Czemu mnie szukasz?

— Powiedziano mi, że to ty decydowałeś o tym, co mi się przydarzyło w ciągu ostatnich paru tygodni — odpowiedział Hobart.

— Ach! Możliwe. Ale najpierw pytania, potem audyencja.

— Jakie znowu pytania? — zdziwił się Hobart.

— Nie wiedziałeś? Wszyscy, którzy do mnie przychodzą, muszą odpowiedzieć na trzy pytania. Jeśli się pomylą, muszą oddać mi swoją duszę.

— Zaraz, zaraz. Podobno każdy może się z tobą spotkać...

— Może tak się mówi, ale zauważ, że nikt nie wspomina, co trzeba zrobić, żeby potem ode mnie odejść, cha, cha.

— A co się dzieje, jeśli się nie odpowie?

— Jest się umieszczanym pod tronem, na którym siedzę.

— To znaczy wewnątrz tej piramidy?

— Dokładnie, Rollinie Hobarcie.

— I co potem?

— Potem? Przestaje się istnieć jako samodzielna jednostka. — Już samo to stwierdzenie wystarczyło, żeby Hobart się spocił.

— Niech pan posłucha, Panie Nois... — zaczął się tłumaczyć.

— Ach, Rollinie Hobarcie, pytania! Nie, nie myśl o ucieczce i nie wyobrażaj sobie, że sytuacja byłaby inna, gdybyś miał muszkiet. Oba te pomysły są bezwartościowe, będziesz więc potrzebował swego mózgu do bardziej skomplikowanych wyzwań. Gotów?

— Gotów — warknął Hobart. Niech tylko spróbują Wepchnąć go do tej kuchenki elektrycznej albo innego urządzenia, które znajduje się pod tronem Noisa!

— Pytanie pierwsze: jeśli wszystko znajduje się w przestrzeni, jak się generalnie uważa, w takim razie również przestrzeń znajduje się w przestrzeni. A więc przestrzeń, wewnątrz której znajduje się przestrzeń, musi również być w przestrzeni, i tak dalej, w nieskończoność. Ale to przecież absurd, ponieważ zgodnie z definicją, istnieje tylko jedna przestrzeń. Jak wyjaśnisz ten paradoks?

Hobart uniósł brwi, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha.

— To proste, Wasza Wysokość, czy jak tam cię zwą. Nie ma żadnego paradoksu, a jedynie pomieszczenie dwu znaczeń małego słówka „w”. Wszystko znajduje się w przestrzeni w znaczeniu „jest otoczone przez przestrzeń”, a przestrzeń jest w przestrzeni w znaczeniu „jest kongruentne lub identyczne”. Rozumiesz?

Zapadła chwila milczenia, po czym niski tym razem głos oznajmił:

— O Rollinie, rozwikłałeś problem przestrzeni, który przez wieki gnębił najmądrze umysły naszego świata. Wątpię jednak, żebyś w podobnie łatwy sposób rozwiązał problem czasu. Pytanie drugie: zanim poruszające się ciało osiągnie danego punktu, musi najpierw pokonać połowę odległości do niego. Zanim jednak pokona połowę, musi pokonać jedną czwartą i tak w nieskończoność. Dlatego też, zanim przesunie się od jednego punktu do drugiego, może pokonać nieskończoną liczbę odcinków. Jednakże nieskończona liczba odcinków nie może być pokonana w czasie skończonym. W takim przypadku ruch jest niemożliwy, a mimo to, zachodzi każdego dnia. Jak wyjaśnisz ten paradoks?

Hobart wzruszył ramionami.

— Słuchaj — rzekł — kto ci to sprzedał jako poważny problem? Kto powiedział, że odległość składająca się z nieskończonej liczby odcinków oznacza odległość nieskończoną? Jeśli odległość jest skończona, a chyba tak zaczęłaś swoją zagadkę, to po podzieleniu jej na nieskończoną liczbę odcinków, odcinki takie będą nieskończenie małe, dlatego też pokonanie każdego z nich zajmie nieskończenie małą ilość czasu. W ten sposób nie ma problemu.

— Niezupełnie rozumiem, Rollinie Hobarcie.

— Bo nigdy nie studiowałaś wyższej matematyki na uniwersytecie — stwierdził Hobart z wyższością. — Tak czy inaczej, nieskończoność to jedynie koncepcja matematyczna, ponieważ nikt nigdy nie przeszedł nieskończonej odległości ani nie podzielił centymetra na nieskończoną liczbę odcinków. A przy okazji, te problemy brzmią mi jakoś znajomo. Czy to nie grecki filozof, Zenon, je wymyślił?

Biała sukmana siedzącego poruszyła się nerwowo.

— Nie jest dziwne, że ja znam twoje imię, ale skąd ty znasz moje?

— Chcesz mi powiedzieć, że to ty jesteś Zenon z Elei? — zdziwił się Hobart.

— Byłem, zanim stałem się Noisem. Byłem kiedyś nawet w twoim świecie, świecie o trzech wartościach, i starałem się znaleźć odpowiedzi na te pytania. Nie udało mi się to wtedy, ale widzę, że świat poszedł daleko do przodu.

— Jak to „świecie o trzech wartościach”?

— Cóż, istnieje nieskończona liczba światów, zgodnych z logiką, na której są zbudowane. Wiesz, że ten świat jest zbudowany na logice dwu wartościowej, wszystko posiada jakąś cechę lub jej nie posiada, podczas gdy twój świat jest trójwartościowy, wszystko posiada jakąś cechę, nie

posiada jej lub posiada ją częściowo.

— Brzmi to tak, jakby ten świat był oparty na logice Arystotelesa — rzekł Hobart.

— Ha, ha, dobry jesteś, Rollinie Hobarcie! Zaraz po tym, jak wróciłem tutaj i stałem się Noisem, mieliśmy tu uczonego doktora, zwanego Arystotelesem, który poprzysiągł sobie pójść do twojego świata i nauczyć jego mieszkańców prawdziwej logiki, to znaczy logiki naszego świata. Nie wiem, jak mu się powiodło, ale wygląda na to, że dotrzymał obietnicy.

— Jak w takim razie wygląda świat zbudowany na logice jednowartościowej? — spytał Hobart.

— Dość monotonie. Nie polecam ci go. Ale, ale, rozwikłałeś problem czasu. Paradoks ruchu nie był dla ciebie tak łatwy, ale rzeczywiście jest to dość skomplikowana sprawa. Pytanie trzecie: dwa ciała poruszające się z tą samą prędkością w takim samym czasie przemierzają odcinek przestrzeni o takiej samej długości. Kiedy jednak dwa ciała poruszają się z tą samą prędkością w przeciwnych kierunkach, jedno z nich dociera do drugiego o połowę czasu szybciej, niż kiedy jest w spoczynku. Jak rozwiążesz ten paradoks, Rollinie Hobarcie?

Hobart głośno się zaśmiał.

— Nie słyszałeś nigdy o względności ruchu? Słuchaj, termin „ruch” nie oznacza nic, jeśli nie jest odniesiony do jakiegoś punktu, który jest nazywany punktem odniesienia... — Tu Hobart rozpoczął dziesięciminutowy wykład na temat względności ruchu.

Kiedy skończył, postać odparła powoli:

— Rozwiązałeś wszystkie trzy zagadki, Rollinie Hobarcie, i muszę ci powiedzieć, że byłem pewien, iż tego dokonasz. Mój czas nadszedł. — Postać podniosła się z krzesła i na chwiejnych nogach zeszła po stopniach z piramidy. Kiedy się zbliżyła, Hobart zobaczył, że jest to staruszek z rzadkim wieńcem białego zarostu.

— Hej, co ty robisz?

— Co ja robię? — powtórzył drżącym głosem staruszek. — Cóż, umieram, oczywiście. Nadeszła już moja nora. Nikt już mnie nie potrzebuje, skoro ty jesteś nowym Noisem.

— Co?!!!

— Oczywiście, Rollinie Hobarcie. Odpowiedziałeś na wszystkie pytania. Czy to nie proste? Długo ci szukałem, bo byłem już strasznie zmęczony moim stanowiskiem. Kiedy moje prochy zostaną rozrzucone, weź moją szatę i wejdź na tron. Nie będziesz potrzebował pożywienia, dusze odwiedzających cię i nie potrafiących odpowiedzieć na twoje pytania wystarczą ci za stawę. Kapłani wyjaśnią ci twoje prawa i obowiązki. A teraz żegnaj. Och, Psylleusie, chodź do mnie!

Hobart nie wytrzymał i wybuchnął:

— Na miłość Boską, nie mam zamiaru być żadnym Noisem! Nie chcę być księciem, królem, cesarzem ani bogiem! Prędzej wszyscy spotkamy się w piekle...

— Tak, panie — rzekł kapłan (ten sam, który wprowadził go do budowli) ignorując zupełnie gniewnie wymachującego pięściami Hobarta.

— Umieram, dobry Psylleusie — mówił Nois. — Rollin Hobart sprowadził na mnie śmierć, tak jak ci powiedziałem. Zajmij się nim. Żegnaj! — Z tymi słowami mała zasuszona postać skuliła się i padła na ziemię. Biała szata opadała za nią coraz niżej i niżej, aż pomiędzy nią a podłogą nie pozostała żadna przestrzeń.

Psylleus podniósł szatę, otrzepał ze srebrnego pyłu i podał Hobartowi ze słowami:

— Twoja szata, Noisie.

Hobart jednak nie wykazywał najmniejszej ochoty do zanurzenia się w jej fałdach.

— Do diabła z tym wszystkim! — wrzasnął. — Nie jestem żadnym Noisem! Dajcie mi stąd wyjść! Gdzie jest ten dureń Hoimon?!

— Jesteś następnym Noisem, panem wszystkiego — rzekł z uporem w głosie Psylleus. — Nie przejmiesz swej szaty i swego tronu, przed którym słudzy będą padać w uwielbieniu?

— NIE! Jeśli padniesz przede mną, to dam ci kopa w tyłek! Gdzie to cholerne wyjście... a, tutaj! Cześć, bokobrody, idę!

— Och! Ależ panie! — zaprotestował kapłan. — Nie możesz opuścić piramidy!

— Czemu nie? — zdziwił się Hobart.

— Bez Noisa, takiego czy innego, nasz świat się zawali!

— Trudno — Hobart ruszył w kierunku drzwi, ale Psylleus wydał z siebie tak żalony krzyk rozpaczony, że musiał się zatrzymać. — No cóż, jeśli nie chcesz, żebym odszedł, to sam sprowadź mi tu Hoimona! Jeśli jesteś takim ważnym kapłanem, to znajdziesz chyba zwykłego ascetę!

— Niech tak się stanie — zgodził się kapłan. — Będzie, jak mówisz. Chidelasie!

— Idę — zagrzemiał jakiś zaspany głos i po kilkunastu sekundach mały, gruby kapłan, młodszy od Psylleusa, pojawił się w komnacie. — Właśnie kładłem się spać... O rany, czy to jest nasz nowy Nois-elekt?

— W rzeczy samej.

— Dlaczego nie wszedł na tron?

— Nie wiem — mruknął Psylleus. — Nie chce postępować tak, jak wszyscy jego poprzednicy. Idź Chidelasie i poszukaj Hoimona ascety, gdyż nasz Pan chce się z nim widzieć.

— Właśnie. I to pędem — dorzucił Hobart.

— Jeśli mój pan zajmie swój tron, to będzie mógł wezwać Hoimona osobiście — powiedział dobitnie Chidelas.

— Tak? A czy będę mógł potem zejść z niego?

— No cóż... hmmm... — zawahał się Psylleus. — Doprawdy, nie będziesz chyba chciał nas opuścić...

— Ha! Wiedziałem, że musi tu być jakiś haczyk! W takim razie nigdzie nie wchodzę, a jeden z was leci po Hoimona i to już!

Gruby kapłan wyszedł z komnaty potrząsając głową. Hobart usiadł na podłodze i rzekł:

— Mógłbyś przynieść mi coś do żarcia, Psylleusie.

— Czy ma pan na myśli larwy insektów?

— Nie, mam na myśli jedzenie!

— Jeśli tylko mój pan wejdzie na tron...

— Hej! Nie wejdę na żaden cholerny tron i koniec gadania na ten temat! Wolałbym usiąść na krześle elektrycznym, nawet gdyby jakiś świr bawił się wyłącznikiem! A kiedy mówię o jedzeniu, to mam na myśli jedzenie! Zwykle, proste, ludzkie żarło!

Psylleus wybiegł z komnaty i za chwilę pojawił się z bochenkiem chleba, kawałkiem sera, garnuszkiem dzemu i butelką wina. Hobart rozluźnił się trochę.

— Nie dosypywałeś niczego do tego jedzenia, co? Jeśli tak, rzucę na ciebie taką klątwę, że się nie pozbierasz. No dobra, siadaj. Rozgość się.

— Ależ... mój panie... to wbrew zwyczajom... — starał się zaprotestować Psylleus.

— Mam gdzieś zwyczaj! Siadaj i pomóż mi skonsumować żarcie. Mmmm, niezłe. Wygląda na to, że całkiem dobrze tu sobie radzicie, co?

Psylleus jadł wstrzemięźliwie, z miną świadczącą o tym, iż zastanawia się, który z nich dwóch jest nie w pełni władz umysłowych.

Po posiłku Hobart nie miał już nic do roboty, jak tylko czekać. Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby mógł usiąść na najniższym stopniu piramidy, ale nie, wolał nie ryzykować. Starając się nie zwracać uwagi na wszechobecne światło położył się na podłodze i uciał sobie drzemkę.

Kiedy się obudził, obolały od twardej podłogi, z ulgą zauważył, że w czasie snu Psylleus nie zaniósł go na tron. Zaczynał się dzień, a właściwie dzień się już zaczął, bo przecież w tym świecie nie było stanów przejściowych. Wielka piramida była przezroczysta. Pomimo świecenia białego materiału Hobart mógł obserwować przez ściany ruch słońca na niebie. Czy było to tylko złudzenie, czy też słońce wznosiło się w niezwykłym tempie?

Pojawił się Psylleus ze śniadaniem, a słońce momentalnie zatrzymało się w swojej wędrówce ku zenitowi. Hobart zjadł i kiedy odpoczywał po posiłku, słońce znowu ruszyło w szalonym pędzie.

— Psylleus! — zawołał. Słońce zatrzymało się.

— Tak, panie? — Kapłan wsunął głowę przez drzwi z talerzem i ściereczką do zmywania naczyń w rękę.

— Czy ja mam przywidzenia, czy też mogę zatrzymać słońce na rozkaz, tak jak Jozue?

— Słońce idzie swym zwyczajnym torem, panie — odpowiedział spokojnie Psylleus.

Hobart podrapał się w głowę i wyjaśnił dokładniej, o co mu chodzi.

— Och — rzekł Psylleus. — Mój pan zapomina, że gdy zagłębi się w swych wielkich rozważaniach, czas upływa dla niego znacznie szybciej, niż dla nas, pokornych śmiertelników. Dlatego tysiące dni są dla niego jak jedna chwila.

To tłumaczyło, dlaczego Zenon, były Nois, trzymał się tak dobrze od piątego wieku przed narodzinami Chrystusa. Oznaczało to również, że siedzenie tutaj nie posiadało żadnych szczególnych zalet nawet z punktu widzenia długowieczności, skoro Nois nie posiadał świadomości przemijania czasu bardziej rozwiniętej, niż każdy zwykły człowiek. Z drugiej jednak strony, był to wspaniały środek zapobiegawczy na nudę, bo dzień minął zanim Hobart zdążył się choćby troszeczkę zmęczyć bezczynnością. Mimo to zmartwił się. Ten fenomen czasowy sprawiał, że zaczął się zastanawiać, czy nie posiada już pewnych cech boskich, których z całego serca chciałby uniknąć.

Dzień minął jak z bicza strzelił. Tak samo zresztą jak następny, w czasie którego Hobart nawet nie ruszył się z miejsca na podłodze świątyni. Każda sugestia Psylleusa, że jego panu z pewnością byłoby wygodniej... wywoływała eksplozję Hobarta, który niezmiennie podejrzewał sługę o szykowanie jakiegoś fortelu.

Trzeciego dnia gruby kapłan, Chidelas, powrócił, a wraz z nim pojawiła się mizerna, na wpół naga sylwetka, na widok której Hobart aż podskoczył.

— Hoimon! — krzyknął i rzucił się do potrząsania wielką łapą ascety.

Hoimon patrzył na niego z wyrazem niesmaku.

— Mój panie! Nois—elekt nie powinien bratać się z pokornym ascetą!

— A comnie to obchodzi! Do diabła z tym całym Noisem! Czy masz pojęcie, w co mnie wkopałeś przyprowadzając tu z dobrego, starego Nowego Jorku? Czy słyszałeś, co mi się przytrafiło?

— Doszły mnie plotki, o przyszły Noisie — wyznał Hoimon mrugając niebieskimi oczkami. — Twemu pokornemu poddanemu wydaje się, że ludzie naszego świata poznali się na tobie lepiej, niż mieszkańcy twojego starego świata.

— Dobra, dobra. Tak im się tylko wydaje. W każdym razie ja chcę wracać. Nie podoba mi się tutaj. Zupełnie tu nie pasuję i w związku z tym nie mam zamiaru tu zostawać. A ty zabierzesz mnie z powrotem przez ten tunel!

Asceta westchnął.

— To prawda, nie pasujesz, o Noisie—elekcie. Odrzuciłeś przecież zmysłowe poznanie wdów po Khuravie...

— Słyszałeś o tym? — zdziwił się Hobart.

— Słyszałem o wielu rzeczach. Jak mówiłem, odrzuciłeś wykorzystanie sposobności, co mogłoby sprawiać wrażenie, że jesteś ascetą. Wiem jednak bardzo dobrze, że nim nie jesteś.

— Ha! Myślisz, że chciałbym, żeby paru małych Rollinków biegało wokół mnie krzycząc: „nie odchodź, tatusiu”?

— Jak mówiłem, twoje motywy nie przypominały zupełnie motywów ascety. Podjąłeś wiele trudu i ryzyka, aby wykonać nałożone na ciebie obowiązki, co mogłoby sprawiać wrażenie, że jesteś człowiekiem honoru. A mimo to, w przypadku paru mniej ważnych rzeczy wykazałeś się niedbałością, bezmyślnie obiecując rzeczy, których prawdziwie honorowy człowiek z pewnością by nie obiecał. Krótko mówiąc, nie jesteś ani dobry, ani zły, ani czysty, ani zdeprawowany, ani honorowy, ani niehonorowy, zawsze mieścisz się gdzieś pośrodku. Jesteś rodzajem osoby, która po prostu nie istnieje w tym świecie.

— Wiem! — jęknął Hobart. — Dlatego właśnie zupełnie nie mogę tu żyć!

Hoimon uśmiechnął się.

— Tylko pod jednym względem pasujesz do nas, pod względem swego uporu. Obawiam się jednak, że nie mogę pomóc ci w powrocie do świata trzech wartości.

— Dlaczego? — pisał Hobart. — Tunel się zablokował, czy co?

— Ależ nie o, panie. Czy nie wiesz, że nasz świat zawałiłby się bez Noisa? Nie mógłbym sprowadzić takiego nieszczęścia na jego niewinnych mieszkańców!

— Nawet jeśli ci rozkażę jako twój władca?

— Nawet wtedy. Ukarz mnie, jeśli uważasz to za stosowne, albo wrzuć mnie do pieca dusz. Nie zmienię swojej decyzji.

— Mogę przecież po prostu stąd wyjść i pozwolić, żeby wszystko się zawaliło. I niech mnie szlag, tak właśnie zrobię!

— Rezultat będzie taki sam, ale wtedy nie będę za to odpowiedzialny.

Hoimon skrzyżował swe kościste ramiona na piersi, najwyraźniej przygotowując się na przetrzymanie najgorszego.

Hobart chwilę się zastanowił i nagle w jego oczach zaświecił płomyk nadziei.

— Powiedz mi coś o mojej nowej pracy — rzekł. — Czy, jak usiądę na tronie, to mogę czynić cuda?

— Moc twego stanowiska jest nieograniczona, przynajmniej jeśli chodzi i ten wszechświat o, panie!

— Czy mogę rozkazywać co chcę i domagać się wykonania moich rozkazów?

— Tak, jeśli nie ograniczysz uprawnień Noisa.

— Jak to?

— No, na przykład, nie możesz powiedzieć, że coś ma tak trwać wiecznie, bo gdyby tak było, twoi następcy nie mogliby się zmienić i ograniczyłbyś władzę Noisa, która z definicji jest nieograniczona.

— Słuchaj, Hoimonie. Albo jestem Noisem, albo nie, używając twojej logiki. Tak więc, jeśli Nois jest wszechwładny, to ja też powinienem być wszechwładny...

Asceta przerwał mu:

— Proszę pana o przebaczenie, nie rozumiem zbyt dobrze zawłości filozoficznych. Szukam tylko duchowej perfekcji.

— Hmm. Co jest dla ciebie najwyższą wartością?

— Moja perfekcja duchowa — odparł bez zająknięcia Hoimon. — Ani śmierć, ani męki nie mogą jej zniweczyć!

— Nie chciałbym cię rozczarować, mój dobry człowieku — Hobart wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu — ale jesteś przecież odpowiedzialny za wpakowanie mnie w to wszystko. Coś ci powiem. Albo zabierzesz mnie do domu i pozwolisz kapłanom martwić się o znalezienie kolejnego Noisa, albo wparuję na ten tron i zamienię cię w najbardziej rozpustnego, starego libertyna, jakiego ten arystoteliański świat kiedykolwiek widział! Obdarzę cię taką żądzą, że na sam widok kobiety będziesz się ślinić, skręcać i jeszcze w tej samej chwili zerwiesz z niej sukienkę...

Na twarzy ascety pojawił się wyraz przerażenia. Jego stalowe nerwy zostały nie tylko przełamane, ale wręcz rozbite z hukiem w drobny mak.

— Tylko nie to! — krzyknął. — Będę posłuszny. O Nosie—elekcje! Jesteś dla mnie zbyt silny!

— Już lepiej — powiedział zadowolony Hobart. — A teraz... wygląda na to, że będziemy musieli ruszać w drogę.

— Poprowadzę cię — zagrzmiał Hoimon, ruszając do wyjścia. — Ale najpierw przygotuję się do podróży. Ty tymczasem zostań tutaj, aby ludzie mieli czas załatwić swoje sprawy. Ruszam! — I asceta wybiegł z komnaty.

Dni mijały Hobartowi na szczęście dość szybko. Po sto razy dziennie inżynier wmawiał sobie, że wszystko już jest w porządku i setki razy łapał się za głowę myśląc, że coś musi jednak być nie tak.

Kiedy Chidelas oznajmił powrót Hoimona, Hobart pożegnał się szybko z kapłanami, nie zważając na ich protesty.

— Chodź! — warknął do Hoimona, łapiąc go za ramię i pociągając za sobą.

Kiedy tylko wyszli z piramidy, świecące jasno słońce zostało zasłonięte przez szarą mgłę, która się nagle pojawiła i sprawiła, że świat nabrał barwy papieru pakowego, a wszystkie przedmioty w zasięgu paru metrów zatraciły swą ostrość.

— Zaczęło się interregnum — lamentował Hoimon. — Prawa natury są łamane i nic nie może już być przyporządkowane którejkolwiek z dwóch wartości!

— A co mnie to obchodzi — stwierdził Hobart uśmiechając się szeroko. — Mam tylko nadzieję, że nie zabłądzisz we mgle.

Podeszli do krawędzi dna kanionu i zaczęli się wspinać po wygiętej do góry skale. Na początku szło im łatwo, później jednak stok nachylał się bardziej. Obute nogi Hobarta ślizgały się po obsydianie, podczas gdy gołe stopy Hoimona bez większego problemu pokonywały kolejne odcinki gładkiej skały.

Wkrótce pojawił się kolejny problem. Skała pod ciężarem Hobarta zaczynała pękać i kruszyć się. Postąpił parę kroków do przodu, za każdym razem ślizgając się i tracąc równowagę, na szczęście jednak powstające w skale nierówności dawały mu zaczepienie do dalszej wspinaczki.

— Widzisz, o Rollinie — zagrział Hoimon. — Zaczyna się.

— Świat się wali?

Hoimon przytaknął pochmurnie i pomógł Hobartowi wspiąć się ostatnie parę metrów. Na krawędzi kanionu stał koń i osioł. Koń był przeznaczony dla Hobarta, Hoimon natomiast dosiadł osła.

— Bardziej przystoi mej pokorze — wyjaśnił asceta. U siodła Hobarta uwiązane były dwa pistolety.

— Chodź — rzekł Hoimon popędzając swego wierzchowca. Zwierzę posłusznie ruszyło z cichym parsknięciem. Pokonali parę kolejnych grani nad kanionami podobnymi do tego, w którym mieściła się świątynia. Kiedy tak jechali, pęknięcia w czarnej powierzchni stawały się coraz bardziej widoczne. Najwyraźniej koniec tego świata nie był jedynie metaforą.

Jeźdźcy wyjechali na małą sawannę i przycisnęli wierzchowce. Hoimon najwyraźniej kierował się instynktem. Przejechali obok chatki wieśniaków, która właśnie rozpadła się w kupę desek, ledwo widoczną w szarówce. Wieśniak i jego rodzina stali w rzędku przed byłym domostwem i zawzięcie przeklinali.

— Czy domy w dużych miastach też się rozpadną? — krzyknął Hobart.

— Tak — odparł Hoimon. — A myślałeś, że co robiłem, kiedy mnie nie było? Przekazałem wieść, że trzeba opuszczać miasta, żeby ludzie przeżyli klęskę do czasu aż przez jakiś cud zostanie znaleziony nowy Nois! Zaraz, nie tak prędko, oto i Góry Stożkowe.

— Tak szybko? — zdziwił się Hobart.

— Nie były tak daleko.

Hobart zobaczył, jak ostre, podobne jeden do drugiego stożki zaczęły się rozpadać i załamywać, dzięki czemu wyglądały teraz jak prawdziwe góry. Kiedy jeźdźcy znaleźli się między stożkami, ich wierzchowce zakopały się po pęciny w miękkim miale.

— Śpiesz się! — krzyknął Hoimon. — Zaraz zawała się tunele!

Wydawało się, że męcząca podróż trwała wieki. Hobart zagryzał wargi aż do krwi i błagał Noisa, żeby Hoimon nie zgubił kierunku.

— Z koni! — darł się Hoimon, idąc za własnym rozkazem. — Weź pistolety, jeśli jeszcze nie zardzewiały!

Hobart wyszarpnął pistolety. Obydwa pokryte były cienką warstwą czerwonej rdzy, ale

wyglądało na to, że można ich jeszcze używać.

— Po co nam one? — krzyknął do Hoimona, który zaczął już wspinać się po dróźce prowadzącej do tunelu.

— Jaskiniowcy! — odkrzyknął Hoimon. — Mogą być tak przerażeni spadającymi skałami, że zaatakują nawet mnie, osobę, która wśród nich żyła! A najgorsze jest to, że będę musiał się przed nimi bronić, zadając gwałt żyjącym istotom!

Hobart pospieszył w górę wzgórza, aż serce zaczęło mu walić jak karabin maszynowy, a każdy oddech wydawał się ostatnim w jego życiu. Przy wejściu do jaskini ledwo już powłóczył nogami. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby upaść na ziemię i pozwolić całemu światu zawalić się na niego.

— Twoje urządzenie do wzniesienia ognia, o Rollinie! Szybko! — wrzeszczał Hoimon.

Hobart zapalił zapalniczkę. Hoimon podpalił pochodnię, którą umieścił u wejścia do pieczary, a następnie zapalił lonty obu pistoletów.

— Chodź! — polecił inżynierowi.

Hobart zataczając się, pospieszył za nim, chwytając łąpczywie powietrze szeroko otwartymi ustami. Kiedy wszedł w ciemność, usłyszał słabe odgłosy pękania skał. Małe odłamki kamiennego dachu pieczary spadły na niego i wplątały się we włosy. Mimo swojego wzrostu musiał prawie biec, aby nadążyć za susami jakie sadził Hoimon. Rozdzierające tąpnięcie za ich plecami dobitnie świadczyło o rozpadnięciu się sufitu.

Hoimon nagle się zatrzymał. W chybottliwym świetle pochodni Hobart ujrzał, że asceta podniósł w ostrzeżeniu palec. Inżynier usłyszał nieludzki krzyk. Był pewien, że wszystkie włosy na głowie stanęły mu dęba. Krzyk zbliżał się do nich, a w korytarzu przed nimi coś się poruszyło.

Istota wyglądała tak, że Hobart omal nie zemdłał. Miała ludzkie kształty, ale odróżniała się od człowieka trupią bladością i brakiem oczu, jak również pokryciem całego ciała długim owłosieniem przypominającym wasy kota. Obnażyła zęby, powtórzyła jeszcze raz nieziemski krzyk i rzuciła się w ich kierunku, wyciągając do przodu długie ramiona.

Hobart wymierzył z pistoletu i pociągnął za spust. Oślepił go nagły błysk, a grzmot strzału spowodował istną kaskadę spadających kawałków stropu. Kiedy dym opadł, inżynier z ulgą zorientował się, że istota leży nieruchomo na ziemi.

Hoimon jednym wielkim skokiem przesadził ciało jaskiniowca. Hobart poszedł w jego ślady, nie uszli jednak daleko, gdyż tunel zablokowany był przez większą grupę jaskiniowców. Hobart wystrzelił z drugiego pistoletu podał go bez słowa Hoimonowi, wyciągnął szablę i rzucił się do ataku.

Ciał jednego za drugim. Znalazł się pomiędzy jaskiniowcami i w pewnym momencie poczuł, że czyjeś szczęki zaciskają się na jego nodze... Zamachnął się szablą, rzucił szaleńczo do przodu i usłyszał za sobą ciężki oddech Hoimona oraz odgłos walenia rękojeści pistoletu po białych czaszkach. Hoimon wystrzelił swe niezawodne, rozciągalne ramię obok Hoimona i zwałił z nóg parę stojących naprzeciw niego istot. W tej samej chwili przez umysł inżyniera bezwiednie przebiegały kolejne stwierdzenia:

„Organizmy żyjące w jaskiniach (krewetki jaskiniowe, jaszczurki, itd.) są białe i ślepe”.

„Jaskiniowcy są mieszkańcami jaskiń”.

„Dlatego też jaskiniowcy są biali i ślepi”. Coś ze świstem śmignęło tuż przy głowie Hobarta. Było to ciało jaskiniowca, które wpadło w tłum stojący przed inżynierem, i jak kula armatnia wyrzucona z wielkim impetem, przewróciło stojące tam istoty. Hoimon wyskoczył przed inżyniera wymachując trzymanym za lufę pistoletem i trzymając w drugiej ręce pochodnię. Nagle zatrzymał się i cofnął, wchodząc prawie na inżyniera. Krzyknął do niego przez ramię:

— Cofnij się! Tunel się zapa...

Dalsze słowa utonęły w wielkim grzmocie. W słabym świetle pochodni Hobart ujrzał wielkie masy skalne wyskakujące z tunelu przed nimi i wpadające do korytarza, w którym stali, oraz postępujące przed nimi wielkie tumany kurzu. Podłoga zatrzęsa się, a obydwaj podróżnicy upadli na kolana.

Za nimi rozległy się wrzaski jaskiniowców wbiegających poprzez ciemne, boczne wejście do nie

zawalonej jeszcze części tunelu. Hobart usłyszał ich kroki i gnając przed siebie wymachiwał na wszelki wypadek szablą.

W końcu trafił wreszcie w coś i usłyszał krzyk. Mała szara plamka, która prawdopodobnie stanowiła okno na świat zewnętrzny, wydawała się pozostawać daleko przed nim, nagle jednak niespodziewanie się powiększyła. Obydwaj z Hoimonom rzucili się w dół po zboczu góry. Hoimon zgubił swój ręcznik i krwawił teraz od wielu ugryzień i zadrapań.

— Myślisz, że pójda za nami... — spytał go Hobart.

— Nie ma słońca, które by ich powstrzymało — odparł Hoimon, wskakując na swego osła. Hobart schował broń do pochwy i dosiadł wierzchowca w momencie, gdy biaława horda wylała się z otworu jaskini i rozsypała po stoku jak popcorn.

Zwierząt nie trzeba było popędzać. Przeróżający jaskiniowcy już wkrótce zniknęli im z pola widzenia. Mimo to jeźdźcy nadal słyszeli za sobą ciche, przerażające okrzyki, które nie słabły mimo upływającego czasu.

— Gonią nas? — spytał Hobart.

— Tak, idą za węchem. Kiedy wyjedziemy poza Góry Stożkowe, będziemy mogli jechać szybciej.

— Hej, Hoimonie, jeśli tunel się zawalił, to w jaki sposób będę mógł wrócić do swojego świata?

— Nie będziesz mógł, przyjacielu.

— Nie ma jakiegoś innego przejścia...

— Ja w każdym razie nic o tym nie wiem! Koniec tunelu to jedyne miejsce, gdzie bariera jest na tyle cienka, że mogę ją przekroczyć dzięki mojej duchowej perfekcji. Musimy wracać do piramidy Noisa.

— Co?! Prędzej mnie szlag trafi, niż...

— Nie masz innego wyboru o, Rollinie — przerwał mu Hoimon. — Musisz wiedzieć, że ty jeden możesz zakończyć okres interregnum i przywrócić słońce nad naszą ziemię. Dopóki tego nie zrobisz, jaskiniowcy przemierzą za nami połowę świata, jeśli nic nie stanie im na przeszkodzie. Zresztą nie będą chyba musieli przemierzać połowy świata, bo potrafią przegonić najszybsze konie. A teraz uważaj, wyjeżdżamy na równinę.

Ominęli ostatnią parę wierzchołków i zmusili konie do galopu. Okrzyki za nimi nadał się rozlegały, były tylko nieco cichsze. Nie zamierzały jednak ucichnąć zupełnie.

Po przejechaniu pędem parunastu kilometrów minęli rozpadniętą chatę wieśniaków. Hobart uświadomił sobie, że jaskiniowcy przy swoim apetycie nie są prawdopodobnie wybredni. Zatrzymał więc konia i krzyknął do wieśniaka:

— Uciekajcie! Nadchodzą jaskiniowcy! Człowiek patrzył na niego z nierozgarniętą miną.

— Nie uciekną bez koni o, Rollinie — powiedział Hoimon. — Jaskiniowcy odnajdą ich po zapachu i zeżrą, tak jak wielu innych.

— Jak daleko jeszcze do piramidy — rzucił ze złością Hobart.

— Jeszcze jakieś cztery kilometry.

— Dobra, oddajmy konie wieśniakom. Zsiadaj! — Hobart zeskoczył z wierzchowca i powtórzył chłopu ostrzeżenie. Okrzyki dochodzące przez mgłę były wystarczającym dowodem jego prawdomówności. Cała rodzina wsiadła na wierzchowce i czym prędzej odjechała.

Hobart przeszukał kieszenie marynarki swego konserwatywnego garnituru, który był teraz dość zszargany, poplamiony i wyblakły, po czym zrzucił go z siebie razem z krawatem. Następnie ruszył w dalszą wędrowną, trzymając pochwę szabli w zaciśniętej dłoni. Hoimon pospieszył za nim.

Zawodzenia jaskiniowców były przez dłuższy czas dość ciche. Później jednak coraz bardziej się wzmagaly. Hobart i Hoimon spojrzeli po sobie, ale nic nie powiedzieli. Hobart był dość zmęczony całą eskapadą, ale wiedział, że jeśli nie będzie zmuszony do sprintu, to zdoła jeszcze przejść parę kilometrów.

Kiedy dotarli do terenu czarnych kanionów, okrzyki były już o wiele głośniejsze. Hoimon szedł pierwszy prowadząc inżyniera łuk za łukiem do piramidy. Oglądając się za siebie Hobart widział już tłum małych postaci poruszających się we mgle za nimi.

— Pospiesz się — wydyszał Hoimon, wydłużając i tak już kolosalne susy. Hobart biegł za nim

zdając sobie sprawę, że pogoń jest niebezpiecznie blisko.

Zastanawiał się właśnie, czy nie lepiej byłoby odrzucić szablę, kiedy dotarli do kanionu ze świecą, białą piramidą, jedyną wyraźną rzeczą w świetle ogarniętym szarym półmrokiem. Hoimon ogromnymi krokami zaczął zbiegać w dół zbocza. Hobart chciał pójść w jego ślady. Udało mu się nawet wykonać podobne cztery skoki, przy kolejnym jednak powinęła mu się noga i do dna kanionu dotarł staczając się po zboczu. Pochwa szabli obijała mu nogi i kłuła co chwila żebra. Kiedy wreszcie się zatrzymał spróbował wstać, ale skrzyżowana kostka nie pozwalała. Głośne krzyki sprawiły, że spojrzał w górę. Jaskiniowcy stali na krawędzi kanionu.

Hoimon podniósł Hobarta, ujął pod ramię i po—truchtał ciężko do piramidy. Zanim inżynier się zorientował, był już w środku, w obecności Psylleusa i Chidelasa.

— Szybko, panie, wejdź na tron! Jeśli tego nie zrobisz, jaskiniowcy za chwilę nas zjedzą! — krzyknęli prawie jednocześnie.

— Ale przecież nie mogą chyba wejść tutaj... — usiłował zaprotestować Hobart.

— Oczywiście, że mogą — odparł Hoimon. — Kiedy tron jest pusty, piramida jest tylko budowlą z dziwnej, świecącej skały! Śpiesz się!

— Niech to szlag! Dlaczego jeden z was, chłopaki, nie wpakuje się na ten cholerny tron? Bylibyście lepszym Noisem niż...

Przerwali mu przekrzykując się nawzajem:

— Moja pokora nie pozwala mi... My, kapłani, jesteśmy właśnie dlatego tylko kapłanami, że brak nam takich ambicji... Och, panie, czyn swoją powinność!

Najwidoczniej wszyscy trzej woleli dyskutować i przez to pozwolić, aby dopadli ich jaskiniowcy, niż wspiąć się na tron. Okrzyki dochodzące przez kamienne ściany stawały się coraz wyraźniejsze, co oznaczało, że jaskiniowcy dotarli na dno kanionu...

Przeklinając pod nosem Hobart złapał szatę podaną mu przez Psylleusa i zaczął wdrapywać się po schodach na tron. Przy każdym kolejnym kroku wspinaczka była coraz łatwiejsza. Dwa ostatnie stopnie pokonał jednym susem i wskoczył w kwadratowe, wyglądające na niewygodne, siedzenie.

Szaruga na zewnątrz znikła natychmiast. Również mgła ustąpiła (choć Hobart za nic nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób). Na niebie pojawiło się gorące i jasne słońce. Jaskiniowcy wydali z siebie pisk przerażenia.

— Niech jaskiniowcy zostaną w bezruchu do czasu, aż zadecyduję, co z nimi zrobić! — zagrział Hobart.

Piski natychmiast ucichły. Piramida była otoczona białymi, ślepyimi, szczerzącymi zęby posągami.

Hmm, bycie Noisem wcale nie jest takie złe!, pomyślał Hobart usadzając się na tronie. Zauważył przy tym, że jest on zaskakująco wygodny. Czuł się tak, jakby pływał w słonym morzu o temperaturze dokładnie równej temperaturze ciała. Ból w kostce zniknął, a płuca zmęczone długimi zmaganiem przestały dawać mu się We znaki.

Na podłodze przed nim trzy postacie, dwie ubrane w białe szaty i jedna przykryta tylko warstwą brudu rzuciły się na ziemię w wyrazie uwielbienia.

Hobart przez chwilę pozwolił sobie cieszyć się tą sytuacją. Potem jednak zamyślił się i zawołał:

— Niech w królewskich ogrodach zoologicznych miasta Oroloi znajdzie się dodatkowa liczba odpowiednich klatek! Niech jaskiniowcy zostaną do nich przeniesieni oraz niech wrócą do życia! Dobra, chłopaki wstawaj! Zawstydzacie mnie. Zabawiłem się przez chwilę w Boga, ale teraz to już koniec. Heep!

Hobart próbował wstać z tronu, ale stwierdził ku swemu zdziwieniu, że dokonanie tego nie jest możliwe. Napiął mięśnie i spróbował jeszcze raz.

— Uuuuh! — mruknął, ale nadal nie udało mu się wstać.

— Hej! — krzyknął do swych wyznawców. — O co tu chodzi? Ja chcę stąd zejść!

Psylleus spojrzał na niego bezbrzeźnie zaskoczony.

— O Noisie, to, co rzeczesz, jest niezgodne z zasadami logiki! Nikt, jak dotąd, nie próbował samemu—pozbawić się całej tej chwały!

— Tylko dlatego, że żaden Nois nie nazywał się jak dotąd Rollin Hobart. A teraz pomóżcie mi

się stąd wydostać!

— O, panie — mruknął Psylleus, oddając mu cześć — nie możesz odejść, zanim nie znajdziesz następcy, ponieważ gdybyś to zrobił, godność twego stanowiska zostałaby obniżona, a to nie jest możliwe. Twoi słudzy nie wiedzą, w jaki sposób mogą ci pomóc.

— Ach tak? — Hobart zastanowił się przez moment. Więc wydaje im się, że wreszcie mnie przyskrzynili, co? — pomyślał, na głos zaś krzyknął:

— Hoimonie!

— Tak, panie.

— Chciałbyś zostać Noisem?

— Och! — zatrwożył się asceta. — Oszczędź swego sługę, panie! Co stanie się z moją pokorą, zamieni się w samoupokorzenie? A co z moją perfekcją duchową? Przez tyle lat starałem się wyzbyć wszystkich żądz osobistych, wyrzec wszystkich przyjemności cielesnych! Dla mnie zajęcie tak wzniosłego stanowiska byłoby najgorszą z możliwych kar! Zniszcz mnie, jeśli taka twoja wola, albo zamień w najgorszego z hedonistów, ale nie chcę i nie zrobię tego! A teraz, jeśli pozwolisz, panie, wracam do swego codziennego życia w samotności i pokorze, wyzbytego z wszelkich uciech oprócz uciech ducha!

Hobart uśmiechnął się szeroko.

— No cóż — powiedział — jeśli szukasz nieszczęścia, a bycie Noisem jest dla ciebie najgorszą rzeczą, jaka może cię spotkać, najwyraźniej jest to posada wymarzona dla ciebie! Hej, wracaj no tutaj! — Hoimon przypadając do ziemi wrócił do stóp tronu.

— To będzie nieprzyjemne, ale to przecież właśnie przez ciebie wszystko się zaczęło — powiedział Hobart i biorąc głęboki oddech, krzyknął: — Kiedy powiem „już” niech staną się następujące rzeczy: po pierwsze, niech wszystkie zniszczenia powstałe na skutek ostatniego trzęsienia ziemi zostaną naprawione. Po drugie, niech Hoinon asceta będzie nie tylko człowiekiem odpowiednim na piastowanie stanowiska Noisa, ale również takim, który będzie wykonywał swoje zadanie z zadowoleniem. Po trzecie: niech wspomniany Hoimion stanie się Noisem siedzącym na tronie i spełniającym wszystkie pozostałe wymagania. I wreszcie ostatnie: niech ja, obecny Nois, zostanę zwykłym Rollinem Hobartem i wrócę do swojego mieszkania w mieście Nowy Jork, w świecie trzech wartości!

— JUŻ!

* * *

Stał w swoim pokoju.

Z pożądaniem rozglądał się po wszystkich elementach wyposażenia i prawie zapłakał na widok swoich starych skryptów jak również innych, nie przynoszących mu chwały, ale bardzo osobistych przedmiotów.

Zrobił krok w kierunku drzwi i nagle zawył z bólu. Przypomniał sobie o zwichniętej kostce. Ze strachem przetarł oczy obawiając się, że może znowu ujrzeć kamienny tunel. Ale nie, znajdował się nadal w starym, dobrym korytarzu swego mieszkania...

Odwiązał szablę, miłą pamiątkę przygody, i usiadł w dużym fotelu. Podciągnął lewą nogawkę brązowych, sfatygowanych spodni. Ugryzienie jaskiniowca zostawiło na jego łydce dwie czarnofioletowe smugi siniaków, ale na szczęście dzikusowi nie udało się przegryźć skóry. Prawa noga miała większe rany. Ściągnął but i skarpetkę, której wzorek niemiłosiernie rozciągnął się na spuchniętej stopie. Mógł nieznacznie ruszyć stopą bez bólu, uraz nie był więc tak groźny, jak musie wydawało. Był głupi, że nie uporał się z ranami, kiedy był Noisem...

Sięgnął do stojącego w pobliżu pudełka i wyciągnął z niego papierosa. O Noisie, jak miło się odprężyć!

Prawie połowa papierosa poszła z dymem, kiedy w pewnej chwili Hobarta zainteresował jakiś odgłos dochodzący z kuchni. Już wcześniej wydawało mu się, że słyszał kogoś, ale wmówił sobie, że musiał się przesłyszeć. Teraz jednak wyraźnie słyszał odgłos wytrząsania shakera do koktajli. Kto, do diabła, mógł przygotowywać koktajle w jego własnym mieszkaniu?

— George?! — krzyknął. — Słuchaj, George, pamiętasz, jak mówiłem, że nie można stworzyć świata na zasadach logiki Arystotelesa? No cóż, myliłem się. Właśnie w takim byłem, i muszę ci powiedzieć, że...

Shaker do koktajli pojawił się w drzwiach wraz ze szklaneczkami stojącymi na tacy. Razem z nim ukazała się, ubrana wreszcie po ludzku, księżniczka Argimanda.

— Ugrp — tylko tyle udało się Hobartowi powiedzieć, zanim trochę ochłonął z wrażenia. Po chwili wydusił:

— Dzięki... właśnie tego mi było trzeba... wyglądasz jak, cholera... zaraz, Argimando, co ty właściwie robisz w moim mieszkaniu?

Uśmiechnęła się z odrobiną tajemniczości.

— Hoimon mnie tu sprowadził trzy dni temu — wyjaśniła. — Chciałam ujrzeć twój świat, więc ubłagałam go, żeby mnie przeprowadził przez ten swój tunel. Ojej, co się stało z twoją stopą?

— Skręcona w kostce — odpowiedział i zaraz dodał: — Gdybyś mogła znaleźć coś wypełnionego zimną wodą, to z chęcią zanurzę w tym stopę. Sole stoją w łazience. Wrzuć je do wody.

Argimanda na chwilę zniknęła, po czym pojawiła się niosąc dzbanuszek z roztworem soli. Kontynuowała swą opowieść:

— Więc, twoja mała wieśniaczka przyjrzała się twojemu światu i zdecydowała, że chce tu żyć. Hoimon powiedział, że za parę dni ty też tu się pojawisz.

— Niewiele brakowało, żeby mi się to nie udało — wtrącił Hobart.

— Co się stało? Hoimon mówił coś o jakimś niebezpieczeństwie.

— Auuć! — jęknął Hobart zanurzając stopę w wodzie. — Opowiem ci kiedy indziej. To długa historia, a ja jestem dość zmęczony.

— A zły nie jesteś? — spytała i spojrzała na niego z ukosa.

— N-n-nie zupełnie... Pogłaskała go po kolanie.

— Niech się pan o mnie nie martwi, p a n i e Hobart. Zaraz przenoszę się do hotelu, gdzie będę mieszkać dopóki nie zacznę pracować.

— Pracować?

— Pewnie. U Funka & Wagnallsa. Zostałam zatrudniona jako leksykograf, chociaż, nie mając żadnych referencji, przekonanie ich, że jestem właściwą osobą na to stanowisko nie było proste.

Hobart zaciągnął się papierosem i rzekł:

— Zmieniłaś się, Argimando.

— W jakim sensie?

— Ubranie, język, wszystko, teraz jesteś prawdziwym człowiekiem!

— Dziękuję za komplement. Ale tak ci się tylko wydaje. To tylko wykorzystanie pierwszego daru Kyzikei: inteligencji.

Hobart w zamyśleniu potrząsnął głową.

— Wiesz, przez parę dni będę zupełnie bezradny i nie będzie nikogo, kto mógłby podać mi jedzenie i...

— Chciałbyś, żebym dla ciebie gotowała? — wpadła mu w słowo Argimanda. — Przykro mi, Rolly, ale obawiam się, że będę zajęta. Jeśli chcesz, to powiem w najbliższej restauracji, żeby przysyłali tu kogoś. — Dopiła swój koktajl i odstawiła szklankę. — Muszę już iść.

Zdecydowanym krokiem weszła do sypialni i po chwili pojawiła się z torbą podróżną w ręku.

— Argimando, wiesz, dużo o tym wszystkim myślałem. Może byłem trochę... eee... zbyt lekkomyślny... — powiedział nieco zdenerwowany Hobart.

— Rollinie Hobarcie! — rzekła niebezpiecznie groźnym tonem Argimanda. — Próbowałam być dla ciebie miła, bo przecież ocaliłeś mi życie, ale jeśli chcesz dać mi jeszcze jedną szansę, pozwól, że cię poinformuję, iż nie przyjmuję kolejnych szans od dżentelmenów, jeśli w ogóle można ciebie do takich zaliczyć. Poradzę sobie sama, dziękuję. Mam już sześć randek w czasie kolejnych dwóch tygodni.

— Chyba nie jesteś na mnie zła?

— Pewnie, że jestem zła! Sam twój widok sprawia, że moja gorąca logaiańska krew się burzy.

Jeśli chciałbyś zadzwonić do mnie za jakiś rok, poszukaj w książce telefonicznej Argimandy Xerophus. Może wtedy będę już w stanie znieść twoje towarzystwo, jeśli wcześniej nie wyjdę za dyrektora szkoły albo producenta amunicji. Do widzenia!

— Za rok! Poczekaj chwilkę, proszę — błagał Hobart. — Wiem, że jestem okropny, ale naprawdę cię kocham. Nie wiem od kiedy, ale podejrzewam, że od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, chociaż nigdy nie chciałem się do tego przyznać. Wielbię ziemię, po której stąpasz. Przez najbliższy rok będę tylko siedział, patrzył na kalendarz i liczył dni do naszego spotkania. Kiedy nadejdzie wreszcie ten moment, przybiegnę zaofiarować ci serce i rękę starego, egocentrycznego kawalera. Jeśli to konieczne, przyniosę również klucz francuski, który wykorzystam na twoim dyrektorze szkoły.

Dziewczyna westchnęła.

— No cóż, w takim razie, Rolly... czy cały ten rok nie byłby po prostu stratą czasu?

Oszołomieni obejmowali się nawzajem ramionami, szepcząc długo powstrzymywane słowa czułości.

— Miauuu! — Do pokoju wszedł Theiax. Na widok zaistniałej sytuacji puścił do obejmujących się oko, po czym usiadł i zaczął chleptać herbatę ze stojącej na ziemi filiżanki.

Argimanda zauważyła porozumiewawczy znak lwa i odmrugnęła do niego nad ramieniem Hobarta. Theiax uśmiechnął się i zamruczał.

— Książę, nie musisz już martwić się o mój rozmiar. Mam swoją godność, nawet jeśli jestem mały. Właśnie pogoniłem do rzeki Hudson największego psa w Nowym Jorku!

ZACZAROWANY KRÓLIK

David Drake

W hołdzie L. Sprague de Campowi

JoeE Johnson wszedł do małego wagonika Przewoźnika Ludzi, nie zwracając uwagi na syntetyczny głos nakazujący mu trzymanie się z dala od drzwi. Starł się nie upaść pod ciężarem nesesera wypchanego rzeczami osobistymi i dokumentami. Posłużył mu on jako torba podróżna w czasie krótkiej wizyty u senatora. Tuż przed terminalem senator wręczył mu rulon fotokopii „do poczytania w wolnej chwili w czasie podróży”.

Senator najwyraźniej nie chciał być w pobliżu, kiedy Joe będzie je czytał. Myślał pewnie, że Joe nie będzie zbyt zadowolony ze sposobu, w jaki opisano incydent Poopsi LaFlamme.

I miał rację.

Joe siadł na plastikowym krześle. Na szczęście wagonik był pusty, jeśli nie liczyć jakiegoś śniadego mężczyzny, chyba Azjaty, krótko mówiąc śniadego Azjaty siedzącego na końcu, po przeciwnej stronie wagonika. Kiedy Joe przyleciał dzień wcześniej, podróż do głównej hali musiał odbyć wraz z rodziną liczącą siedem osób, z których pięć, łącznie z wyglądającym na głowę rodziny mężczyzną, grało w piłkę.

Drzwi się zamknęły. Przewoźnik Ludzi zamruczał coś o następnym przystanku, którym miała być Czerwona Hala Główna i rozpoczął powolną podróż.

Joe przerzucił kolejną stronę papierów spiętych w górnym rogu spinaczem. „I wtedy, mniej więcej spotkałem panię LaFlamme, przyjaciółkę mojej żony Margaret, która z tego, co wiem, pracuje jako tancerka...”

Dobry Boże! Czy senator... czy był senator, o którym, wiadano, że jego życie pełne jest wydarzeń zapewniających ogromną poczytność jego biografii, myślał, że ujdzie mu to na sucho?

Nie po to wydawca zapłacił mu sześciocyfrową zaliczkę, żeby otrzymać zbiór przemówień i homilii. Obiecano mu skandal i chciał skandalu...

A człowiek, który miał przeredagować opowieść senatora, Joe Johnson, również domagał się krwi, gdyż jego dwuprocentowy udział w wydaniu wart był zero, nic, pustkę, jeśli „Wizerunek Człowieka na Stanowisku” okaże się nudziarstwem, na jakie w tej chwili wyglądał.

— ...zatrzymujemy się w Czerwonej Hali Główniej — powiedział syntetyczny głos. Wagonik zwolnił łagodnie, ale na tyle zdecydowanie, że teczka Joe’ego przesunęła się na kolanach i musiał ją złapać, żeby nie spadła na ziemię. Do wagonika wsiedli kolejni pasażerowie.

Joe przerzucił stronę.

„...pomagając pani LaFlamme zanieść jej walizki do pokoju. Niestety winda...”

Przewoźnik Ludzi sapnął i znowu ruszył. Joe przytrzymał mocniej neseser. Jednym z nowych pasażerów wagonika było drące się wniebogłose dziecko.

Joe również miał ochotę beczeć. Senator Coble wiedział przecież, co miał opisać w tej książce. Nie tylko wiedział, ale się zgodził.

Monter windy w hotelu Poopsi LaFlamme otworzył skrzynkę kontrolną, chcąc się dowiedzieć, dlaczego ktoś nacisnął guzik stopu pomiędzy piętrami. W kieszeni miał kamerę. To właśnie był pech senatora. Ale od razu pomyślał, że zdjęcie dwojga pijaków z wybaluszonymi gałami, siedzących przy butelkach szampana i nie mających na sobie nic oprócz idiotycznych min, byłoby idealne na okładkę...

Tylko że najwyraźniej senator myślał, iż wszyscy, a w szczególności wydawca, żyli na innej planecie, kiedy zdarzyło się to wszystko.

— Za chwilę zatrzymamy się w Niebieskiej Hali Główniej — powiedział bezbarwnym głosem Przewoźnik Ludzi.

Joe przerzucił kartkę. „Niestety, fotografie pornograficzne, przedstawiające osoby nie wyglądające ani trochę na mnie czy panią LaFlamme, zaczęły krążyć w prasie brukowej...”

Oraz *Washington Post*. Oraz w czasopiśmie *Time*. A poza tym w...

Wagonik zatrzymał się. Ci, którzy wsiedli do niego na poprzednim przystanku teraz wysypali się na zewnątrz.

Joe przewrócił kartkę.

„...unikalem nagłośnienia sprawy związanego z wytoczeniem procesu, ponieważ pamiętałem słowa mojej świętej pamięci matki, uśmiechającej się pewnie teraz do mnie ze swojego obecnego domu w Królestwie Bożym, która mówiła: ‘w prasie znajdziesz tylko nazwiska i twarze

głupców'...”

Cholera! To przecież jest hala Joe'go!

Drzwi Przewoźnika Ludzi były jeszcze otwarte. Joe poderwał się na równe nogi.

Spinacz ześlizgnął się z papierów i połowa bezsensownej papki, którą czytał, rozsypała się teraz po podłodze.

Joe zawahał się przez chwilę, ale miał przecież jeszcze dużo czasu do samolotu. Pochylił się i zaczął podnosić papiery.

Prawdopodobnie nie miały one większej wartości, ale Joe z pewnością nie chciał, żeby leżały tak na podłodze. Śniady mężczyzna, może Mongoł, chociaż z drugiej strony nie wyglądał na żadnego przedstawiciela rasy orientalnej, którą Joe znał, przypatrywał się bez szczególnego zainteresowania całemu zajściu.

Wagonik zwolnił i ponownie się zatrzymał. Joe wepchnął papiery do teczki i wyskoczył na zewnątrz. Miał zamiar przejść na drugą stronę hali, do Przewoźnika Ludzi podróżującego w przeciwnym kierunku i cofnąć się o jeden przystanek.

W hali głównej było parędziesiąt osób: biznesmeni, grupki rodzin i młodzieży z plecakami i ekwipunkiem sportowym, z którym będą się musieli nieźle nabiedzić w samolocie, upychając go do skrzynek na bagaż znajdujących się nad głową. Normalny obrazek z lotniska.

Dziwne było tylko to, że wszyscy byli Japończykami.

Ale cóż, pewnie była to po prostu grupa turystów, a może zwyczajny przypadek. Joe'go zresztą zupełnie to nie obchodziło...

Wszystkie twarze zwróciły się jednak ku niemu, kiedy zaczął przemierzać wyłożoną płytkami ceramicznymi podłogę hali. Ludzie usuwali mu się z drogi. Mały chłopczyk chwycił poły kimona matki i przerażony zaczął płakać.

Joe zatrzymał się. Dwóch policjantów zaczęło zbiegać po schodach z górnego poziomu hali. Joe nie mógł zrozumieć ani słowa z tego, co do niego krzyczeli.

Policjanci nosili płaskie czapeczki i nabijane mosiężnymi guzikami surduty. Obaj wyciągnęli szable umieszczone w zwisających u boku, wyłożonych lakierowaną skórą, pochwach.

Joe rzucił się z powrotem do wagonika dokładnie w momencie, gdy drzwi się zamykały. Wyjrzał przez okno i popatrzył na krzyczący zagraniczny tłum. Zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego ci ludzie chcieli się na niego rzucić...

Twarze w hali wyglądały na równie przestraszone, jak jego własna twarz.

Przewoźnik Ludzi ruszył do przodu. Joe odetchnął z ulgą i rozejrzał się. Dopiero teraz zauważył, że nie był w tym samym wagoniku, który dopiero co opuścił.

W pojeździe nie było siedzeń ani żadnego innego wyposażenia. Ściany wyłożone były pofałdowaną blachą metalową. Kiedyś pomalowano je na zielonożółty kolor, ale teraz większa część farby odpadła wyparta przez rdzę.

Na metalowych ścianach i podłodze wymalowane były graffiti. Napisy jednak nie były wykonane w żadnym znanym Joe'mu języku.

Joe postawił teczkę między nogami i przetarł oczy dłońmi. Czuł się bardziej samotny, niż kiedykolwiek wcześniej w całym swoim życiu. Musiał chyba upaść i uderzyć się w głowę, ale najwyraźniej nie mógł jeszcze dojść do siebie.

Wagonik nie poruszał się już tak gładko jak poprzednio. Łożyska skrzypiały, wydając dźwięki podobne do jęków potępionych dusz. Wagonik co chwila podskakiwał, gdyż uszkodzone koło, spłaszczone po jednej stronie, uderzało w szynę.

Przewoźnik Ludzi, jeśli w ogóle był to nadal Przewoźnik Ludzi, zwolnił i zatrzymał się, wydając z siebie pozagrobowy jęk. Drzwi nie otworzyły się automatycznie. Joe zawahał się, potem jednak schwycił umieszczone na nich rączki i rozsunął połówki na boki.

Nie ujrzał przed sobą tłumy rozhisteryzowanych Japończyków, oczekujących w głównej hali. Nie ujrzał nawet hali, tylko małą uliczkę, która wydawała się całkowicie wyludniona.

Joe wysiadł z pojazdu. Skład pociągu był długi i zniknął za jednym ze stojących w pobliżu budynków. Po chwili pojazd powoli ruszył w dalszą podróż. Joe przypatrywał się z zaciekawieniem. Nie miał pojęcia, co napędzało ten pociąg, ale z całą pewnością nie były to

umieszczone w każdym z wagoników silniki elektryczne.

W gęstym, zadymionym powietrzu wyczuwało się zapach siarki.

Joe spojrzął w górę. Niebo było niebieskie, ale jego kolor przypominał raczej kobalt niż błękit. Wyglądało na to, że całe miasto przykryte jest czymś w rodzaju wielkiej kopuły, gdyż od czasu do czasu na niebie widać było czerwone zygzaki. Były różnej długości i umieszczone w różnych miejscach, ale zawsze miały taki sam kształt.

Najbliższe budynki miały trzy, cztery piętra, zakończone były skośnymi dachami i wieloma dodatkowymi wieżyczkami. Okna były zakratowane i w żadnym z nich nie paliło się światło.

Joe przełknął ślinę i kurczowo przycisnął teczkę do piersi. Pociąg zaskrzypiał i zapiszczał potępieńczo za jego plecami, odjeżdżając w jakimś nieznanym kierunku...

W pewnej odległości pojawiły się czyjeś sylwetki. Po ciemnej ulicy przechadzał się mężczyzna z pieskami. Słychać było uderzenia ich pazurów o popękany beton.

— Proszę pana! — zawołał Joe. Jego głos zabrzmiał dość cienko. — Halo, przepraszam pana!

Trzeba przyznać, że psy były wielkie. Joe znał człowieka, który przechadzał się z oswojonym kuguarem, ale niewyraźne, muskularne bydłeta, które miał teraz przed sobą wielkością przypominały raczej tygrysy.

Nagle dało się słyszeć uderzenie, przywodzące na myśl daleki grzmot spadającej lawiny. Spacerowicz zatrzymał się, a Joe spojrzął w górę.

Kopuła poczerwieniała wielkimi kleksami. Pewnie chmury, pomyślał Joe, ale w tej samej chwili jego umysł połączył wszystkie kleksy w jeden wielki obraz zniekształconej ludzkiej twarzy, tak jakby została ona przyciśnięta do powierzchni kserokopiarki.

Twarz musiała być wielkości setek metrów.

Czerwone, dziwne światło zalało całe miasto przy grzmotach dochodzących z kopuły. Dwa „psy” stanęły na tylnich łapach. Miały zęby jaszczurki i kończyny przypominające metalową zbroję. Wyprowadzający je „mężczyzna” był podobny do swoich zwierzątek i najwyraźniej żadne z nich nie pochodziło z części wszechświata zamieszkałej przez ludzi.

Z gardeł demonicznego trio zbliżającego się do Joe’ — go popłynęło śpiewne „ka-ka-ka-ka-ka”.

Joe krzyknął i obrócił się. Za jego plecami przejeżdżał właśnie pociąg osiągający szybkość ślamazarnego przechodnia. Joe chwycił rączkę umieszczoną przy drzwiach jednego z wagoników. Drzwi rozsunęły się na kilkanaście centymetrów i zacisnęły z piskiem.

Joe zapiszczał jeszcze głośniejsze niż one i otworzył je kilkoma konwulsyjnymi szarpnięciami. Wskoczył do środka. Przez chwilę nie widział wokół siebie nic, oprócz zaopatrzonej w pazury ręki wyciągającej się dokładnie w jego kierunku.

Następnie wylądował na twardej poduszce umieszczonej na kolanach mężczyzny. Jakiś głos powiedział:

— Mamy szczęście Kiki! Oto i czarnoksiężnik, którego szukaliśmy!

— Przepraszam bardzo — rzekł Joe schodząc z mężczyzny, na którym siedział. Jechali czymś w rodzaju powozu ciągniętego przez konie i podskakującego na kocich łbach.

Joe’go uderzyła myśl, że po raz pierwszy od dłuższego czasu usłyszał „przepraszam” wypowiedziane w charakterze przeprosin. Najwyraźniej jednak nie by}a to jedyna rzecz, która przytrafiła mu się po raz pierwszy w drodze do Atlanty.

Współpasażer wydawał się mieć około dwudziestu lat. Ubrany był w zieloną, jedwabną bluzę z bufiastymi rękawami, bryczesy, rajstopy i futro.

Pomiędzy nogami nieznanomego stała pionowo umieszczona w pochwie szabla. Miała rękojeść z ornamentem i wyglądała na dość poręczną w kształcie i rozmiarze. Joe potarł nos w miejscu, które znalazło się dokładnie na kawałku metalu w chwili lądowania w karocy.

Zza prawego ucha młodzieńca niepewnie wyjrzała mała małpka. Zaraz się schowała, wyjrzała ponownie zza lewego ucha i zaczęła z furją popiskiwać. Zwierzątko nosiło miniaturowy płaszczyk zapięty diamentową broszką.

Ubranie małpy przypomniało Joe’mu, że niezależnie od tego, gdzie się aktualnie znajduje, z pewnością nie jest to Atlanta, a już tym bardziej Atlanta w lecie. Na oknach karocy malował się

mróz. Joe zdrzął na myśl, że ma na sobie spodnie od marynarki i koszulkę z krótkimi rękawkami.

— Nazywam się Delendor, jestem Wielkim Czarnoksiężnikiem — rzekł młodzieniec. — Ale musisz oczywiście to wiedzieć, nieprawdaż? Czy mogę wiedzieć, jak chcesz, abyśmy cię zwali w Hamisch?

Kiki przeskoczyła z ramienia Delendora na ramię Joe'go. Ciało małpki było ciepłe i lekko woniało nieświeżym moczem. Zwierzątko wspięło się na kark Joe'go, wydając przy tym okrzyki zadowolenia.

— Nazywam się Joe Johnson — odparł Joe. — To znaczy tak mi się wydaje. O Boże!

Otworzył zatrzaski swego nesesera. Wszystko w jego wnętrzu poukładane było tak, jak pamiętał, włącznie z brudnymi skarpetkami.

Kiki zeszła na dół, świsnęła długopis z kieszeni koszuli Joe'go i rzuciła go przez okno karocy wprost na głowę krzepkiego mężczyzny jadącego na mule w przeciwnym kierunku.

— Muckin' bassit! — zawołał mężczyzna.

— Hej! — krzyknął Joe.

— Kiki! Wstydź się! — To głos Delendora. Małpa zaszczębiotała, skoczyła i znikła za jego głową.

— Przepraszam — rzekł Delendor. — Czy rzecz była cenna? Moglibyśmy się zatrzymać i...

I podyskutować o tym z facetem na ośle, pomyślał Joe. — Nie, dziękuję. Mam dość innych problemów — odrzekł na głos. — Kosztował mnie zaledwie dwadzieścia dziewięć centów.

Chociaż znalezienie drugiego takiego będzie raczej trudne dodał w myśli.

— Widzisz — zaczął Delendor — od ośmiu lat, od czasu gdy ojciec wysłał moją siostrę, Estoril, do króla Beldera, do Glenheim na wychowanie, Kiki jest moją jedyną przyjaciółką. Nie mogę się jakoś dogadać z moimi braćmi, Glamem i Groagiem, wiesz jak to jest. Są starsi i wszystko wiedzą lepiej.

— Od ośmiu lat? — powtórzył Joe starając się skupić na tej kwestii i nie myśleć o innych problemach nasuwających mu się na myśl. — Jak długo w ogóle żyją małpy?

— Och! — przestraszył się Delendor. — Nigdy nie... wolałbym się nad tym nie zastanawiać. — Owinał popiskujące zwierzątko w płaszcz i przycisnął do piersi.

Joe usiłował przypomnieć sobie, jak się tu znalazł. Kurczowo chwycił neseser i zaczął modlić się o to, aby wbrew zewnętrznym pozorom miejsce, w którym się znajduje, nie okazało się być piekłem. Przynajmniej Kiki była żywa...

— Estoril przyjedzie do nas lada dzień — odezwał się Delendor. Kiki wyjrzała spod futra i po chwili wskoczyła na okno powozu. — Wspaniale będzie ujrzeć ją znowu. Wspaniale będzie też mieć wielkiego magika, który będzie mi pomagał! Moje gwiazdy naprawdę mi sprzyjają!

— Nie jestem magikiem — rzekł Joe ponurym głosem.

Reakcja nie była zadowalająca. Spojrzał na kopię wspomnień senatora. Do tego rodzaju fantazji był już przyzwyczajony.

— Jak tylko pomożesz mi pokonać smoka — kontynuował Delendor, co było najlepszym dowodem braku jakiegokolwiek zainteresowania słowami Joe'go — wszyscy będą mnie szanować. Poza tym, oczywiście, ocalimy królestwo.

— Oczywiście — mruknął Joe.

Kiki sięgnęła za okno i ukradła pióro z hełmu ubranego w zbroję mężczyzny niosącego halabardę. Ostrze halabardy zdobił tak wymyślny ornament, że wydawała się być ona bardziej eksponatem muzealnym, niż bronią. Mężczyzna ryknął.

— Kiki! — krzyknął Delendor. — Nie ruszaj Strażnika Miejskiego! — Zabrał małpce pióro i wychylił się przez okno, aby oddać je właścicielowi.

— Och — rzekł strażnik... gliniarz zmienionym głosem, biegnąc obok powozu, aby odebrać ozdobę. — Nic się nie stało, Wasza Wysokość. Taki mały żart.

— Eee... — zaczął Joe. — Eee... Delendorze? Czy ty przypadkiem nie jesteś królem?

— Oczywiście, że nie — odparł zdziwiony Delendor. — Mój ojciec, król Morhaven nadal żyje.

Zacisnął wargi.

— Poza tym Glam i Groag są starsi ode mnie — dodał po chwili. — Nie oznacza to jednak, że

ojciec nie mógłby...

Joe przycisnął nesesor do piersi. Zamknął oczy. Karoca nie miała żadnych resorów, ale jej kołysanie sugerowało, że została zawieszona na skórzanych pasach, które miały amortyzować podskoki na kocich łbach.

O Boże!

— Ale wracając do naszej rozmowy — ciągnął wesoło książkę — wydaje mi się, że musimy zacząć od smoka... chociaż właściwie najbardziej chciałbym, żebyśmy znaleźli moją zaczarowaną księżniczkę.

Joe otworzył oczy.

— Nie jestem... — zaczął, lecz nie dokończył zdania.

Powtarzanie tego zapewnienia nie miało sensu, ponieważ Delendor najwyraźniej nie zwracał na nie uwagi. Prawdę mówiąc, nie było w tym nic dziwnego, że uznał, iż mężczyzna spadający z nieba wprost do poruszającego się powozu jest magikiem.

Książę otworzył małe puzderko, które nosił na łańcuszku na szyi i pokazał je Joe'mu. We wnętrzu mogło kryć się miniaturowe malowidło, ale się nie kryło. Było tam natomiast lustro, w którym odbijała się zmizerowana twarz Joe'go.

— Mam to puzderko od moich narodzin — wyjaśnił Delendor. — To podarunek od mojej świątobliwej matki. We wnętrzu był obraz najpiękniejszej dziewczyny na świecie. Kiedy rosnę, dziewczyna na obrazku rośnie ze mną. Dopiero parę tygodni temu otworzyłem puzderko i zobaczyłem tam królika, tego, którego widzisz. Jestem pewien, że była to księżniczka, którą mam poślubić, ale jakiś zły czarnoksiężnik zamienił ją w króliczka. Co o tym myślisz? — zwrócił się do Joe'go.

— Zapewne teraz opowiesz mi o swojej złej macosze — rzekł Joe z rezygnacją.

— Wypraszam sobie! — rzucił książkę, podnosząc się natychmiast z miejsca i zamykając puzderko. — Moja matka Blumarine była świętą! Każdy, kto ją znał, może to potwierdzić. A po tym, jak zmarła, w chwili moich narodzin, mój ojciec nawet nie pomyślał o żenieniu się po raz trzeci.

— Hmm — mruknął Joe. — Przepraszam, nie chciałem cię urazić. — Wydawało mu się, że szabla De—lendor'a nie jest jedynie ozdobą.

— Nie wiem, jaka była pierwsza żona ojca — ciągnął książkę, zapominając natychmiast o przykrych słowach. — Wydaje mi się jednak, że musiała być całkiem miła. Estoril jest wystarczającą przeciwwagą dla Glama i Groaga, nieprawdaż?

— No cóż... — odparł zaskoczony Joe. — Skoro tak twierdzisz.

— Mówią, że matka zakochała się w młodym rycerzu na dworze swego ojca — kontynuował Delendor. — Jej ojcem był, oczywiście, król Belder z Glenheim. Nie mogli jednak się pobrać, dopóki on nie udowodnił swej rycerskości, co starał się uczynić, kiedy w Glenheim pojawił się smok. Matce prawie serce pękło, kiedy smok pożarł młodzieńca. Król Belder oddał ją natychmiast za mąż mojemu ojcu, żeby w jakiś sposób zmusić ją do odwrócenia uwagi od tragedii. Podobno jednak nigdy już się nie pozbierała.

Kiki wychyliła się przez okno i zaczęła wesoło szczebiotać. Delendor pogładził futerko zwierzątka i rzekł:

— Tak, tak, już prawie jesteśmy w domu, moja mała.

Znowu spojrzał na Joe'go.

— Dlatego właśnie jest dla mnie tak ważne, aby pokonać smoka, skoro znowu pokazał się u nas — wyjaśnił książkę. — To taki podarunek dla mojej świętej matki. A potem znajdziemy moją zaczarowaną księżniczkę.

Joe ukrył twarz w dłoniach.

— O Boże — westchnął.

Coś ciepłego chwyciło go za kciuk. To Kiki starała się go rozweselić.

Rytmiczne uderzenia kopyt końskich o bruk odbijały się dalekim echem. Okna na chwilę ściemniały, kiedy karoca przejeżdżała przez murowaną bramę. Joe odsunął zasłonę, żeby mieć lepszy widok.

Wjechali na przystrojony chorągwiami dziedziniec znajdujący się w środku trzypiętrowego budynku. Ściany wewnętrzne iskrzyły się setkami wysadzanych diamentami framug okiennych. Słudzy w czerwonych i żółtych liberiach uwijali się wokół karocy, w czasie gdy inni, w bardziej prozaicznych strojach zajęci byli myciem, kuciem żelaza, stolarką i tym podobnymi czynnościami.

— Pałac Hamisch — oznajmił Delendor z satysfakcją.

Joe pokiwał głową. Prawdziwy pałac z bajki, a wyglądał bardziej realistycznie i... wygodnie, niż dziewiętnastowieczne obrazy przedstawiające, jak powinny wyglądać bajkowe zamki.

Prawdziwy pałac z bajki. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, pomyślał.

Karoca zatrzymała się przy bramie. Słudzy z entuzjazmem otworzyli drzwi, aby pomóc wysiąść księciu i jego towarzyszowi.

Joe zupełnie nie wiedział, jak się ma zachować. Pozwolił parze służących wziąć się za ręce, chociaż poczuł się w tym momencie tak, jakby nosił stanik i wizytową sukienkę.

Kiki skoczyła z prawego ramienia Delendora na jego lewe ramię, po czym zawróciła do swego pana. Joe zauważył, że każdy ze służących ukradkiem jedną ręką przytrzymuje nakrycie głowy.

Powóz ruszył. Po drugiej stronie dziedzińca znajdowała się stajnia.

— Wasza Wysokość — odezwał się około pięćdziesięcioletni mężczyzna, którego korpulencja i wiek wskazywały na to, iż jest zarządcą zamku — twój ojciec i bracia rozmawiają właśnie o sprawie... eee... smoka. Król Morhaven nalegał, aby przysłać cię do nich natychmiast, jak przyjedziesz...

— Czy moja siostra już tu jest? — przerwał mu De—lendor.

— Tak — odparł zarządca. — Księżniczka Estoril rozlokowała się w swoich starych komnatach w...

Kiedy karoca kołysząc się wjeżdżała do stajni, woźnica odwrócił się i uśmiechnął głupio do Joe'go. Był to smagły mężczyzna, może—Mongol, siedzący z Joe'm w przedziale w Atlancie.

— Hej! — wrzasnął Joe i zrobił wielkiego susa w kierunku stajni. Niestety, poślizgnął się na gładkim kamieniu i upadł na tyłek.

Powóz znikł w stajni.

Joe wstał i, zamiast próbować rzucić się w pogoń za woźnicą, wykorzystał niewątpliwe zainteresowanie, jakie natychmiast wzbudził dzięki swemu przedstawieniu, i zwrócił się do księcia:

— Książę! To znaczy... Wasza Wysokość, kto był naszym woźnicą?

Delendor zamrugał powiekami.

— A skądże ja miałbym to wiedzieć? Po prostu poprosiłem o podstawienie powozu z woźnicą, to wszystko.

Potakujące kiwnięcia głów służących przyświadczały, że słowa księcia są prawdą i to równie oczywistą jak to, że słońce wschodzi na wschodzie.

Czy tu też słońce wschodzi na wschodzie?

— No cóż, Clarkson — kontynuował książę, zwracając się ponownie do zarządcy. — Znajdź komnatę dla mojego przyjaciela w moim skrzydle pałacu. Idę natychmiast spotkać się z Estoril.

— Ach, Wasza Wysokość — odparł zarządca z uśmiechem przyklejonym do twarzy — twój ojciec nalegał, żebyś...

— Och, nie martw się o to, Clarkson! — rzucił Delendor przez ramię, wchodząc do pałacu. — Mój przyjaciel Joe jest wielkim magiem. On i ja zajmiemy się smokiem, bądź spokojny!

Clarkson jeszcze przez chwilę spoglądał na swego pana, po czym zmierzył wzrokiem Joe'go.

— Nie wątpię... — powiedział z odrobiną niedowierzania w głosie. — No cóż, jesteśmy już przyzwyczajeni do entuzjazmu naszego księcia, nieprawdaż?

Joe przytaknął, chociaż był prawie pewien, że na to pytanie Clarkson nie oczekiwał odpowiedzi.

Komnata Joe'go znajdowała się na trzecim piętrze i miała okno wychodzące na dziedziniec. Jedynymi stojącymi w nim meblami była rama łoża i cedrowa skrzynia. Komnatę rozświetlały dwa okna oraz znajdujący się w rogu, po przeciwnej stronie od ściany zewnętrznej, komin, którego wylot łączył się z kominem sąsiedniego pokoju.

Ognia nie rozpalono, choć w pokoju było zimno jak na Alasce.

Clarkson z pośępnym lekceważeniem przyglądał się, jak gosposia otwiera cedrowy kufer

kluczem przywiązany do paska. Wyjęła z niego puchową pościel i podała służkom niższego szczebla, które rozłożyły ją na łóżku. Nawet jeśli posłanie nie należało do zbyt kich, to z pewnością było ciepłe.

— Dlaczego nie rozpalono ognia? — spytał z zirytowanym głosem zarządca. — Powinien tu też być nocnik. Wiecie przecież, co się dzieje, jak nie ma nocnika. Drugi zresztą powinien stać po przeciwnej stronie pokoju!

— Nie wiem, gdzie się podziały — tłumaczyła się nieudolnie gospoia. — Zaraz dopilnuję, aby je tu przyniesiono, Sir.

— Eee... — zaczął Joe — eee... Clarkson? Czy mógłbyś mi załatwić jakieś cieplejsze rzeczy? Na przykład jakieś futro.

Zarządca spojrział z pogardą na Joe'go.

— To nie należy do moich obowiązków. Powinieneś chyba porozmawiać z szambelanem. Albo z księciem.

Tego było już za wiele.

Joe postawił neseser na podłodze i założył ręce na biodra.

— Ach tak? — rzekł, pozwalając, aby minione godziny przestrochu i frustracji doprowadziły jego głos do brzmienia dowodzącego prawdziwej furii. — Ach tak? Więc nic cię to nie obchodzi? Cóż, Clarkson, może obejdziesz cię to, jeśli przeżyjesz resztę wieczności jako gruba, zielona ropucha w pałacowym bagnie?

Służki i gospoia wybiegły z pokoju, popiskując ze strachu. Szczeka Clarksona opadła z prawie słyszalnym hukiem.

— Tak, oczywiście, mój lordzie — wymamrotał beładnie. — Tak, oczywiście. Zaraz się tym zajmę.

Zarządca potruchtął za drzwi, omijając Joe jak największym łukiem. Pokłonił się jeszcze, zamiatając rękami i szybko zamknął za sobą drzwi.

W ten sposób Joe został sam, co nie było dla niego zbyt miłe, tym bardziej, że czuł strach i nie było mu najlpiej w komnacie z kamiennymi ścianami.

Wyjrzał przez jedno z wysadzanych diamentami okien. Było dość czyste, ale po obu stronach szkła osadził się lód. Być może jedna z ledwo widocznych sylwetek w komnatach po drugiej stronie dziedzińca należała do może—Mongola, który mógłby sprowadzić Joe'go...

Drzwi do pokoju otworzyły się i zaraz trzasnęły za wątłą dziewczyną, ubraną w płową suknię. Szybko zasunęła za sobą zasuwę i uczyniła kilka kroków do przodu, w kierunku cedrowej skrzyni, zanim zorientowała się, że Joe odwrócił się od okna i patrzy na nią ze zdumieniem.

Joe pomyślał, że dziewczyna pewnie zaraz krzyknie, ale udało jej się powstrzymać, przyciskając obie dłonie do ust.

— Proszę, pomóż mi! Proszę, ukryj mnie! — prosiła płaczliwym głosem.

— Chodź do mnie! — rozległ się głos mężczyzny na korytarzu.

— Cip, cip, cip, cip! — darł się inny mężczyzna. W drzwi Joe'go załomotała czyjaś pięść.

— Lepiej nas nie zmuszaj, żebyśmy weszli po ciebie, kurczaczku — ostrzegął głos pierwszego z mężczyzn.

Świetnie.

— Dobrze — powiedział do niej szeptem. Dziewczyna była niska i cienka jak szyna kolejowa.

Mysie, brązowe włosy wylewające się spod czepka spadały jej na ramiona. Zrobiła krok w kierunku skrzyni.

Joe złapał ją za ramię.

— Nie tutaj — zdecydował, podnosząc trochę głos, gdyż walenie do drzwi stawało się coraz głośniejsze i bardziej uporcezywe. Odrzucił z łóżka kołdrę.

— Tutaj — wyjaśnił, wskazując na łóżko. Dziewczyna spojrzała na niego pełnymi nadziei i przerażenia oczyma, ale posłusznie położyła się w poprzek łóżka.

Joe narzucił na nią grubą puchową kołdrę. Nasten nie uchylił jedno z okien — nic już nie było w stanie obniżyć temperatury w tym pokoju — i otworzył zasuwę w momencie, gdy framuga drzwi zaczęła pochylać się do wnętrza pokoju pod uderzeniami czegoś cięższego niż dłonie.

Dwóch czarnobrodych mężczyzn zbudowanych jak napastnicy drużyny futbolowej wpadło do komnaty. Już od dłuższego czasu walili w drzwi rękojęściami swoich szabli.

Broń Delendora byłaby w tej sytuacji dość przydatna, chociaż miecze trzymane przez tych dwóch osiłków, w dłoniach mniejszych od nich osób należałoby raczej nazwać oburęcznymi.

Nawet nie spojrzeli na Joe'go.

— Gdzie jesteś, dziwko! — krzyknął jeden z nich.

— Tu cię mam! — wrzasnął drugi, spoglądając na cedrowy kufer, jedynie miejsce, gdzie w komnacie można się było schować.

Obaj natychmiast rzucili się do okładania kufra mieczami, lecz już po chwili okazało się, że kufer jest pusty.

Myśleli, że jest wewnątrz, domyślił się Joe. Już od kilku chwil stał w bezruchu, obserwując to, co się wkoło dzieje. Neseser, który miał ze sobą, postawił wcześniej na ziemi. I całe szczęście, gdyż bez wątpienia w tej chwili upuściłby go ze zdenerwowania.

— Widzieliśmy, jak tu weszła i pewnie udało jej się wyjść przez... — zaczął jeden. Wyjrzał przez otwartą okiennicę. Nie znalazł żadnej drabiny, a ściana gładko opadała aż do samego dziedzińca.

Obaj mężczyźni równocześnie spojrzeli na Joe'go. Miecze w ich rękach zwisały z naturalnością właściwą dłoniom księgowej wystukującej kolejne liczby na kalkulatorze.

— A ty, do jasnej cholery, kim jesteś, chłopaczku? — spytał ten, któremu jako pierwszemu udało się rozgruchotać cedrowy kufer.

W czymś na kształt ostatniej myśli Joe starał się przypomnieć sobie, czy wiadomo mu coś o statystyce prowadzonej przez linie lotnicze, a dotyczącej liczby pasażerów posiekanych na kawałki przez uzbrojonych w pałasze rzeźmieszków.

— To czarodziej, który ma pomóc waszemu królewskiemu bratu w pokonaniu smoka, Groag — doszedł ich z korytarza czyjś zimny głos.

W takim razie ten drugi bydlak nazywa się zapewne Glam. Trzeba przyznać, że nie są zbyt podobni do De—lendra.

Joe obrócił się. Bracia stali najwyraźniej poruszeni głosem z korytarza.

— Nazywam się Joe Johnson — powiedział, wyciągając rękę do powitania. — Miło mi panów poznać.

Klasyczne powitanie.

Do komnaty wszedł wysoki, siwy, przystojny mężczyzna. Miał na sobie czarne, aksamitne szaty, przypominające akademickie regalia, chociaż nieco cięższe i wydające się odpowiednim strojem w tym cholernym, zimnym budynku. Spojrzał na dłoń Joe'go, po czym dotknął jej niepewnie, najwyraźniej starając się odgadnąć, co też powinien uczynić z tak dziwaczną formą powitania.

— Nazywam się Ezekiel — rzekł. — Jestem...

— To my chyba już pójdziemy — wymamrotał Glam wymykając się z pokoju w sposób podobny do Clarksona. Groag poszedł w jego ślady. Joe zauważył, że bracia schowali miecze do pochew.

Po wyjściu olbrzymów, komnata powróciła do swych normalnych rozmiarów. Pozycja czarodzieja miała jednak pewne zalety...

— Ach, dziękuję — powiedział Joe. — Ja, uhhh, nie podobało mi się to, co chcieli zrobić.

— To nie są złe chłopaki — odparł Ezekiel chłodnym głosem, który prawdopodobnie—charakteryzował jego wypowiedzi. — Może trochę za bardzo narowiści nie mogłem jednak pozwolić, żebyś zamienił ich w... Co to miało być... żaby, tak? — uniósł pytająco brwi.

Joe wzruszył ramionami. Zanim przemówił, zanim zdecydował się, co ma powiedzieć, cały pochód służących wkroczył do pokoju niosąc futra, węgiel drzewny i drewno do rozpalenia w kominku. Przynieśli także nocnik.

— Prawdopodobnie masz ze sobą swój aparat? — kontynuował Ezekiel. — Nie chcesz chyba — na chwilę zawiesił głos — walczyć ze smokiem gołymi rękoma, prawda?

— Zastanawiałem się — Joe grał na zwłokę — czy mógłbyś powiedzieć mi coś o tym smoku.

Ezekiel zamrugał powiekami.

— Nie wiem, co chcesz wiedzieć — odparł. — Smok ma ponad trzydzieści metrów długości i jest odporny na ciosy poza jednym miejscem na ciele... którego nikt jeszcze nie odkrył.

Uśmiechnął się zimno.

— Kopie głębokie jamy w skałach i przesypia w nich dwadzieścia lat, co i tak jest niezłe. Niestety, w momencie, kiedy się budzi czyni takie szkody w królestwie, że całe następne pokolenie musi je naprawiać. Po jego ostatniej wizycie Glenheim ledwo podźwignął się na nogi... a tym razem stworzenie zdecydowało się przejść przez Hamisch. Ale to już prawdopodobnie wiesz od swego przyjaciela, księcia Delendora.

Słudzy opuszczali komnatę w takim samym pośpiechu, z jakim do niej weszli. Wynieśli kawałki cedrowej skrzyni, mamrocząc obietnice o natychmiastowym wstawieniu nowej.

Ogień w kominku miło płonął i może nawet rozgrzałby pokój, gdyby nie to, że okno nadal było otwarte. Joe zamknął je więc szybko.

— Delendor był zbyt przejęty przyjazdem siostry, żeby opowiedzieć mi coś więcej — rzucił jakby od niechcenia.

Twarz Ezekieła skrzywiła się z obrzydzenia. Od czasu, gdy wszedł do pokoju była to pierwsza oznaka jakichkolwiek uczuć.

— Uczucie księcia Delendora do jego siostry jest, że tak powiem, dość niezgodne z naturą — powiedział po chwili. — Królowi poradzono, aby księżniczkę odesłać i tak też uczynił.

Zamknął usta, hamując cisnące się najwyraźniej zbyt poufne dalsze wyjaśnienia.

— Życzę ci powodzenia w twoim trudnym zadaniu — patetycznie zakończył rozmowę. — Oczywiście, jest mi bardzo miło spotkać tak potężnego kolegę.

Wyszedł z komnaty, a Joe zamknął za nim drzwi i odetchnął z ulgą. No cóż, przynajmniej pozostał przy życiu, co jeszcze parę minut temu nie było tak oczywiste.

— Ach! — przypomniał coś sobie i rzucił się w stronę łóżka. — Możesz już wyjść.

Kołdra na łóżku była tak płaska, że przez chwilę zastanawiał się, czy dziewczyna przypadkiem nie ulotniła się w jakiś magiczny sposób... co nie odstawałoby zbyt w swojej niecodzienności od innych zdarzeń, które zaszły tego dnia, ale już na pewno nie poprawiłoby mu nastroju.

— Och, dzięki ci, panie — powiedziała dziewczyna, zrzucając kołdrę. Wyszła z łóżka i stanęła przed nim. Zauważył, że jej policzki oblał rumieniec.

Nie była to już właściwie dziewczyna. Z twarzy można by sądzić, że jest przed trzydziestką, parę lat młodsza od Joe. Jej wątpa kibić i w szczególności nieśmiałość i przestrasz sprawiały, że na pierwszy rzut oka wyglądała o wiele młodziej.

— Ja... — zająknęła się. — Chyba mogę już wyjść. Dziękuję...

— Do diabła, poczekaj no chwilę! — przerwał jej Joe. Wyciągnął rękę, aby zatrzymać dziewczynę, ale natychmiast ją cofnął, gdyż zauważył przerażenie malujące się w jej oczach.

— Słuchaj, chciałbym po prostu wiedzieć, jak masz na imię...

— Mary, panie — odparła grzecznie.

— Na miłość boską, mów mi Joe! — powiedział bez wahania, nieco chrapliwym głosem. Odchrząknął i widząc swoje nowe, futrzane okrycia ułożone w rogu pokoju sięgnął po jedno z nich, gdyż równie mocno zależało mu na jego ciepłe, jak też na zajęciu rąk choćby przez chwilę.

— Poza tym... aa — zaczął niepewnie — może mogłabyś opowiedzieć mi pokrótce, co tu się dzieje? To znaczy...

Nie chodziło mu wcale o Glama i Groaga, chociaż wyraz przestraszenia i niesmaku na twarzy Mary wskazywał, iż tak właśnie pomyślała.

Joe rozumiał dość dobrze zamiary braci. Byli typowymi osiłkami i żyli w świecie, który na takich jak oni nakładał jeszcze mniejsze ograniczenia, niż dom studencki.

— Nie, nie — zaprzeczył Joe, poklepując ją po chudym ramieniu. — Nie o to mi chodziło. Powiedz mi tylko, czy to, co Ezekiel mówił o smoku jest prawdą? A w ogóle to kim jest ten Ezekiel?

— Jak to, jest przecież królewskim czarnoksiężnikiem — odparła zdumiona Mary. — Posiada wielką moc, chociaż z pewnością nieporównywalną z twoją, Mistrzu Joe. Zamienienie kogoś w zabę zajęłoby Ezekielowi tygodnie, a poza tym nie ma nawet zielonego pojęcia, jak sobie poradzić

ze smokiem.

— O, kurczę — przeklął Joe. Z wyrazu oczu Ezekiela zrozumiał, że czarnoksiężnik rozważa rozpoczęcie wielotygodniowego projektu, po zakończeniu którego straci jednego rywala, a fosa zyska jeszcze jedną żabę.

— Pewnie cię nienawidzi, Mistrzu Joe — przerwała jego rozmyślania Mary, potwierdzając pesymistyczne przypuszczenia. — Oczywiście Ezekiel tak naprawdę to nikogo nie lubi, chociaż często pracuje dla Glama i Groaga.

Czy tu w ogóle jest jakaś fosa?

— Słuchaj, Mary — odezwał się wreszcie. — Czy Delendor jest jedynym facetem, który chce wykończyć smoka? Nie macie jakiejś armii, albo... no wiesz, czegoś w tym stylu?

Mary zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad brzmiącym nieznamo słowem „armia”.

— No cóż, wielu śmiałych rycerzy próbowało już wiele razy pokonać smoka. Czasami również zwykli ludzie, czy nawet wieśniacy atakowali bestię, ale zawsze bez jakiegokolwiek skutku. Więc teraz... cóż, Glam i Groag mówią, że szpiegują zwyczaje smoka, ale wątpię, czy komukolwiek tak naprawdę zależy na zabicu potwora.

Przez twarz kobiety przemknął wyraz ogromnego przygnębienia.

— Oprócz księcia Delendora — dodała po chwili — On zabiera się do tego poważnie. Och, Mistrzu Joe, ochronisz go, prawda?

Joe uśmiechnął się i ponownie poklepał ją po ramieniu.

— Zobaczymy, co się da zrobić.

Obietnica ta była jednak wszystkim, co w tej sytuacji mógł uczynić.

Joe czekał w swej komnacie. Najpierw wydawało mu się, że zaraz wróci do niego Delendor. Później czekał, bo nie wiedział, gdzie indziej mógłby pójść. Postrzelony księżę mógł właściwie przyjść w każdej chwili.

Joe miał ze sobą *Fasti* do czytania w podróży. Piękne mity Owidiusza oraz fałszywe etymologie miały mniej więcej tyle samo wspólnego z tym światem, co ze światem, z którego tak niespodziewanie wyparował Joe.

Po mniej więcej godzinie Joe zaczął pierwszego napotkanego w korytarzu sługę i poprosił go o krzesło. Po piętnastu minutach dostarczono mu twardy, niezbyt wygodny mebel. Człowiek, który go przyniósł ziajął ze zmęczenia, jakby musiał biec z nim z samej piwnicy.

Najwyraźniej dowcip z żabą dobrze się przyjął.

Tak czy inaczej, do momentu, gdy sługa poprosił go wieczorem na kolację, przez cały dzień nikt nie mącił spokoju Joe.

— Jesteś bardzo dzielna, Estoril, wracając do Hamisch, by udowodnić swoją solidarność z nami w czasie, gdy jest tu smok — powiedział Delendor. — Większość ludzi ucieka w przeciwnym kierunku.

Kiki siedziała na głowie księcia. Kiedy Delendor pochylił się, żeby popatrzeć na swoją siostrę siedzącą za dwoma wielkimi braćmi i królem Moravenem, wyglądał jak totem indiański.

Estoril miała czarne włosy, podobnie jak Glam i Groag, ale jej łagodne rysy były przynajmniej tak piękne, jak chłopięca przystojność Delendora.

— Niektórzy chronią się też w mieście — dodał ponuro król. — Niedługo będziemy mieli duże problemy sanitarne, szczególnie z powodu odchodów zwierząt.

— Nie wydaje mi się, żeby był to wielki problem, Wasza Wysokość — wtrącił Ezekiel, siedzący przy Estoril na przeciwległym krańcu stołu od Joe. — W czasie swojej ostatniej wizyty, bydłę zniszczyło ściany Glenheim w ciągu paru minut... i, jeśli pamiętam, szybko rozprawiło się z chroniącymi się tam zwierzętami.

— Cóż — przerwał im radośnie Delendor — tym razem nie ma się czego obawiać, bo zamierzam je wreszcie pokonać, zgadza się Joe?

— Prawdę mówiąc — odezwała się Estoril, rzucając Delendorowi tajemnicze spojrzenie, którego znaczenia Joe nie był w stanie odgadnąć — moja wizyta nie ma nic wspólnego ze

smokiem. Katya.. to znaczy stara służka Blumarine zmarła. W ostatnich słowach opowiedziała mi rzeczy, które... tak czy inaczej pomyślałam, że miło by było odwiedzić dom.

Ezekiel pociągnął łyk wina, które w tym lodowatym zamku służyło zapewne jako płyn przeciw zamarzaniu.

— Spotkałem kiedyś Katyę. To była mądra kobieta i posiadała moc. Znałeś ją, Joe? — czarnoksiężnik zwrócił się nagle do przybysza.

Joe o mało nie udławił się gotowaną marchewką.

— Uh-uh — zdołał wymamrotać, usiłując nie rozpryskiwać całej marchewki po komnacie. Posiłek składał się z pieczonego mięsa i gotowanych warzyw. Jedno i drugie byłoby do przyjęcia, gdyby zdjęto je z płomienia po godzinie dokładnego smażenia.

Estoril odwróciła się. Joe nie mógł widzieć jej twarzy, ale głos, kiedy się odezwała brzmiał bardzo stanowczo.

— Katya powiedziała, że Blumarine była wielką Wróżką. Czy to prawda, Ezekielu?

— Moja matka? — spytał zdziwiony Delendor.

— Z tego co wiem, moja droga księżniczko — odparł Ezekiel ważąc każde słowo — twoja przybrana matka była najwyższą uczennicą wiedzy tajemnej. Jeśli nawet wykorzystywała ją kiedykolwiek, to były to zupełnie błahe dokonania. W każdym razie...

Mag na chwilę przerwał, żeby z widoczną satysfakcją dopić wino.

— Tak czy inaczej, najwyraźniej nie była w stanie ocalić młodego rycerza, którego tak romantycznie kochała, przed śmiercią i pożarciem przez smoka.

Rozmowa przy stole nagle zamarła.

— Wydaje mi się — konkludował Ezekiel — że na imię mu było Delendor, tak jak naszemu księciu, nieprawdaż, księżniczko?

Król Morhaven ukrył twarz w pucharze wina. Glam i Groag chichotali w sposób przypominający bąblujące błoto.

Cały kłopot z zażenowaniem dotyczy tego, że dotyka ono jedynie ludzi przyzwoitych, a przynajmniej częściowo przyzwoitych.

— Zastanawiam się, czy ktoś z was mógłby mi opowiedzieć — odezwał się głośno Joe, chcąc zmienić temat — jakiego rodzaju strzelb tu używacie?

— Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

— Strzelb? — powtórzył król.

Joe zaczynał mieć wątpliwości, czy oni też mówią po angielsku. Do tej pory jednak nie mieli z tym większego problemu.

— No wiecie, chodzi mi o te przyrządy, które strzelają kulami — wyjaśnił Joe.

Tym razem Delendor bawił się w przedrzeźnianie.

— Kulami?

Ezekiel uśmiechnął się szyderczo.

Chyba trzeba będzie jednak wrócić do słów jednosylabowych. Joe miał w tym wprawę, rozmawiał przecież ostatnio z senatorem...

— Czego używacie do strzelania na odległość?

— Odległość?

No tak, „odległość” miała przecież trzy sylaby. Co za gafa!

— Chodzi mu o kuszę — rzekł Morhaven i zwrócił się do służącego: — Słuchaj no, przynieś mistrzowi Joe kuszę.

— Można też rzucać kamieniami — zauważył radośnie Delendor. — Spotkałem kiedyś wieśniaka, który robił to bardzo celnie. Bez trudności trafiał wiewiórki na drzewach.

— Z tego co wiem — rzekł Joe — wątpię, aby rzucanie kamyków w smoka przyniosło jakiś efekt, oprócz rozzłoszczenia go.

— Co?! — wydarł się Groag na Delendora. — Będziesz rzucał kamieniami w smoka, zamiast z mieczem stawić mu czoło?

Służący powrócił niosąc ogromną kuszę, ważącą co najmniej dziesięć kilogramów.

Oznaczało to, być może, że Joemu uda się jednak znaleźć jakiś sposób unieszkodliwienia smoka.

— To niegodne! — dodał Glam, przyjmując ton głosu brata. — Nawet takiego kurdupla jak ty!

— Zaraz, zaraz... — wtrącił się Joe, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

— Nic takiego nie powiedziałem! — zaprzeczył Delendor. — Jego głos podniósł się co najmniej o oktawę. — Jak śmiecie sugerować, że mógłbym tak postąpić?

Joe strzelił palcami i krzyknął.

— Chwilunia!

W komnacie zapadła cisza. Słudzy z przerażenia rozplaszczyli się na ścianach. Bracia Delendora pochyliłi się do przodu, przyjmując postawę do wykonania susa pod stół, aby uniknąć zmiany swej postaci na żabią.

— No — rzekł Joe normalnym już głosem. — Problem nie polega w zachowaniu honoru, ale w zabiciu smoka. Nieważne jakim sposobem. Czy jest to jasne dla wszystkich?

Morhaven i jego trzej synowie otworzyli usta chcąc zaprotestować. Zanim jednak przemówili, Estoril odpowiedziała za wszystkich.

— Tak, jasne.

Spojrzała wokół stołu. Jej oczy płonęły kolorem rozświetlonego słońcem lodowca. Mężczyźni zamknęli usta.

— No — powtórzył Joe. — Wiem, że macie węgiel drzewny. Macie też siarkę?

Odpowiednie proporcje wynosiły siedemdziesiąt pięć do piętnastu do dziesięciu. Za żadne skarby jednak Joe nie mógł sobie przypomnieć, czy piętnaście odnosiło się do węgla czy siarki.

Wszyscy spojrzeli teraz na Ezekieła. Ten zmarszczył brwi i odparł:

— Tak, mam siarkę w moim laboratorium. Nie wiem jednak...

— Poczekaj — przerwał mu Joe, gdyż dopiero teraz nadchodził najważniejszy moment. Wóz albo przewóz. Przełknął ślinę. — A macie azotan potasu? Saletrę? Jeśli dobrze pamiętam, robi się ją z...

Joemu wydawało się, że otrzymuje się ją z nawozu, ale jeśli autochtoni nie potrafili jej oczyścić, to on na pewno nie będzie tego robić. Poza tym, nie był przecież chemikiem, po prostu w młodości lubił zakazane zabawy.

— Tak... — powiedział przeciągle Ezekiel. — Mam zapas saletry.

— W takim razie, na miłość boską, pomogę wam zatłuc smoka! — wykrzyknął Joe tryumfalnie. — Żaden problem!

Rzeczywistość kazała mu jednak nieco ochłonąć.

— Ach... — dodał — to znaczy, oczywiście, jeśli mistrz Ezekiel mi pomoże, dostarczając materiałów i hmm... sprzętu do pracy?

— A wtedy ja pokonam... — wtrącił się Delendor.

— Ojcie — przerwała mu Estoril, zwracając się do króla. — Delendor jest przecież jeszcze zbyt młody. Może Glam albo...

— Co?! — Glam i Groag zagrzmili chórem jak na rozkaz.

— Co?! — kwiknął Delendor, gwałtownie zrywając się na nogi. Kiki zeskoczyła z głowy księcia i wywinęła koziołka w powietrzu. — Żądam prawa, do udowodnienia mojej...

— Ciszal — zagrzmiał teraz król Morhaven. Wstał z krzesła i Joe po raz pierwszy miał okazję przekonać się, że to właśnie ten przygarbiony, podstarzały mężczyzna jest monarchą.

Wyciągając palec król wskazał na Delendora. Młodzieniec opadł na krzesło.

Król Morhaven przeniósł wzrok skupiając się teraz na Joe.

— Ty — rzekł — przygotujesz swe czary. — Odwrócił się. — A ty, Ezekielu, pomożesz swemu koledze we wszystkim.

Czarownik, prawdziwy czarownik, kiwnął głową bez specjalnego zadowolenia.

— Słucham i jestem posłuszny, Wasza Wysokość — potwierdził.

Morhaven jeszcze raz obrócił się majestatycznie.

— Delendorze, twoja siostra ma rację mówiąc, że jesteś jeszcze zbyt młody, ale nawet najbardziej zatwardziali rycerze przegrywali już z tą bestią. Masz moja zgodę na spróbowanie swych sił.

Twarz króla wyglądała mizernie, ale w jego głosie wyczuwało się potęgę władzy.

— A jeśli uda ci się ocalić królestwo, mój synu otrzymasz jedyną godną nagrodę.

Joe zamrugał powiekami. Jeśli dobrze zrozumiał (a raczej trudno było nie zrozumieć tego, co powiedział Morhaven), król zaoferował najmłodszemu synowi królestwo w zamian za pokonanie smoka.

Nic więc dziwnego, że wszyscy gapili się na niego z niedowierzaniem, podczas gdy monarcha siadał z powrotem przy stole.

W tym samym momencie rozległo się tąpnięcie i królewski zadek wylądował na krześle kilkanaście centymetrów niżej, niż tego oczekiwał. Przestraszony król otworzył szeroko oczy.

Szczebiotająca z zadowoleniem Kiki uciekała do drzwi, ciągnąc za sobą grubą poduszkę, którą ściągnęła z tronu w chwili, gdy król właśnie skończył mówić i zdecydował się usiąść.

Joe, opatulony w długą do kostek flanelową koszulę nocną (w domu spał wprawdzie nago, ale nie w kamiennym termosie do lodu) właśnie zaczynał przygotowania do wtargnięcia do łóżka, gdy usłyszał ciche stukanie do drzwi.

Natychmiast się wyprostował. Kominiek był już tylko wspomnieniem pomarańczowego blasku, ale jarzył się jeszcze na tyle, że Joe odnalazł drogę do drzwi.

— Tak? — szepnął, stając przy kamiennej framudze, gdyż dobrze pamiętał o sposobie pokonywania drewnianych przeszkód przez Glama i Groaga.

— Proszę otworzyć, Sir — usłyszał cienki głosik, który, jak mu się wydawało, rozpoznał.

Otworzył drzwi. Mary, jak chudy duch wślizgnęła się do komnaty i szybko zamknęła za sobą drzwi.

— Proszę, panie, czy mógłbyś ukryć mnie jeszcze na kilka nocy? Byłabym bardzo wdzięczna.

— Co? Mary, na miłość boską, chciałbym ci pomóc, ale tu przecież nie ma...

Kiedy to mówił uderzyła go olśniewająca myśl. Nie! Mary jest wielkości ośmioletniej dziewczynki, jest równie bezbronna jak ośmioletnia dziewczynka i sama myśl...

O kurczę!

— Och, mistrzu Joe, będę spać u podnóża twojego łóża — wyjaśniła Mary. — Obiecuję, że nawet mnie nie zauważysz. Tak bardzo się boję.

Joe zdał sobie sprawę, że jeśli smok był choćby w połowie tak straszny jak Glam i Groag, to już od dawna miejsce to wymagało interwencji prochu strzelniczego.

Tak czy inaczej, nie miał wiele czasu na rozważanie sytuacji, chyba że wołał, aby obydwójce zamazli.

— Dobra — rzekł wreszcie. — No...

Ale dziewczyna... kobieta wskoczyła już pod kołdrę, układając się na łóżku w pozycji podobnej do już zajmowanej tego popołudnia. Joe układając się do snu musiał uważać, aby przez cały czas trzymać nogi ugięte w kolanach.

— Mary? — odezwał się po chwili, gdy już znalazł się w pościeli.

— Tak, panie?

— Czy król Morhaven, zgodnie z waszą... aaa... konstytucją, może uczynić Delendora swoim następcą?

— O tak! — odpowiedziała przytłumionym nieco głosem. — Czyż to nie byłoby wspaniałe? Ale dopiero, gdy Delendor udowodni, jakim jest męznym rycerzem. Och, mistrzu Joe, jesteś podarunkiem niebios dla Hamisch!

— Coś w tym rodzaju — wymamrotał Joe. Teraz kiedy pomyślał o prochu, wszystko wydawało się łatwiejsze.

Arnault, królewski zbrojmistrz, ubrany w skórzany fartuch, był krzepkim, osmalonym sadzą mężczyzną. Jego przedramiona były wielkości ud Joego. Bąble powstałe na skutek skaczących iskier nadawały im straszny wygląd.

— Taaa, mistrzu? — huczał głosem sugerującym, iż jest szczęśliwy w swojej kuźni i nie lubi być wzywany do laboratorium czarownika.

Joe zresztą również nie był zachwycony wyglądem laboratorium. Wykorzystywał w tym celu letnią kuchnię pałacową, zbudowaną w rogu dziedzińca i otwartą ze wszystkich stron, w celu przewiewania gorąca wydobywającego się z pieców i grilli, podczas upalnego dnia.

Tego dnia jednak temperatura była na tyle niska, że Joe musiał założyć futrzane rękawice, aby mosiężny moździerz oraz tłuczek nie przymarzły mu do dłoni. Z drugiej jednak strony, przynajmniej oświetlenie było dobre. Poza tym miał mnóstwo miejsca do pracy... A jeśli coś mu się nie udało... No cóż, dzięki brakowi ścian zawsze mógł uciekać w dowolnym kierunku.

— Słuchaj — rzekł Joe do zbrojmistrza — chcę, abyś wykuł mi stalową rurę, długości jakiegoś metra, o średnicy około... — Kaliber czterdzieści pięć? Nie, to chyba przesada. Joe chrząknął. — ...o centymetrowej średnicy. Zresztą nie musi być dokładnie centymetr. Ważne, żeby średnica była taka sama na całej długości rury.

— Czego?

— Ach, i lepiej, żeby ściany rury były dość grube — dodał Joe z szerokim uśmiechem, myśląc, że wyraz pewności siebie pozbawi zbrojmistrza jakichkolwiek wątpliwości, co do jego władz umysłowych. — Może spróbuj wykorzystać ośkę od karocy, co?

Mam nadzieję, że nie trzeba tego będzie targać zbyt daleko.

— Co? — powtórzył zbrojmistrz.

— Wydawało mi się, że chciałeś, żeby rura była stalowa, Joe — rzekła Estoril. — A może jest to jeden z paradoksów twego rzemiosła?

Dookoła stała co najmniej setka gapiów, w większości służących. Tłoczyli się pod nieistniejącymi ścianami letniej kuchni, żeby obejrzeć magiczne przygotowania. Już tysiące razy kazał im się odsunąć, ale dawało to tylko tyle, że robili parę kroków do tyłu... po czym znów się przybliżali gdy tylko Joe pochylił się nad swoim sprzętem.

Oczywiście, Joe mógł zażądać osobnej komnaty i zamknąć się w niej do momentu, gdy zakończy przygotowania... albo wysadzi się w powietrze. Nie wydawało się to jednak być dobrym pomysłem.

Joe nie starał się nawet przekonać członków królewskiej rodziny, że powinni zostawić go w spokoju. Gdyby musiał to uczynić, trzymałby po prostu w swoim futrze kilka żab i wypuszczał je w strategicznych momentach.

Otoczający go widzowie nie byli jednak wielkim problemem.

— Dobra — odparł Joe z wyrazem zamyślenia na twarzy. — Jakiej wielkości są osie od karety?

— Noo... — odpowiedział zbrojmistrz polykając fragmenty niektórych wyrazów, inne zaś przekręcając — dzieś taki... — pokazał rękami średnicę około dziesięciu centymetrów.

— Ale są drewniane! — zauważył Delendor. — Nieprawdaż? — spytał zwracając się do innych gapiów.

Ezekiel pokiwał głową w milczeniu. Joe'mu wydawało się, że widział jak usta magika wyginały się w coś na kształt uśmiechu.

— Dobra — zgodził się Joe. — Drewno. Przełknął ślinę.

— No cóż, trzeba będzie po prostu znaleźć okrągłą stalową pałkę, mniej więcej takiej średnicy — tu palcami pokazał odległość pięciu centymetrów — i długą na metr. Następnie...

— Niii — przerwał mu zbrojmistrz.

— Nie? — przetłumaczył na głos Joe. Tym razem nie zdołał się już powstrzymać. — A czemuż to, do jasnej cholery, nie?

— Skund mym wziąć tyła stal, cu? — spytał zbrojmistrz. — Moży mom uciuń ustrze każdygo micza w królestwi, cu?

Twarz olbrzyma nabiegła krwią i wściekłością. Joe—mu zupełnie nie podobał się sposób, w jaki zacierał on nerwowo ręce. Zbrojmistrz nie musiałby nawet nikogo dusić. Wystarczyło, żeby złapał ofiarę za głowę i szybko ją obrócił, tak jak myśliwy dobijający ranionego bażanta...

— A jak już dostarczysz Arnaultowi wystarczającą ilość stali, mistrzu Joe — dorzucił z sarkazmem Ezekiel odrywając, dzięki Bogu, łąkający krwi wzrok Arnaulta od bezbronnego Joe — będziesz musiał pokazać mu magiczną sztukę wiercenia w niej dziur.

Zbrojmistrz nie raczył nawet skinąć głową.

— Dobra — odparł Joe, jakby słowo to było dla niego katechizmem. Na jego duszę opadła czarna mgła.

Joe nie wiedział nic o kuciu metalu. Gdyby nawet znał jakieś podstawy metalurgii, to i tak nie

wiedziałyby, jak zaadaptować nowoczesne techniki do umiejętności Arnaulta. A jego umiejętności najwyraźniej kończyły się na wykuwaniu podków z metalowych prętów.

— Może Arnault mógłby połączyć parę prętów żelaznych w rurę? — zaproponowała Estoril. — Długości metra, tak?

— Taa, poni — zgodził się zbrojmistrz, kiwając głową.

— Nie! — odrzucił ten pomysł Joe. Już widział te wszystkie cienkie miejsca i dziury, które powstałyby w takiej konstrukcji. To nie byłaby strzelba. To by była bomba!

Jednak jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Gapie patrzyli się na niego z zapiętym tchem. Tylko bracia Delendora i Arnault spoglądali spode łba.

— Estoril, jesteś genialna! Słuchajcie, jak szybko porusza się ten wasz smok?

— Tak, nie tylko piękna, ale i mądra, jak niewielu mężczyzn — rzekł Delendor zwracając się do księżniczki. — Ja...

— Del! — przywołała go do porządku Estoril, spoglądając groźnym wzrokiem, a następnie odwracając się, jakby dla podkreślenia, że nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka.

— Najczęściej dość wolno — odpowiedział Ezekiel. Joe zauważył już, że czarnoksiężnik stara się dobrze wywiązać z zadania powierzonego mu przez króla Morhavena. — Poza tym, dość długo śpi.

Tu znowu się uśmiechnął... Nie trzeba było znać Ezekiel, żeby odgadnąć, przekazanie jakich informacji sprawi mu największą przyjemność.

— Jednakże, kiedy bestia zaczyna uciekać — kontynuował Ezekiel — przegania galopującego konia... czego w przeszłości doświadczył Sir Delendor z Glenheim.

Joe popatrzył na Ezekiel. Ty stary skurczybyku, Pomyślał.

Bał się Ezekiel, podobnie jak kiedyś przestraszył się Pajaka, któremu przyglądał się z bliska. Mag pod żadnym względem nie wydawał się należeć do społeczności ludzkiej, mimo niewątpliwie ludzkiego rozumu i wiedzy.

— Dobra — odparł Joe, jakby nadał myślał, że rozmawia z istotą ludzką. — Czy smok podszedłby do wielkiego, metalowego kotła — czy oni tu mają metalowe kotły? — gdyby do kotła ciągnął się płonący lont?

— Smok przechodzi przez ściany ognia — wyjaśnił Delendor. — Wątpię, żeby udało nam się go spalić, Joe.

Wyglądało na to, że księżę zaczyna powątpiewać. Powątpiewać w wybór czarnoksiężnika.

— Nie mam zamiaru go palić — odparł Joe z nagłym przyływem pewności siebie. — Wysadzimy bydlę w powietrze i już!

Jego entuzjazm, entuzjazm obcego czarnoksiężnika wzbudziły w tłumie zadowolenie i uwielbienie. Jedynymi osobami nie wykazującymi objawów zadowolenia byli, oczywiście, bracia Delendora i Ezekiel.

— W takim razie musimy teraz przeprowadzić eksperyment — zdecydował Joe. — Z czego robicie tutaj rurociągi?

— Rurociągi? — spytał Arnault.

— No wiesz, rury z wodą — wyjaśnił Joe.

— Rury z wodą? — zdziwił się Delendor. — Przecież mamy studnie. Czy w twoim kraju nie ma studni, Joe?

— Ja mam jedną rurę ołowianą, pozostałość po klepsydrze — wtrącił Ezekiel.

Podniósł do góry palec wskazujący.

— Z zewnątrz jest taka, a od wewnątrz taka — dodał, pokazując tym razem mały palec.

— Idealna! — wykrzyknął Joe, zastanawiając się, jak mogła wyglądać ta klepsydra. — Świetnie! Przynies mi piętnastocentymetrowy kawałek. To wystarczy. Ja zajmę się wyprodukowaniem czegoś, czym ją wypełnimy. O kurczę, to bydlę dostanie od nas ładną niespodziankę!

Ezekiel nie ruszył się z miejsca, ale Joe miał poważniejsze problemy na głowie, niż egzekwowanie natychmiastowego posłuszeństwa. Prawdę mówiąc, jego eksperymenty z prochem, jak dotąd, nigdy nie kończyły się powodzeniem.

Joe sporządzał proch jeszcze w podstawówce, ale nigdy nie trzymał się ściśle receptury, z powodu wysokiego kosztu jej składników. Tym razem jednak proch musiał być przygotowany idealnie, koszty natomiast nie grały roli.

Węgiel drzewny był łatwo osiągalny wtedy i teraz. Jako dziecko rozbijał brykiety węgla, wykorzystując do tego celu młotek i rondel podwieszony z kuchni.

Teraz Ezekiel dostarczył mu moździerz i tłuczek, obydwie z mosiądzu, których brzegi wykonane były w sposób umożliwiający mielenie różnych substancji. Kawałki naturalnego węgla drzewnego (które niepokojąco przypominały kawałki spalonego drewna) zostały więc starte na proch.

Joe wsypał czarny pył do jednego z pojemników ofiarowanych mu przez Ezekiela. Nie przejmował się dokładnym oczyszczaniem moździerza, ponieważ i tak musiał przecież wymieszać wszystkie składniki.

Kryształki siarki również z łatwością rozpadły się w pył, jak również kawałki wyschniętego błota. Joe przypomniał sobie „produkcję” prochu w okresie chłopięcym. Siarkę łatwo było dostać w sklepie perfumeryjnym. Jedyną komplikacją stanowiło to, że należało unikać kupowania siarki i saletry w jednym sklepie. Największym problemem była saletra. Była droga, a powinna przecież stanowić siedemdziesiąt pięć procent ilości prochu. Dlatego też Joe z przyjaciółmi zmienił recepturę. Żaden problem. Nie musieli przecież być tak bardzo dokładni. Nie zamierzali zestrzelić opancerzonego po zęby rycerza z konia ani wysadzać w powietrze smoka. Przygotowywali jedynie efektowne sztuczne ognie. Zmieszanie składników w równych częściach dawało o wiele więcej hałasu i iskrzenia, niż „prawidłowa” receptura.

Joe wrócił do rzeczywistości. Po sproszkowaniu i wsypaniu siarki do kolejnego słoika, mógł zająć się saletrą.

Zapas Ezekiela wynosił około kilku kilogramów. Nie wiedział dokładnie, jak dużo prochu będzie potrzebował do wysadzenia w powietrze smoka. Uważał jednak, że ta ilość będzie wystarczająca.

Kryształki saletry były brudnożółte jak zęby Glama i Groaga. Pękały pod tłuczkiem, wydając przy tym ciche piski niepodobne do chrzczenia węgla.

Gapie zaczęli się nudzić. Kiki zabrała komuś kapelusz i w tej chwili to ona, a nie Joe była w centrum zainteresowania. Słudzy okrążyli małpkę i starali się ją złapać, ale ona skakała wokoło, nic sobie nie robiąc z ich wysiłków.

Ci spośród widzów, którzy nie oglądali małpki zaczęli prowadzić między sobą różnego rodzaju dyskusje. Delendor i jego siostra mruczeły coś o dawnych czasach, a Glam i Groag dyskutowali o niebezpieczeństwach związanych z polowaniem na jelenie.

Joe czuł się jak na gościnnym występie w cyrku. Martwiło go jednak najbardziej to, że przypadł mu w udziale dość nudny punkt programu. Miał wrażenie, że jest żonglerem, którego wszyscy ignorują, oklaskując pogromcę lwów i akrobatów na sąsiednich arenach.

Kiedy zmieszał pierwszą próbkę prochu — trzy miarki saletry i po pół miarki węgla drzewnego i siarki (ponieważ nadal za żadne skarby nie mógł przypomnieć sobie, które z nich miało stanowić dziesięć, a które piętnaście procent) — poczuł, że oczy Ezekiela skupiają się na jego plecach. Wzrok maga był srogi i przeszywający mrozem jak pojemnik z suchym lodem.

Nie była to jedyna osoba, która spoglądała na niego z wielkim zainteresowaniem. Joe podniósł głowę, aby rozprostować nieco ramiona. W pokoju na trzecim piętrze po drugiej stronie dziedzińca wszystkiemu przyglądała się biała twarzyczka, znajdująca się w bezpiecznej odległości od Glama i Groaga.

Rysy twarzy Mary były z tej odległości nie do rozpoznania, ale Joe był pewien, że dziewczyna bardzo się przejmuje.

Wrócił do mieszania składników. Poczul się o wiele lepiej wiedząc, że Mary patrzy na niego.

— W porządku, Ezekielu — powiedział głośno chcąc ponownie zwrócić na siebie uwagę wszystkich zebranych. — Teraz potrzebna mi będzie ta rurka.

Ezekiel uśmiechnął się i wyciągnął rękę z ołowianą rurką.

Joe czuł, że Ezekiel nie spuszczał go z oka ani na moment. Być może cały czas ukrywał rurkę w rękawie, ale w takim razie rodziło się pytanie, skąd wiedział, czego Joe będzie potrzebował.

Powązanie, jakim otoczeni byli w tej kulturze magowie było bardzo miłe. Poznanie prawdziwego czarnoksiężnika było natomiast jak poznanie prawdziwego mafiozo...

— Dobra — rzekł Joe, gapiąc się na rurkę i zastanawiając, jak potoczy się dalej jego życie w tym świecie. No, chyba że uda mu się znaleźć Przewoźnika Ludzi podróżującego w przeciwnym kierunku, oczywiście.

O tym będzie miał czas pomyśleć później. Teraz musiał zamknąć jeden koniec rurki i napełnić ją prochem. Mógł użyć tłuczka Ezekiela do przyklepania miękkiego metalu, ale przecież sprzęt laboratoryjny miał zupełnie inne przeznaczenie.

Poza tym właściciel tłuczka przyglądał się wszystkim wykonywanym przez niego czynnościom z wielką uwagą—

— Arnault — zwrócił się Joe do zbrojmistra — muszę zamknąć jeden koniec tej rurki. Masz młotek?

— Tyj rurki...? — powtórzył Arnault, wyciągając rękę po kawałek metalu. Zmarszczył brwi, a powstałe wskutek tego zmarszczki sprawiły, że jego twarz miała teraz prawie dokładnie taki sam wygląd jak powierzchnia wygniecionego fartucha. Wziął rurkę między kciuk i palec wskazujący prawej ręki i kiedy ją ścisnął, metal spłaszczył się jak między młotem a kowadłem.

Joe zamrugał powiekami. Arnault zwrócił mu rurkę. Spłaszczony koniec był jeszcze ciepły.

Arnault nie odezwał się, ale dumny uśmiech przeleciał przez jego wielką twarz.

— Hmm... dziękuję — rzucił Joe.

Spojrzał na rurkę, na szklany lejek i na mosiężny pojemnik z przygotowanym już prochem. Zimno i szok jaki przeszedł w ciągu ostatnich godzin spowodowały, że jego mózg działał wolniej. Aż kilka sekund musiał się zastanawiać, zanim się zorientował, że potrzebna mu będzie jeszcze jedna ręka. Spojrzał na tłum.

Ezekiel przyzwyczajony był już do tego rodzaju eksperymentów, Delendor natomiast był najwyraźniej pewien, że jego życie i kariera zależą od tego przedsięwzięcia...

Z jakiegoś nieznanego powodu Joe nie ufał ani jednemu, ani drugiemu.

— Estoril? — zwrócił się do dziewczyny. — Księżniczko? Czy zechciałabyś przytrzymać tę rurkę w pozycji pionowej, kiedy będę do niej sypać proch?

Oczy Joe'go mimowolnie spojrzały na okno po drugiej stronie dziedzińca, zanim spoczęły z powrotem na księżniczce. Nie, to głupi pomysł, nawet w mojej obecnej sytuacji, pomyślał.

Estoril ujęła rurkę bez odrobiny wahania. Nóżka lejka bez trudu weszła do środka metalowej rurki.

Mosiężny pojemnik na proch był śliski, ciężki i szokująco zimny. Joe potrząsnął nim tak delikatnie, jak tylko potrafił i struzka ciemnożółtego pyłu po przeleceniu przez lejek opadła do rurki.

No cóż, proch z pewnością nie był czarny. Może powinien jednak użyć więcej węgla?

Unoszące się drobiny siarki nadały powietrzu swoisty zapach. Ten zapach przypomniał Joemu poprzedni przystanek pojazdu, kierowanego przez Przewoźnika Ludzi.

Rurka została wypełniona prawie po brzegi i Joe zabrał ją Estoril.

— Arnault — rzekł, podając bombę zbrojistrzowi. — Chciałbym, żebyś teraz na drugim końcu zwęził wylot do małej dziurki. Możesz to dla mnie zrobić?

Arnault spojrzał na podany mu przedmiot. W jego dłoniach wyglądał on naprawdę mikroskopijnie.

— Pewni — odrzekł. — Bedzi jak włos.

— No, może nie aż tak małej. Mniej więcej wielkości słomki.

Zresztą, jeśli kobiety zadające się z Arnauitem były podobnych do niego rozmiarów, to może i ich włos miał średnicę słomki.

Niezależnie od tego, że ołów nie należy do zbyt twardych metali, obserwowanie wyginanej przez Arnaulta kciukiem i palcem wskazującym rurki było czymś fascynującym. Kiedy wreszcie zakończył swoje dzieło, Joe nie był w stanie wyobrazić sobie maszyny, która w jego rodzimym świecie mogłaby wykonać pracę z równą precyzją.

Nie pozostało już nic, jak tylko kończyć doświadczenie.

Joe planował wyniesienie bomby poza ściany pałacu, ale teraz wpadł na lepszy pomysł. Trzy piece letniej kuchni wyglądały dosyć masywnie, a bombka przecież była dość słaba...

Przygotował wszystko z tyłu centralnego pieca.

— Teraz niech wszyscy się odsuną — powiedział rozkazującym tonem Joe, ale nikt się nie ruszył... oprócz Delendora i jego braci, którzy podeszli do „czarnoksiężnika”, żeby zza jego pleców obserwować widowisko.

Ezekiel uśmiechnął się od ucha do ucha.

Joe wepchnął kciuki do uszu i zamachał palcami.

— Cofnąć się! — krzyknął.

Cztery łapki Kiki uczepliły się głowy Delendora, zakrywając całkowicie twarz młodzieńca. Glam i Groag rzucili się w tłum jak słonie, rozdając ciosy na prawo i lewo oraz świetnie oczyszczając pole przed piecem.

— Dobra — rzucił Joe ciężko dysząc. — Teraz tak trzymać, a ja zapalę lont.

Z tego co pamiętał, należało przygotować lont namaczając go w roztworze prochu, a następnie go osuszając, czy coś w tym rodzaju. Teraz jednak postanowił z prochu usypać ścieżkę.

Nasypał go trochę u podstawy bomby, a następnie usypał ścieżkę prowadzącą do wlotu pieca. Mimo że nie zależało mu specjalnie na estetyce, zastanawiał się dlaczego jego czarny proch był brudnożółty.

— A teraz... — powiedział unosząc rękę. Ale gafa!

Joe zamknął pojemnik z prochem i postawił go ostrożnie na ziemi obok pieców. Potrzebował jeszcze źródła ognia. Tłum z zaciekawieniem przyglądał się jego poczynaniom.

— Teraz — powtórzył Joe — zamierzam zapalić lont i...

I ani on, ani nikt z obecnych nie mieli przy sobie zapaltek.

— Hmm... — rzekł zmieniając znowu tor swoich myśli. — Czy ktoś mógłby przynieść mi świeczkę, albo coś w tym rodzaju? No, wiecie, muszę zapalić lont.

— Chcesz go zapalić t e r a z ? — spytał Ezekiel.

Joe kiwnął potakująco głową. Nie rozumiał, dlaczego nie miałby teraz tego zrobić.

— No, tak. Czy uważasz, że z jakiegoś powodu byłoby lepiej...

Ezekiel strzelił palcami. Coś, co wyglądało jak mały... nie, to musiała być iskierka, wyskoczyło z jego wskazującego palca. Iskierka przeskoczyła na koniec usypanej z prochu ścieżki.

— Odsunąć się! — krzyknął Joe machając ramionami i samemu się odsuwając. — Wszyscy macie się odsunąć!

Ezekiel uśmiechał się do niego z zimną satysfakcją.

Iskry i płomienie skaczące z płonącego prochu odbijały się echem we wnętrzu pieca. Duszący biały dym buchnął z drzwiczek i zawisł w powietrzu jak masa bawełny, nieprzezroczysty i złowrogi.

Joe przyłożył ręce do uszu i otworzył usta, żeby przy wybuchu ciśnienie w uszach mogło się wyróżnić. Zapomniał ostrzec tubylców, że wybuch...

Coś strzeliło. Strumień pomarańczowoczerwonych iskier buchnął przez otwarte drzwiczki pieca. Joe usłyszał huk dochodzący ze środka, potem świst i niedoszła bomba wyleciała pionowo do góry przez komin pieca. Wznosiła się do nieba pozostawiając za sobą strumień białego dymu i deszcz roztopionego ołowiu.

Tłum ludzi rozproszył się, krzycząc z przerażenia. Delendor porwał w ramiona siostrę i pobiegł w kierunku najbliższych drzwi. Nawet Ezekiel uciekł, choć starał się uczynić to z większą rozwagą, niż inni: schował się po prostu w jednym z pozostałych pieców.

„Rakieta” zaczęła skręcać, ponieważ ściana ołowianej rurki topiła się nierówno. Jedyńymi, którzy obserwowali jeszcze lot byli Joe, przyglądający się temu z konsternacją oraz Arnault, który poprzez gęstwinę opadających mu na oczy włosów z wyrazem zachwyty na twarzy gapił się na „rakiety”.

Pocisk uderzył w jedną z szyb na trzecim piętrze zamku, po przeciwnej stronie od komnaty Joe. Ze środka doszedł ich słaby odgłos uderzenia o ścianę. Pęknięta szyba wyleciała na dziedziniec.

Może kontener tego „prochu” byłby w stanie wysadzić smoka w powietrze, chociaż sądząc po

wynikach eksperymentu nawet i taka ilość nie dałaby pożądanego efektu.

Arnault obrócił się do Joe. Podpalona przez iskrę broda zbrojmistrza poszła z dymem, pozostał jednak przy nim straszny swąd spalenizny.

— O, korcze, ależ z ciobia chulerny dryń! — Z tymi słowami Arnault pochylił się i przycisnął Joe do szerokiej piersi.

Joe zapiszczał przestraszony. Matka zawsze mu mówiła, że jeśli nadal będzie się bawił prochem, to z pewnością któregoś dnia zginie. Nie chodziło jej chyba jednak o śmierć w krzepkim uścisku siłacza.

Arnault rozwarł ramiona. Joe opadł na kamienie, wciągnął głęboko wielki haust zimnego, wypełnionego odorem siarki powietrza i zaczął się krztusić.

Ezekiel wygramolił się z pieca. Jego twarz, w miejscach nie pokrytych sadzą była sina z wściekłości. Przez chwilę patrzył na rozbite okno, stanowiące obecnie dziurę w wyłożonej diamentami framudze. Ze środka wydobył się mały kłębek dymu.

— Może ci się wydaje, że jesteś sprytny, bo w ten sposób zniszczyłeś moje laboratorium! — krzyknął do Joe. — Nie pomoże to jednak twojemu protegowanemu w zniszczeniu smoka. A przypomnę ci, że to jest właśnie twoim zadaniem!

Mag odwrócił się i ruszył ku drzwiom prowadzącym do wnętrza pałacu. Jego szaty łopotały na wietrze. Mała na początku strużka dymu wydobywająca się z laboratorium przerodziła się teraz w wielkie kłęby. Kiedy Ezekiel dotarł do schodów, postanowił zrzucić maskę powagi i czym prędzej zabrał się do gaszenia pożaru.

Nie wiadomo skąd pojawił się znowu Delendor. Był bardzo zadowolony.

— No, no! — powiedział. — To było wspaniałe, Joe! Najwyraźniej duch mojej matki wskazał mi właściwą osobę. No cóż, smok nie ma żadnych szans!

— Cieszę się, że tak uważasz — odparł Joe, podnosząc się z ziemi.

Było mu dość zimno. To, co zrobił prezentowało się z pewnością bardzo efektownie... ale dowodziło jedynie, że nie potrafi zrobić prochu, który by eksplodował.

A to oznaczało, że Delendor jest już załatwiony.

Do drzwi komnaty Joe'go rozległo się słabe pukanie.

— Proszę, proszę — wymamrotał, nie odwracając się nawet od okna. Słońce nadal świeciło nad horyzontem, ale na zacienionym dziedzińcu słudzy i prowadzone przez nich pojazdy poruszały się, jak gdyby na dnie głębokiego basenu.

Do pokoju wsunęła się Mary. Przez chwilę stała przy drzwiach, gotowa uciec w każdej chwili, aż wreszcie spytała:

— Nie przeszkadzam ci, mistrzu Joe? Jeśli musisz zaplanować wszystkie szczegóły związane z zabiciem smoka, to...

Joe obrócił się. W pokoju panował półmrok. Płomień w kominku dostarczał niewiele światła, a słońce było na tyle nisko, że nie sięgało już jego pokoju.

— Nie potrafię zabić smoka! — rzekł ze złością. — Nie potrafię zabić smoka, ani wrócić do domu! Nic zresztą dziwnego, dlaczego miałbym potrafić?

Mary oparła się o drzwi. Utkwiła wzrok w twarzy Joe, lecz cienkie palce gotowe były w każdej chwili otworzyć drzwi.

— Nie, dziecko, nie rób tego... — powiedział wyciągając rękę, ale szybko ją cofnął, widząc wyraz przerażenia na twarzy dziewczyny. — Słuchaj, jestem po prostu sfrustrowany, bo... no cóż, wszystko tylko zepsułem.

Mary podeszła do kominka i zaczęła bawić się ogniem, wyjmując małe kawałki węgla z terakotowego pojemnika i wrzucając je do płomieni.

— Więc chcesz odejść? — spytała.

— Zawsze chciałem odejść — odpowiedział Joe. Starał się kontrolować głos, by nie ujawniać swoich uczuć. — Mary, ja nigdy nie chciałem tu przyjeżdżać, po prostu tak się stało. Nie wygląda jednak na to, żebym kiedykolwiek mógł odejść.

— Ależ, Joe tylko wielki czarnoksiężnik mógł dokonać tego, co ty dokonałeś dzisiaj rana.

Nie rozumiem, dlaczego nie wierzysz we własne siły.

— Bo nie jestem chemikiem — wyjaśnił Joe.

Odwrócił się do okna żeby nie patrzeć na wyraz bólu malujący się na twarzy dziewczyny. Dziedziniac pogrążał się w coraz głębszym cieniu.

— Nie jestem właściwie nikim, prawdę mówiąc. Zrobiłem jedynie to, co umiem i pamiętam jeszcze z czasów dzieciństwa. Ale jeśli smok wygląda tak, jak mi wszyscy opowiadają, to na pewno moje sztuczki nic tu nie pomogą.

Mary dotknęła delikatnie poły jego futra.

— Dla mnie jesteś wielki — stwierdziła.

— Jestem człowiekiem, który powiedział Delendorowi, że pomoże mu zabić smoka. Było to, niestety, kłamstwo. A Delendor to miły chłopak, który zasługuje na coś lepszego, niż kłamstwa.

Ze stajni wyjechał powóz zaprzężony w czwórkę koni. Na ulicach już wkrótce miało zrobić się zupełnie ciemno, więc małe latarenki na przedzie powozu były zapalone. Odbijały się one ognikami od polakierowanych ścian karety.

— Jestem pewna, że uda ci się... — zaczęła Mary. Woźnica podniósł głowę i spojrzał na okno Joe. O dobry Boże! Toż to Mongoł!

Joe rzucił się do drzwi. Kontrolował się ledwie na tyle, żeby otworzyć zamek nie wyrywając całych drzwi z zawiasów. Kiedy wypadł na korytarz, nogi ugiwały się pod nim, ale zdołał jednak utrzymać równowagę i dopadł najbliższych schodów.

Gdzieś głęboko w umyśle Joe'go tliła się myśl, że ktoś, przeznaczenie, Mongoł, plamy na słońcu, czy cokolwiek innego igrało z nim. Pewnie kiedy wybiegnie wreszcie na dziedzińiec, okaże się, że powóz wyjechał już przez główną bramę i przepadł w mieście... lub też po prostu zniknął.

Joe jednak musiał spróbować. Powinien był wiedzieć, że nie ma żadnych szans w świecie z prawdziwymi smokami i czarnoksiężnikami. Ponieważ jednak schrzanił wszystko dokumentnie, jedynym honorowym wyjściem z sytuacji było zniknięcie stąd raz na zawsze przy pierwszej lepszej sposobności.

Tak, z pewnością było to jedyne honorowe wyjście. Poza tym, miałby wtedy szansę przeżycia.

Zbiegał po schodach dla służby, krętych, z kamiennymi stopniami równie śliskimi jak podłogi pałacowe. Poręcze były podobne jak w całym zamku. Na Boga mógłby przecież tak dużo nauczyć tych ludzi...

Niestety, do rzeczy, których mógł ich nauczyć nie zaliczały się różne sposoby zabijania smoków. A nikt w Hamisch nie będzie chyba specjalnie zainteresowany nowoczesnymi projektami schodów i łazienek oferowanymi przez faceta, który doprowadził do śmierci księcia Delendora.

Joe natknął się na trzy pokojówki, które rozpląszczyły się ze strachu na ścianie, przepuszczając galopującego „nowego maga”.

Przebiegnięcie dwóch pięter zajęło mu... no cóż, Joe nie wiedział, ile czasu mogło mu to zająć. Wiedział tylko, że jeśli się poślizgnie, to z pewnością spadać będzie długo. Podejrzymywał zresztą, że był to rodzaj dowcipu, jakiego by się można spodziewać po Mongole.

Wbiegł wreszcie do komnaty na parterze znajdującej się między pralnią a spiżarnią. Odziany w liberię służący ucinął sobie drzemkę na krześle stojącym przy drzwiach na dziedzińcu. Joe przebiegł koło niego budząc go i sprawiając wrażenie, jakby poranna rakietka została ponownie uruchomiona i wpadła właśnie między poły surduta służącego.

Na pogrążonym w ciemności dziedzińcu stała karoca. Smagły woźnica uśmiechnął się ze swego miejsca w kierunku Joe'go. Od kamiennych ścian odbijały się czyjeś głosy, a z kwater służby wydobywała się muzyka koncertowa.

Joe postawił nogę na stopniu karety i schwycił srebrną klamkę. Była cieplejsza niż powietrze, ale nawet gdyby była tak zimna, że dotknięcie jej groziłoby przymarznąciem skóry, nie było to w stanie powstrzymać Joe'go.

— Zatrzymaj się, Mistrzu Joe! — ktoś krzyknął.

Drzwi powozu zaczęły się powoli otwierać. Joe spojrzał przez ramię.

Po schodach zbiegła Mary. Z jej oczu strumieniami lały się łzy. Wyciągnęła ramiona w jego kierunku, podając mu neseser, który zostawił w komnacie.

W ten sam sposób potraktował i Mary, i przyrzeczenie dane Delendorowi.

— W porządku — mruknął. Zeskoczył ze stopnia i wziął neseser z rąk dziewczyny. — Chyba przez jakiś czas nie będzie mi to potrzebne — rzekł do pochlipującej Mary. — Równie dobrze więc, mogę to postawić w mojej komnacie. Chodź.

Woźnica rzucił coś do koni. Karoca ruszyła w kierunku bramy, ale Joe nie patrzył w ślad za nią, gdyż zajęty był prowadzeniem Mary.

Dlatego też nie zauważył szponiastej, chudej jak szkielet ręki, która pociągnęła drzwi karocy od środka i zamknęła je.

Horda miniaturowych demonów sprzątała porozbijane wyposażenie laboratorium Ezekiela. Nagle zatrzymały się w miejscu, sformowały szyk i zniknęły, odlatując do swego rodzinnego wymiaru. Ich głosy podobne były do cieniutkiego popiskiwanego, które brzmiało jeszcze parę sekund po ich zniknięciu.

— Co się dzieje? Co to takiego? — przerazili się Glam i Groag. Obydwaj jedną ręką schwycili swe miecze, a drugą zasłonili twarze, jakby myśleli, że rój demonów mógłby wdrzeć się im do gardła...

Nawet gdyby demony miały taki właśnie zamiar, zasłonięcie się jedną ręką z pewnością nie stanowiłoby dla nich poważniejszej przeszkody.

Ezekiel starał się zapanować nad swymi pomocnikami wymachując rękami w magicznych zaklęciach.

Zrozumiał jednak, co mówią demony i podszedł do drugiego, nienaruszonego okna, aby wyrzeć na dziedziniec.

— Wielki Boże! — wymamrotał odskakując od szyby i chowając się za kamienną ścianą, co prawdopodobnie ochroniłoby go w pewnym stopniu, gdyby istota na dziedzińcu zechciała go zaatakować.

— Co się dzieje? — zadudnił Glam. Teraz, gdy latające demony znikły, odzyskał zaufanie we własne siły, a w jego wielkiej czaszce pojawiło się pytanie, co też mogło je spłoszyć.

— Widziałem... — zaczął mag — istotę. Istotę z Siódmego Poziomu.

Groag podszedł do okna, przez które jeszcze przed chwilą wyglądał Ezekiel i wyrzwał.

— Chodzi ci o tego udomowionego czarnoksiężnika Delendora? — spytał. — Nie wygląda dla mnie zbyt przerażająco.

— Jest tam Joe Johnson? — spytał Ezekiel, rozszerzając oczy ze zdziwienia. — Widzisz go?

— Pewnie, że go widzę — odparł Groag, rozgniewany swym wcześniejszym przestradchem i pogrążony w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. — Wchodzi do karę... nie, nie wchodzi. Idzie... — Olbrzym przywarł do okna, żeby lepiej widzieć, co się dzieje na dziedzińcu. — Wraca do zamku.

Ezekiel przełknął ślinę. Unoszący się w powietrzu zapach siarki wydawał się być wyraźniejszy.

— Co się dzieje z... karocą? — spytał z tak dużą dozą nonszalancji, jaką mógł z siebie wydusić.

— Co? — odpowiedział pytaniem Groag. — Odjeżdża przez bramę. Dlaczego?

— Co to jest Siódmy Poziom? — spytał Glam. — Czy to znaczy, że widziałeś demona?

Jak gdyby słowo było wezwaniem, jeden z demonów Ezekiela wsadził głowę do laboratorium, po czym pojawił się w nim całym swym ciałem. Było niebieskie i raczej wielkości komara, niż muchy.

Demon schwycił skorupę pękniętego alembiku i usiłował ją podnieść przy metalicznym szeleście swych skrzydeł. Po paru sekundach bezskutecznych starań, poprzez dziurę w kontinuum czasoprzestrzeni do pokoju wpadły setki jego pobratymców, kontynuując poprzednią swą pracę. Tak więc kawałki porozbijanych sprzętów zniknęły z laboratorium.

— Nie demon — mówił Ezekiel do siebie i braci. — Demony to istoty z Trzeciego Poziomu, znajdującego się pod naszym poziomem. Mieszkańcami Siódmego Poziomu są...

— Ale, w każdym razie, to nie tego Joe mamy się obawiać? — przerwał mu Glam.

— Jeśli zadaje się z istotami z Siódmego Poziomu, to lepiej, żebyście się go bali! — odparł ostro Ezekiel. Jego słowa uderzyły braci jak celnie wymierzony policzek. — Istoty z Siódmego Poziomu

nie zajmują się problemami ludzi... czasami tylko proponują ludziom układy. Posiadają ogromną władzę, ale nie poddają się rozkazom ludzi. Nikt nie może im rozkazywać.

— W takim razie... — zaczął Groag marszcząc brwi.

— Jest tylko jedno ale — kontynuował Ezekiel. — Mówi się, że księżniczka Blumarine żyła z nimi w dobrej komitywie.

— Chodzi ci o matkę Delendora...? — spytał Glam. To pytanie dowodziło, że jest on w trakcie wykonywania pewnego wysiłku umysłowego, co w jego przypadku było raczej niespotykane. — Ona przecież nie żyje. Prawda?

— Blumarine nie potrafiła uratować swego ukochanego rycerza — rzucił z wściekłością w głosie Ezekiel. — I nie uda jej się również uratować syna. Słyszycie mnie?

Rozejrzał się po pokoju. — Słyszycie mnie? — powtórzył.

Szum małych skrzydełek demonów rozbrzmiewał coraz głośniejsze i drżał z amplitudą głosu maga.

— Ach, dzień dobry Joe — rzekł Delendor. — Zastanawiałem się właśnie, jak się mają przygotowania do zabicia smoka?

Joe spojrzał na księcia cierpko.

— Od samego rana jesteś taki wesoły? — spytał.

— Cóż, tak — przytaknął Delendor, uśmiechając się i rozglądając po pokoju z zainteresowaniem. — Zawsze wstaję wcześniej. Poza tym jedziemy dziś z Estoril na piknik.

Mary, ubrana w parę wielkich buciorów, zamiast swych zwykłych kapci, dygnęła w pokłon. Spłonila się na widok księcia. Kiki zeskoczyła z ramienia Delendora i znalazła się u stóp dziewczyny, ale ta najwyraźniej nie zauważała małpki.

— Ty też wybierasz się na piknik, Joe? — dodał Delendor. — Z kuszą?

— Tak, jadę zobaczyć, jak wygląda ten cholerny smok — rzekł ze złością Joe.

— Naprawdę? — zdziwił się Delendor. — O Boże! Po co?

— Ponieważ nie mam bladego pojęcia, w jaki sposób mam go zakatrupić! — zezłościł się Joe.

— Ponieważ nie jestem żadnym magiem! Być może jednak uda mi się pomóc ci, jeśli będę miał jakiegokolwiek pojęcie o tej bestii, którą mamy pokonać.

Pozwolił wreszcie wszystkim cisnącym mu się na usta słowom wydostać się na zewnątrz.

— Poza tym naprawdę chciałbym ci pomóc — powiedział już spokojniej. — Mary obiecała, że mnie poprowadzi. Zdaje się, że smok jest już dość blisko miasta. Delendor potakująco skinął głową.

— Tak. Chciałem pójść na polanę znajdującą się na północ od ścian pałacu, w miejsce, gdzie urządzaliśmy pikniki, kiedy byłem mały, ale Clarkson mówi, że nie jest to najlepszy pomysł. Ale po co ci kusza?

Na twarzy młodzieńca pojawił się wyraz zaciętości i skrywanej złości.

— Nie zamierzasz chyba...

— Nie, nie zamierzam zastrzelić smoka z kuszy! — wybuchnął Joe. — Chociaż daję słowo, że gdybym myślał, że to przybliży nas cokolwiek do zakatrupienia go, to nie wahałbym się ani chwili.

— Och! — pisnęła Mary.

Dziewczyna wepchnęła do butów szmatki po to, aby za duże o co najmniej parę numerów obuwie nie spadało jej ze stóp. Kiki natomiast schwyciła końcówkę jednej ze szmatek i zaczęła z nią biegać wokół dziewczyny, starając się związać jej kostki. Joe wolną ręką przegonił małpkę.

Kiki skoczyła na ścianę i stamtąd na ramię Delendora, dając pokaz wspaniałej akrobacji oraz rozwagi, ponieważ ręka Joe'go zacisnęła się z wściekłością w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się zwierzątko.

— Zła, zła małpka! — łajał ją Delendor.

— Słuchaj, Delendorze — kontynuował Joe, starając się mówić spokojnie. — Wydawało mi się po prostu, że powinienem być uzbrojony, skoro mam się spotkać z tą bestią.

— Aha — odparł książę, już udobruchany. — No cóż, w takim razie pożyczę ci mój miecz, Joe. Lepiej pasuje do twego stanowiska, chociaż wydaje mi się, że czarnoksiężnicy...

— Nie, nie chcę miecza — przerwał mu Joe. — Nie wiem o nich nic oprócz tego, że będzie mi się pętać pod nogami, jeśli będę musiał uciekać... A jak mi się wydaje, istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak właśnie się stanie.

— Ach — odparł Delendor. Nie wyglądało na to, żeby podzielał zdanie swego sojusznika. Błądził wzrokiem po komnacie i zatrzymał się dłużej na postaci Mary, która właśnie zdjęła but, żeby ponownie wypchać go szmatkami. Po chwili spojrzał znowu na Joe'go.

— O kuszach zresztą też nic nie wiem — tłumaczył się Joe. — Ani o pistoletach. Arnault musiał mi to — tu z pewnym wysiłkiem podniósł kuszę w rękę — napiąć i przygotować do strzału.

Joe starał się uśmiechnąć.

— Mary — kontynuował, wskazując ruchem głowy dziewczynę — powiedziała mi, żebym nie strzelał do bestii dopóki nie znajdę się na wolnej przestrzeni. To tylko takie zabezpieczenie, na wszelki wypadek, ale ja cholernie potrzebuję zabezpieczeń.

Delendor podjął decyzję i entuzjastycznie kiwnął głową.

— Rozumiem — rzekł. — Bardzo szlachetne, jeśli mogę tak powiedzieć, przedsięwzięcie. Powiem Estoril, że nie będziemy dziś urządzać pikniku, ponieważ w pierwszej kolejności musimy iść z moim magiem obejrzeć zagrożenie dla królestwa.

— Ach — odrzekł Joe — jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

— Oczywiście — odparł z uporem w głosie książę. — Poza tym, pójdziemy pieszo. Los Sir Delendora, mojego imiennika, wskazuje, że w pobliżu smoka nie można ufać koniom.

Joe zgodził się. Być może, pomyślał, Delendor nie jest aż takim lekkoduchem, na jakiego mu wyglądał.

— No cóż, z pewnością jest to piękny dzień na wycieczki, nieprawdaż? — zaczął radośnie Delendor. — Jasne słońce, świeży powiew wiatru... na tyle zimny, aby tylko chłodzić nagrzane ciało.

Joe kichnął.

— Poza tym nikogo wkoło — dodał — Ani jednej osoby w zasięgu wzroku. — Spojrzał do tyłu przez ramię.

Za każdym razem, gdy droga wznosiła się do góry można było jeszcze dostrzec ubarwione proporcami mury miasta. Szli główną drogą prowadzącą z Glenheim do Hamisch, więc w niedługim czasie powinni kogoś spotkać. Chyba że smok był o wiele bliżej, niż mówili farmerzy.

Joe miał wrażenie, że farmerzy byli już nieco zdenerwowani bezczynnością i brakiem jakichkolwiek działań, mających na celu zgładzenie smoka niszczącego ich ziemie. Uważali, że gdyby w jakiś sposób udało się pozyskać takiego rycerza, którego zadaniem byłoby stawianie czoła takim bestiom, to prędzej czy później potwór by zginął. Sądziли również, że niezależnie od tego która z walczących stron postradałaby życie, wynik i tak byłby zadowalający.

— Nie wydaje mi się, że powinniśmy iść tą drogą — odezwała się Mary, odpowiadając jakby na pytanie, które właśnie zrodziło się w umyśle Joe'ego.

Delendor spojrzał na zarośla otaczające drogę, a następnie sprawdził nogą kamienie wyściełające powierzchnię traktu. Najwyraźniej co parę lat musiano przycinać roślinność po obu stronach drogi. W tej chwili jednak zarastały ją młode drzewka, krzaki i pnącza, na tyle gęste, że stanowiły dobrą kryjówkę dla każdego, kto zechciałby w nie wejść. Na szczęście nie były aż tak gęste, żeby trzeba było korzystać z maczety.

— No cóż, może rzeczywiście lepiej by było iść przez krzaki — powiedział z wahaniem. — Ale mój miecz będzie się zahaczał. Nie, chyba jednak lepiej nie.

— A właśnie, że tak — sprzeciwił się Joe wchodząc w przydrożne krzaki.

Nogi Joe'go trzymały się jeszcze nieźle, uszli bowiem dopiero jakieś dwa kilometry, ale ręce bolały go od dźwigania kuszy. Śruba przytrzymująca gruby sznur miała w środku wycięcie, w którym umieszczano tył strzały. Dzięki temu, gdy Joe opuszczał kuszę pionowo w dół strzała nie wypadła.

Strzała zakończona była grubym, drewnianym trzonem i trzema ptasimi piórami. Miała stalowe, kwadratowe ostrze okute czterema kolcami. Wyglądało diabelnie niebezpiecznie...

Jeśli smokowi udawało się przetrzymać grad takich strzał, to musi on być diabłem na czterech nogach.

Kiki świetnie się bawiła biegając wokół trójki ludzi. Była tak lekka, że gałęzie młodych drzewek, z których żadne nie miało więcej niż cztery metry wysokości, z łatwością utrzymywały ją

w jej radosnych akrobacjach.

Delendor, idący jako ostatni, obrócił miecz, dzięki czemu znajdująca się w pochwie broń wisiała za nim jak sztywny ogon. W ten sposób nie przeszkadzała mu w wędrówce.

Niemniej jednak, zaopatrzone we frędzle futro księcia, jego tunika i baloniaste, jedwabne bryczesy wydawały się odnajdywać każdy znajdujący się na drodze cierń. W związku z tym Delendor stawał się coraz bardziej podenerwowany.

— Joe! — krzyknął. — To przecież nie ma najmniejszego sensu! Jeśli smok będzie nas gonił, to i tak mu nie uciekniemy, a te ciernie z pewnością nie zatrzymają go ani na chwilę.

— I tak byśmy go nie prześcignęli — odpowiedział Joe, przedzierając się przez kolejną kępę młodych drzewek. — Teraz jednak jesteśmy przynajmniej dobrze schowani.

— Smok zatrzymuje się, kiedy kogoś zabije — przypomniała Mary. — Kiedy zajmie się jedzeniem pozostali będą mieli czas, żeby uciec.

To realistyczne, zimne stwierdzenie niemile kontrastowało z przyjemnym głosem dziewczyny.

— No cóż, w takim razie powinienem prowadzić — wywnioskował Delendor. — Mój tytuł... prrr! Skąd się biorą te wszystkie krzaki jeżyn?

Gdyby księżę zwracał uwagę na to, co robi, a nie na to, co każe mu robić jego tytuł, to z pewnością omijałby krzaki jeżyn, tak jak czynili to jego towarzysze.

— Wiesz — kontynuował chwilę później Delendor — to jest jeszcze bardziej bez sensu, niż mi się wydawało. Słyszać nas tak wyraźnie, że nigdy nie uda nam się podkraść do...

Joe zatrzymał się z podniesioną jedną nogą.

— Cicho! — zasyczał.

— ...smoka. Byłem już na tyłu polowaniach — ciągnął Delendor — że wiem...

Mary obróciła się i z zadziwiającą jak na nią energią przyłożyła dłoń do ust księcia.

— Och, księżę, proszę! — szepnęła. — Proszę być posłusznym mistrzowi Joe!

Joe ostrożnie postawił uniesioną stopę na ziemi. Coś syczącego i stukającego jak lokomotywa parowa zbliżało się drogą w ich kierunku. Nie było wątpliwości, czym jest to coś.

Smok pojawił się w odległości około pięćdziesięciu metrów. Jego kolor przypominał rozżarzone żelazo.

Nie był dłuższy niż trzydzieści metrów, a więc tak, jak mówił Ezekiel... jednak sam widok zwierzęcia tej wielkości był dość zaskakujący.

Nic dziwnego, że rycerze i łucznik nie byli w stanie go pokonać.

Smok pokryty był kościstymi płytkami przypominającymi skórę krokodyla, a jego ogólny wygląd również przywołał na myśl krokodyla — niskie zawieszenie, dzięki któremu wielkie szczęki prawie dotykały powierzchni drogi, z wielkim ciałem niesionym na czterech krótkich nóżkach zakończonych świecącymi pazurami. Zęby w górnym i dolnym rzędzie nakładały się na siebie.

Nieświeży oddech, a raczej smród rozkładającego się mięsa owionął Joe'go w momencie, gdy ten z zainteresowaniem przyglądał się bestii. Chciał znaleźć jej słabe miejsce.

Ale takich miejsc natura najwyraźniej nie przewidziała w tym zwierzęciu.

Musieli teraz wracać do Hamisch tak szybko, jak tylko potrafili, omijając smoka z daleka. Za kilkadziesiąt minut bestia dotrze do miasta, a jedyną nadzieją na przeżycie ludzi tam się znajdujących była ucieczka. Mury miasta nie przetrwają nawet...

— Kikikikikiki! — zapiszczała nagle małpka i rzuciła się na smoka miotając w niego nasionami.

— Kiki! — krzyknął Delendor głosem prawie tak wysokim jak jego mały przyjaciel. Wyciągnął miecz z pochwy i w trzech susach, których nie powstydziliby się nawet jeleń, znalazł się przy drodze.

Za nim pospieszyła Mary.

— Na miłość boską! — wrzasnął Joe. Starał się wymierzyć swoją kuszą, ale w prawe ramię broni zaplątała się gałąź jakiegoś krzewu. — Wracać! Wracać!

Smok nie atakował, ale jego łeb z zastraszającą szybkością znalazł się w odległości paru centymetrów od Kiki. Dźwięki wydawane przez małpkę były teraz tak wysokie, że przypominały elektroniczny budzik.

Kiki rzuciła się z powrotem w krzaki. Delendor nadal biegł w jej kierunku, a tuż za nim truchtała Mary, co rzucało cień na ewolucyjną teorię rozwoju inteligencji.

— Na ziemię! — darł się Joe. — Nie, na miłość boską...

Wyswobodził wreszcie broń z krzaków. Gdyby miał strzelbę, pewnie już parę razy by strzelił, ale kusza nie była tak poręczna. Nie było też na niej żadnych przyrządów służących do celowania. Joe wymierzył więc po linii strzały, ale ciężka broń nie dawała się utrzymać w miejscu i jej czubek zataczał dziesięciocentymetrowe koło. Smok był zaledwie parę metrów od niego, a Joe z pewnością spuścił, jeśli nie...

Delendor machnął mieczem zataczając piękny łuk. Uderzył w bruk drogi i idąc za ciosem wylądował na ziemi. Jednak na coś się to przydało, gdyż szczęki smoka kłapnęły teraz w miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się tors księcia.

— Zejdź mi z...! — krzyknął Joe.

— Zjedz mnie! — krzyczała Mary machając rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę smoka. Niechcący stanęła na pochwie miecza i nagle jej stopa znalazła się w powietrzu. W mgnieniu oka dziewczyna upadła na ziemię, przykryta swym futrzanym płaszczem.

Smok zatrzymał się i spojrzał na dwie ofiary leżące parę metrów od siebie. Otworzył szerzej szczęki. Jego wole wielkością przypominało salę koncertową, a wewnątrz paszczy było równie białe jak suche kości.

Nigdy nie będę miał lepszej szansy, pomyślał Joe naciskając spust u dołu kuszy. Strzała ze świstem pomknęła do przodu.

Po chwili odbiła się od bruku drogi, wzniesając fontannę iskier.

Smok prychnął. Zaczął...

Coś niebywałego! Smok wyginał swoją krótką szyję i grzbiet, a jego monstrualne, zaopatrzone w pazury przednie łapy podniosły się z ziemi...

Było to równie śmieszne jak widok krokodyli z Fantazji odprawiających *Taniec po godzinach...* ale z tej odległości smok przypominał raczej międzykontynentalny pocisk balistyczny wylaniający się z silosu i przygotowujący do wystrzelenia.

Smok drżał w konwulsjach, jak po podaniu paralizującego lekarstwa, wydając z siebie ciche pojękiwanie. Płytki ochronne na jego brzuchu były tego samego, czerwonego koloru, co płytki znajdujące się na grzbiecie i bokach, pomiędzy nimi jednak widać było żółtą skórę potwora. Z niewielkiej dziury w miejscu, gdzie dolna szczeka stykała się z pierwszą płytką, zasłaniającą dolną część szyi smoka tryskała z ogromną siłą krew. Strzała Joe'go odbita rykoszetem od kamieni trafiła w miejsce, które prawdopodobnie było jedynym słabym punktem smoka.

Potwór podniósł się na tylnych łapach, jego ogon był sztywny i wyprostowany. Pancierz bestii skrzypiał przy akrobatycznych pozycjach, do których zmuszały go drgające w konwulsji mięśnie.

Mary i Delendor usiedli na ziemi gapiąc się na kwiczącego przed nimi smoka.

— O kurczę! — powiedział książę. Joe, stojący piętnaście metrów za nim, w krzakach, nie mógłby znaleźć bardziej trafnych słów do opisanego sytuacji.

Kiki wskoczyła na ramię Joe'go. Pogłaskała jego włosy wydając przy tym dźwięki podobne do mruczenia.

Smok wyprostował się po raz ostatni, przechylił do tyłu i z hukiem padł na ziemię.

Jego kończyny i ogon jeszcze przez kilka godzin trzęsły się w drgawkach.

Chociaż do sań zaprzęgnięto osiem par wołów, dyszały i sapały ciągnąc głowę smoka na dziedziniec zamku. Język bestii wypadł na ziemię i ciągnął się po bruku.

Książę Delendor siedział na karku zwierzęcia. Machał pochwą miecza i radośnie się uśmiechał, słuchając pochwalnych okrzyków wznoszonych przez tłum.

— Chyba całe miasto się tu zeszło — rzekł ponuro Groag, przyglądając się temu z okna w laboratorium Ezekiela.

— Chyba raczej całe królestwo — poprawił go Glam z podobnym tonem głosu. — Tylko my tu zostaliśmy.

— Patrzcie! — krzyknął nagle Groag.

— Zejdźcie mi z drogi, to chętnie popatrzę — zdenerwował się czarnoksiężnik, klepiąc Groaga

w ramię i odganiając od okna. Potężny książę odsunął się na bok, potrząsając głową.

Z laboratorium uprzątnięto już wszystkie zniszczone urządzenia, ale ani rozbite okno, ani sprzęt laboratoryjny nie zostały wymienione na nowe. Delikatny zapach siarki nadal unosił się w powietrzu.

Scena, jaką Ezekiel zobaczył na dziedzińcu, nie poprawiła jego nastroju. Król Morhaven ukląkł przed Delendorem, ale młodzieniec szybko zsunął się ze smoka na ziemię i podniósł ojca.

Okrzyki radości aż trzęsły szybami nie zniszczonych okien laboratoryjnych.

— Dzięki temu Delendor stanie się współwładcą i dziedzicem — powiedział Ezekiel. Obrócił się i z dzikością w oczach spojrzął na dwóch braci. — Wiecie o tym, prawda?

Glam wciskał właśnie koniuszek swego buta w ziemię, jakby chciał go tam głęboko schować.

— No cóż — odparł. — Jeśli ten kurdupel zabił smoka, to co innego może zrobić. Patrz na zęby tego bydłęcia.

— Nie udawaj większego głupca, niż jesteś! — nie wytrzymał Ezekiel. — Delendor nie ma nic wspólnego z zabiciem smoka! To ten jego czarownik! Ten przeklęty czarownik!

Zrobił tajemniczy gest. Rój małych demonów natychmiast wychynął ze swego poziomu. Ich małe rączki skupiały powietrze w coś na kształt szkieł powiększających.

Ezekiel spojrzął przez powstały w ten sposób teleskop.

— Spójrzcie — rzekł po chwili do braci.

Glam spojrzął przez teleskop, nie mogąc jednak opanować obrzydzenia spowodowanego tym, że musiał zbliżyć się do demonów tworzących urządzenie. Szkliska skupione zostały na karku smoka. Widniejąca tam rana pokryta była wielką ilością krwi.

— I co? — spytał Glam, kiedy brat łokciem odepchnął go na bok. — Tam dźgnął to bydło, nie?

— Ty idioto! — wrzasnął Ezekiel. — Rana jest kwadratowa, tak jak ostrze strzały. A kogo widzisz niosącego łuk?

— Ahaaaa — wydeklamowali razem bracia.

Za saniami, prawie zagubiony w tłumie otaczającym Delendora szedł książęcy mag, niosąc ciężką kuszę. Uczepiona jego ramienia truchtała pokojówka, ściśnięta przez ludzi wznoszących okrzyki uwielbienia dla swego pana.

— Nic nie rozumiem — zdziwił się Groag. — Tylu chłopów strzelało do niego wcześniej z kuszy i co?

— Pewnie, że strzelali, ty baranie — tłumaczył mu Ezekiel. — Ale najwyraźniej nie mieli zaczarowanej kuszy, która trafiła w jedno jedyne wrażliwe miejsce na jego pancerzu. Miejsce to, znajdujące się w dolnej powierzchni gardła bestii, nie mogło być osiągnięte przez strzałę ze zwykłej kuszy.

Przesunął lekko teleskop, pukając w szkła pomalowanym paznokciem wskazującego palca. Małe demony podskoczyły i zmieniły ostrość.

Groag gapił się na kuszę.

— Nie wygląda mi na jakąś specjalną — dziwił się.

— Nic nie rozumiem — powtórzył jak echo Glam. — Jeśli ma kuszę, która mogła zabić smoka, to po cholere było całe to przedstawienie z prochem i strzelaniem? To jakiś żart czy co?

Mag skrzywił się.

— Nie jestem pewien — powiedział rozglądając się po laboratorium i przypominając sobie, jak ono wyglądało zanim „rakieta” wpadła przez okno. — Wydaje mi się jednak...

Ezekiel pochylił się chowając w swoje aksamitne szaty. Teraz jednak wyprostował się z powrotem.

— Wydaje mi się — kontynuował — że Joe Johnson został tu sprowadzony z bardzo dużej odległości przez mieszkańców Siódmego Poziomu. Najpierw starał się wykorzystać magię stosowaną w jego rodzinnym świecie, ale najwyraźniej nasze światy za bardzo się różnią. Zamiast więc prowadzić dalsze eksperymenty, stwierdził, że łatwiej będzie wykorzystać naszą magię.

— Obiecałeś nam, że nie będzie żadnych problemów z Delendorem — niebezpiecznie zdenerwował się Glam. — A teraz mówisz, że jednak będą.

— Mogę natychmiast zająć się waszym bratem — odparł Ezekiel obojętnym głosem — ale

dopiero wtedy, gdy Joe Johnson zejdzie mi z drogi. Rozumiecie?

Glam parsknął śmiechem, który jeszcze bardziej zatrząsł szybami w oknach, niż okrzyki tłumu na dole.

— Pewnie, że rozumiemy! Zimne żelazo odporne jest na działanie magii, nie?

— Uspokój się — upomniał go brat gapiąc się znowu przez teleskop. — Wpadniesz jak byk do komnaty i znowu wszystko pochrzczasz. Tym razem ja się tym zajmę.

Mówiąc to zapamiętał służącego, któremu Joe Johnson oddał swoją zaczarowaną kuszę.

— A mówiłeś, że nie jesteś czarownikiem! — piał Delendor.

— Del, spokojnie! — ostrzegła go Estoril, ale książę podskoczył wysoko, zbyt wysoko jak na mały pokoik Joe'go.

Piórko na jego czapce wygięło się uderzając o sufit. Kiki zeskoczyła z ramienia księcia i odbiła się od czterech ścian, kończąc swą akrobację na kostkach Joe'go.

Joe zacisnął mocniej koc. Służba rozpałała w kominku, obok którego stał w tej chwili jego fotel. Mimo to, nadal było mu tak zimno, że nawet ciepło małego ciała małpki było bardzo przyjemne.

Zastanawiał się, gdzie znikła Mary... i czy przyjdzie dzisiejszej nocy, tak jak zwykle.

Znowu kichnął.

— Na zdrowie — skwitował to Delendor, nieznacznie utemperowany. Usiadł na cedrowej skrzyni obok Estoril. — Wiesz — rzekł do księżniczki — tak się zamachnąłem, ciach!

— Tak, mam wrażenie, że już mi to ktoś opowiadał — odparła sucho Estoril. Joe'mu wydawało się, że mrugnęła do niego okiem, ale wydmuchiwał właśnie nos i nie był pewien.

Czy Lancelot też przeziębiał się w czasie dokonywania męskich czynów? A właściwie, czy wierni słudzy Lancelota, zapadali na grypę?

— Nie zauważyłem nawet, że go zabiłem, dopóki nie spostrzegłem, jak przewraca się na plecy! — kontynuował Delendor, nie przyjmując do wiadomości nic oprócz własnej, zawodzącej go pamięci... — Magia Joe'go poprowadziła pchnięcie mego miecza wprost w gardło potwora! Tylko, że... — zmarszczył brwi. — Wiecie, wydawało mi się, że raczej zamachnąłem się, a nie pchnąłem mieczem. — Po chwili jednak młodzieniec znowu rozpromieniał. — Widzicie, jak zawodna jest pamięć?

Joe kichnął.

Może teraz, kiedy smok został zabity uda mu się wreszcie wrócić do domu... chociaż z jakiegoś powodu, po mieniącym się barwami życiu w Hamisch bzdurne opowieści senatora wydawały się szare i nijakie.

— Ale, ale, dlaczego ja tyle gadam? — powiedział Delendor, dając w ten sposób do zrozumienia, że pozostało mu jeszcze minimum świadomości świata poza nim. — Essie, co też chciałaś nam powiedzieć, po powrocie do Glenheim?

Estoril spojrzała na swoje dłonie, ułożone równo na sukience na kolanach.

— Przyjechałam powiedzieć prawdę — zaczęła. — Nie jestem pewna...

— Wiesz — przerwał jej w pół zdania — kiedy Joe przybył do nas, chciałem, żeby odnalazł moją zaczarowaną księżniczkę. Teraz jednak, kiedy przyjechałaś... no cóż, już tak o tym nie myślę.

Otworzył owalne puzderko i podał je Estoril. Z odbijającego się od niego światła Joe zorientował się, że tkwi tam nadal lusterko.

— Księżniczko, co tam widzisz? — spytał mimo to.

Estoril uśmiechnęła się.

— Swoją twarz — odparła. — Ale to puzderko jest bardzo stare... i należało kiedyś do matki Dela. — To mówiąc oddała puzderko Delendorowi.

— Księżniczka Blumarine była bardzo dobrą kobietą — powiedziała powoli. — Ale z tego, co mówiła mi Katya, była bardzo...

Po ustach Estoril przebiegło coś na kształt wymuszonego uśmiechu.

— Potężna to chyba niewłaściwe słowo. Księżniczka Blumarine była bardzo uczona. Jestem pewna, że lusterko pokazuje jej synowi wszystko, czego tylko zażąda.

Delendor spojrział z przerażeniem na dziewczynę.

— Essie! Przecież nie skłamałbym tobie!

Estoril spojrzała na okna. Znowu sączyło się z nich światło, które ledwie oświetlało pokój. — Mistrzu Joe — zaczęła — czy chcesz, żebyśmy przynieśli lampy?

— Hmm? — zdziwił się Joe obudzony z drzemki. — Och, nie... to znaczy... jak będziecie wychodzić. Chyba sobie tu posiedzę i poczekam, aż moje zatoki wreszcie się oczyszczą.

Problem nie polegał wyłącznie na tym, że chłodny wiatr wiał przez cały dzień, a on musiał w nim maszerować. Szok spowodowany zajściami tego i trzech poprzednich dni osłabił Joe'go, upodamiając go na przeziębienie.

— Cóż — powiedziała Estoril wstając — właśnie zamierzaliśmy sobie pójść.

— My...? — zdziwił się Delendor, wstając jednakże z kufra.

— Wychodzimy — zwróciła się do niego Estoril. — Przyślemy Joe'mu jakąś gorącą zupę...

— Och, ależ nie musicie... — zaczął Joe.

— Którą całą zje — dokończyła księżniczka z łagodnością przypominającą pancierz smoka.

Otworzyła drzwi, wskazała Delendorowi drogę na korytarz i w tym momencie się zawahała.

— Mistrzu Joe — powiedziała łagodnie — królestwo zawdzięcza ci swoje bezpieczeństwo. A ja zawdzięczam ci życie Delendora...

— Tak, tak — potakiwał jej przez ramię książę. — Wszystko dzięki tobie, Joe.

— Nie chciałabym, żebyś pomyślał — ciągnęła księżniczka, nie zwracając uwagi na młodzieńca — że nie wiemy, czego tak naprawdę dokonałeś. — Albo że jesteśmy niewdzięczni.

— Wcale tak nie... — zaczął Joe, ale właściwie nie potrafił wytłumaczyć, co myśli, bo sam nie umiałby tego wytłumaczyć. Zaczął więc podnosić się z fotela.

— Nie, nie, siedź — rozkazała Estoril głosem pielęgniarki.

— Kiki! — zawołał Delendor. — Kiki!

Małpka wyjrzała spomiędzy stóp Joe'go. Po chwili zastanowienia i wyraźnej walce wewnętrznej przebiegła po zimnej podłodze do swego pana.

— Pamiętaj, żeby zjeść zupę — przypomniała Estoril zamykając za sobą drzwi.

Joe rozluźnił się. Brakowało mu ciepła Kiki. Estoril była całkiem ładną kobietą. Bystra i zawzięta, lecz ani trochę nie uparta i zimna. Byłaby najlepszym władcą spośród wszystkich osób, jakie dotychczas spotkał w Hamisch, ale ponieważ o tytuł do tronu rywalizowało trzech synów, nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek miała okazję sobie porządzić.

Poza tym prawdopodobnie tak długo nikt nie wybrałby jej tutaj na prezydenta, jak długo w okolicy pętał się jakiś chłop z odpowiednimi koneksjami wystarczającymi do tego, aby uznano go za odpowiedniego kandydata na króla.

Delendor nie był złym chłopcem, a za parę lat przestanie już być dzieckiem. Udowodnił też, że odwagi mu nie brakuje, kiedy rzucił się na smoka... jak kretyń! Być może mając u boku siostrę, która myślałaby za niego, mógłby okazać się niezłym władcą.

Joe nie był pewien, czy wszystko to dzieje się we śnie czy na jawie. Brykiety drewna w kominku zamieniły się w bezkształtną masę popiołu, ale nadal wydzielały ciepło.

Czy, jeśli wstanie i wyjrzy przez okno, to naprawdę zobaczy głowę smoka na dziedzińcu? Jednak ciepło było na tyle przyjemne, że Joe nie miał ochoty się ruszać. Niezależnie od tego, jaka była rzeczywistość...

Z korytarza dobiegł go odgłos przypominający upadek przewracanego kosza na śmieci. Dźwięk ten był również podobny do uderzeń szponów smoka na drodze... jeśli szpony i droga rzeczywiście istniały. Tamten dźwięk jednak nie odbijał się echem, a poza tym był głośniejszy, gdyż smok był bardzo...

Drzwi do komnaty Joe'go zostały z impetem wyważone uderzeniem opatulonej w zbroję ręki. Klamka pofrunęła przez pokój w jednym kierunku, a zamek od drzwi w drugim. W progu stanęła uzbrojona po zęby postać z mieczem w ręku.

— Zadajesz się z diabłami, czarnoksiężniku — zagrzmiała postać głosem Glama nieco zniekształconym, ponieważ w zamkniętej przyłbicy hełmu w kształcie świńskiego łba znajdowały się tylko małe otworki umożliwiające dopływ powietrza... — Ale twój czas już nadszedł!

Skóra Joe'go pokryła się gęsią skórą. Skoczył na równe nogi odrzucając z nóg koc...

I padł jak długi na twarz wprost pod nogi Glama.

Pod wpływem nagłego uderzenia okno za nim zostało rozbite na tysiące małych kawałeczków. Huk był przy tym znacznie większy niż w momencie, gdy Glam wyważał drzwi. Joe obrócił się, chcąc bezskutecznie stanąć na nogach. Był to najgorszy koszmar, jaki zdarzył mu się od czasu... Od czasu, gdy z zapelnionego demonami piekła wskoczył do karety Delendora, podpowiedziała mu niezależna, analityczna część jego umysłu.

Glam wywinął kozła i znalazł się przyłbicą na ziemi. Zastanawiające, ile hałasu czyni metalowa zbroja, kiedy rzuci się nią o kamienny bruk...

Do komnaty wbiegła przerażona Mary, a za nią tłum służących, Delendor i Estoril. Księżniczka wiedziała, że wściekły Glam zatłukłby każdego, bez względu na to, czy byłaby to kobieta czy mężczyzna.

— Nie ruszaj się, Glam! — krzyknął Delendor. Prawa ręka młodzieńca nerwowo sięgała do pustej pochwy i usiłowała wyciągnąć z niej miecz. Jego nieobecność nie sprawiła jednak chłopcu różnicy i rzucił się on na Glama równie szaleńczo, jak na smoka.

— Och, mistrzu Joe — lamentowała Mary, klękając na kamieniu w momencie, gdy Joe zdołał wreszcie usiąść. — Widziałam, jak Glam szedł korytarzem, więc pobiegłam po pomoc.

— A więc nic ci nie jest? — zdziwił się Delendor. Zrozumiał wreszcie, że huk, który rozległ się przed chwilą wywołany był przez Glama, a nie przez Joe'go, i że Glam leży bez ruchu, co cholernie zdziwiło również Joe'go.

— Wy dwaj — powiedziała Estoril, wskazując na parę dobrze zbudowanych służących. — Postawcie tego bydlaka na nogi. Joe, co tu się stało?

— Niech mnie szlag, jeśli wiem — wymamrotał Joe. — Wiem tylko... — Spojrzał oskarżającym wzrokiem na okolice ramion księcia. Kiki schowała się za głową Delendora, później wskoczyła na jego czapkę. — ...Wiem tylko, że twoje zwierzątko, Delendorze, zawiązało mi sznurowadła — dokończył.

— W takim razie powinieneś mu podziękować, Joe — odparła Estoril, starając się mówić głosem pozbawionym emocji. — Wygląda na to, że Kiki ocaliła ci życie.

Po tych słowach wyciągnęła rękę, wskazując na Glama palcem. Lotka grubej strzały sterczała z piersi Glama. Tutejsze kusze nie potrafiły, być może, przebić skóry smoka, ale z pewnością świetnie im szło przebijanie stalowej zbroi.

Joe spojrział przez ramię na framugę rozbitego okna. Strzała, które je rozbiła, mogła być wystrzelona z jednego z wielu okien po drugiej stronie dziedzińca. Nie miał jednak wątpliwości, kto to zrobił.

Rzeczywiście, po raz pierwszy upadek na twarz okazał się szczęśliwy.

Delendor zdjął kapelusz z głowy i pokłonił się Joe'—mu. Twarze wszystkich, którzy weszli do pokoju pełne były podziwu i uwielbienia.

— Przez stal — wyszeptał książę. — Cóż za wspaniały czarnoksiężnik!

* * *

— Nie kazałem ci wcale zabijać tego maga, Groag — denerwował się Ezekiel. Podniósł głos, ale starał się mówić tak, aby równocześnie być dość przerażającym i nie pozwolić nikomu na zewnątrz podsłuchać rozmowy.

— A przede wszystkim, nie kazałem tobie... kompletnemu laikowi... wykorzystywać magicznych przyrządów czarnoksiężnika przeciwko niemu samemu!

— A—a—ale... — jękał się Groag. Dłonie zacisnął w pięści wielkości ud jelenia, a łzy płynące z oczu, mogły być równie dobrze wywołane smutkiem, co złością.

Albo po prostu strachem. W takim przypadku okazałoby się, że obydwaj mężczyźni znajdujący się teraz w laboratorium Ezekieła obawiają się Joe'go Johnsona.

— Chociaż sam pomysł z wykorzystaniem obcej magii przeciwko obcemu nie był zły — dodał łagodniej Ezekiel, wiedząc już, że Groag nie rozerwie go na kawałki gołymi rękami.

Stół laboratoryjny został częściowo zamieniony w linię produkcyjną. W wielkiej, szklanej kadzi

malutkie demony nurzały się w ciemnym płynie. Wypływały na powierzchnię tylko po to, żeby zaraz zanurzyć się ponownie. W ten sposób dokładnie mieszały składniki gęstej mazi.

Inny zespół demonów unosił malutką łyżeczkę z mazią i rozlewał ją na kawałku miedzianej blachy wyposażonej w tysiące identycznych, malutkich dziurek. Inna jeszcze grupa podgrzewała swoim oddechem blachę od dołu, utrzymując ją w odpowiedniej temperaturze.

Groag przez chwilę gapił się bezmyślnie na cały ten proces.

— Co to? — spytał wreszcie.

— To jest to, co powinienesz być zrobić, jakbyś miał chociaż trochę rozumu — odparł Ezekiel.

— Nic nie mówiłeś...

— Bo nie pytałeś! — uciał mag i nerwowo chrząknął. Po chwili zaczął mówić suchym, beznamiętnym głosem najmądrzejszego na świecie wykładowcy: — Było dla mnie oczywiste, że magia Joe'go Johnsona wymagała pewnych poprawek, aby móc działać w naszym świecie. Skonsultowałem się u swoich źródeł, aby dowiedzieć się, na czym polegały te poprawki. W ten sposób... — Ezekiel uczynił ruch ręką. — Składniki były właściwe, ale proporcje musiały ulec niewielkiej zmianie. Poza tym, składniki powinny być mieszane na mokro, tak aby każda porcja prochu miała taką samą zawartość poszczególnych substancji.

Groag pochylił się, chcąc lepiej przyjrzeć się mazi. Nosem prawie dotknął powierzchni płynu. W tym momencie ukazała się kolejna fala demonów mieszających składniki. Przed zanurzeniem się, jeden z demonów uchwycił włos wystający z nozdrza Groaga.

— Auuu! —

— Po zakończeniu mieszania — kontynuował Ezekiel z satysfakcją — materiał jest rozrzucony tutaj — wskazał na blachę — i suszony w niskiej temperaturze. Kiedy i ten proces zostanie zakończony, moi pomocnicy przesypią gotowy proch przez dziurki w blasze.

Groag, zasłaniając nos lewą dłonią unióśł lekko brwi i przypatrywał się produkcji. W jego mózgu powoli formowało się kolejne pytanie.

— I co?

Mag westchnął.

— Tak — rzekł — podejrzewałem, że o to spytasz. No cóż, chłopcze, pokażę ci „co”.

Machnął ręką. Grupa demonów zebrała trochę ziarenek prochu, które zostały już przesypane przez blachę i wsypała je do szklanej butelki wielkości flakonika na perfumy. W butelce zostało już tylko tyle miejsca, aby umieścić w niej korek.

— Kiedy skończymy produkcję — mówił czarnoksiężnik podnosząc butelkę i podchodząc do jednego z nieuszkodzonych okien — materiału wystarczy do napełnienia tego mosiężnego kotła, który stoi na stole.

Podniósł szybę i postawił butelkę na framudze. Do laboratorium wdarł się chłodny powiew powietrza. Płomyki lamp załopotwały. Jeden z demonów zaczął latać nad butelką, jak sęp nad padliną.

— Jeśli weźmiesz ten kocioł do komnaty Joe'go Johnsona, najlepiej jutro wieczorem, kiedy wszyscy będą na kolacji — kontynuował Ezekiel — to postaw go pod jego fotelem. Kiedy Joe Johnson wróci do pokoju... — Ezekiel uczynił kolejny gest. Demon poszybował w dół i włożył swoją malutką rączkę do butelki. Ezekiel strzelił palcami i z dłoni demona skoczyła iskra, a proch detonował z ogromnym hukiem.

Groag cofnął się w przestkach. Nawet mag zrobił krok w tył zadziwiony siłą mikstury, którą wyprodukował. Poglądził dłonią szarą brodę i odszedł od okna pobłyskując kawałkami szkła. Chrząknął. W uszach mu jeszcze dzwoniło.

Miał wrażenie, że jego własny głos brzmi bardzo cienko, kiedy kończył zdanie:

— ...przydarzy mu się zapewne coś takiego!

Zamek w drzwiach Joe'go Johnsona nie został zreperowany, więc Groag nie potrzebował klucza, żeby je otworzyć.

Nikt nie zwrócił uwagi na nieobecność Groaga przy stole. Wszyscy sądzili, że po prostu dąsa się po tym, jak jego stary płaszczyl się przed Delendorem. I rzeczywiście, mieli częściowo rację.

Ale jeszcze zobaczą, na co się zda ten nadęty bufon Delendor, kiedy jego mag zostanie rozniesiony na małe kawałeczki!

W pokoju paliła się tylko jedna lampka, jedyne źródło światła. Joe Johnson zaciągnął zasłony na wszystkich oknach. Może bał się kolejnej strzały, która mogłaby wlecieć przez któreś z nich?

Groaga przebiegły ciarki rozkoszy na samą myśl, że mógłby jeszcze raz wymierzyć z kuszy w tego drania. Miał jednak szczęście, że akurat w tym samym momencie do pokoju wszedł ten głupi Glam. W przeciwnym razie Joe Johnson zawróciłby pewnie strzałę i to pierś Groaga zostałaby nią upiększona!

Mosiężny pojemnik wypełniony prochem był cholernie ciężki. Jego gładka powierzchnia ślizgała się w rękach Groaga, jakby chciała uciec od niego.

A co, jeśli magia Ezekiela nie jest na tyle silna, aby przeciwstawić się przybyszowi?

Groag spojrzął na fotel stojący blisko kominka. Jego siedzisko i nogi nie dostarczały wystarczającego ukrycia dla pojemnika z prochem.

Koc, którym opatulał się Joe, został dokładnie złożony w kostkę i położony na łóżku. Jeśli Groag umieści bombę pod kołdrą, to będzie się ona jeszcze bardziej rzucać w oczy, niż pod krzesłem.

W takim razie zostawało tylko jedno pewne miejsce. Groag podszedł do kominka i pogrzebaczem zrobił dołek w kupce popiołu i gorącego żaru. Postawił czarodziejski pojemnik w dołku i zakrył go popiołem.

Kupka była teraz nieco wyższa, ale nie aż tak wysoka, aby w czasie kilku chwil od wejścia Joe'go Johnsona do komnaty i zajęcia miejsca przed kominkiem, mag zwrócił na nią uwagę...

Groag wyprostował się zadowolony. Nagle usłyszał za sobą jakiś hałas. Odwrócił się jak wielki, drapieżny kot i stanął oko w oko z przestraszoną, małą kobietą, która właśnie otworzyła drzwi.

Niech go cholera weźmie, jeśli to nie jest ta dziwka, którą razem z Glamem ganił tamtego dnia!

— Co ty tu robisz? — spytała dziewczyna piszczącym sopranem.

— Nic, co mogłabyś komukolwiek wygadać! — ryknął Groag. Nie wyciągnął nawet miecza. Skoczył tylko do przodu z podniesionym pogrzebaczem.

Czerwony błysk przypominający płomień Armageddonu rozświetlił pokój.

Huk był równie imponujący, ale tego Groag już nie dożył.

Mary leżała na plecach po drugiej stronie korytarza od drzwi Joe'go, przez które sypał śnieg.

Joe wyszedł z bankietu, zanim ostro zaczęto pić, więc był w stanie dotrzeć na miejsce wybuchu równie szybko, jak pierwsi służący. Przez okna buchały pomarańczowe płomienie, a odór palonego pierza mieszał się z zapachem dymu.

Joe ukląkł, biorąc delikatne ciało Mary w ramiona. Dziewczyna straciła przytomność, ale oddychała normalnie.

Dzięki Bogu!

Dziesiątki służących nadbiegały z obu kierunków. Wielu z nich niosło wiadra z wodą. Joe przywołał do siebie potężnie wyglądającą kobietę, wskazał na Mary i zakomenderował:

— Pilnuj jej! Zaraz wracam!

Zdjął ze ściany pochodnię i wbiegł do pokoju. Poślizgnął się.

Poślizgnął się na Groagu.

Najstarszy syn króla Morhavena przyjął na siebie największą część siły wybuchu. Fala powietrza wyrzuciła Mary przez otwarte drzwi. Groag natomiast głową wyrzynał w ich kamienną framugę.

Joe nie był pewien, czy ubranie Groaga zostało zdarte siłą wybuchu, czy też ciało przeniknęło przez materiał po uderzeniu w ścianę. Księcia można jednak było rozpoznać po mieczu. Poza tym na zakrwawionej ścianie znajdowały się osmolone, czarne włosy z jego brody.

— Joe! Joe! — krzyczał Delendor biegnący na czele tłumu ludzi przybywających z bankietu. — Nic ci się nie stało?

Słudzy zalewali płomienie wiadrami wody, ale ich wysiłki nie przynosiły żadnego skutku. W pokoju nie pozostało już nic, co można by ocalić, na szczęście drewniany strop nie był zagrożony.

Joe chwycił płonąca pościel i wyrzucił przez rozbite okno. Fragmenty materiału i pióra spadały

powoli przypominając do złudzenia pokazy sztucznych ogni.

Za przykładem Joe'go poszli inni, wyrzucając płonące szczątki ramy łóżka i cedrowego kufra. Nikt zbytnio nie przejmował się Groagiem.

Również Joe nie zamierzał ronić nad nim łez. Wyszedł na korytarz dokładnie w momencie, gdy na miejsce wypadku przybiegł dudniący szwadron szlachty bawiącej się dotąd na bankiecie.

Nie byli to wszyscy uczestnicy bankietu. Nie było między nimi mistrza Ezekiela.

— Czy to...? — krzyknął król Morhaven. — Czy to...?

Król, równie dobrze jak inni, wiedział, kto jest przyczyną zaistniałej sytuacji.

Joe otworzył usta, żeby bez ogródek powiedzieć prawdę, z wściekłością, którą ledwo już mógł powstrzymać, ale nie można przecież winić ojców za ich synów, a poza tym, wystarczyło mu już atrakcji tego wieczora.

— Lepiej niech król uważa na siebie — powiedział więc tylko i wręczył monarsze lampę. Król, Delendor i Estoril przepchnęli się do pokoju poprzez tłum biegających w popłochu sług.

— Zajmę się nią — rzekł Joe i przykucnął przy Mary. Obok stało wiadro z wodą. Joe zanurzył w nim chusteczkę i zaczął ścierać sadzę i kawałki ciała Groaga z twarzy dziewczyny.

Król wyszedł z komnaty podtrzymywany pod ramiona przez Delendora i Estoril. W ciągu paru sekund postarzał się o dziesięć lat. Nawet Kiki wydawała się być zasmucona.

Morhaven wyprostował się.

— No cóż — westchnął — wydarzenia zmusiły mnie do podjęcia decyzji, która i tak już zapadła. Mieszkańcy Hamisch, moim następcą zostaje mój syn Delen...

Estoril położyła szczupłą, białą dłoń na ustach króla.

— Ojczy, posłuchaj — rzekła. — Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek powiem wam to, co zdradziła mi przed śmiercią Katya. Wydaje mi się jednak, że teraz będę zmuszona to uczynić.

— Katya? — powtórzył Delendor ze zdziwieniem.

— Służka twojej matki, Blumarine! — rzuciła księżniczka, odejmując dłoń od ust króla. — Nie pamiętasz?

Oczywiście, że Delendor jej nie pamiętał, ale dla zachowania powagi kiwnął potakująco głową. Małpka naśladowała każdy jego ruch.

Estoril spojrzała Morhavenowi prosto w oczy.

— Ojczy, Wasza Wysokość. Księżniczka Blumarine została potajemnie poślubiona Sir Delendorowi. A jej syn, Delendor... nie jest twoim synem, Wasza Wysokość.

— Świetnie! — wykrzyknął Delendor. Jeśli w jego głosie brzmiało jakiegokolwiek inne uczucie niż zachwyt, Joe tego nie słyszał. — Świetnie! Nie jesteś w takim razie moją siostrą, Essie?

— Nie — odpowiedziała Estoril — ale masz prawdziwą starszą siostrę. — Zdjęła z szyi Delendora łańcuszek, na którym wisiało puzderko i otworzyła je. — Spójrz, oto ona.

— O rany — zdziwił się Delendor. — O rany... patrz, Joe, to już nie jest królik! — Podał puzderko Joe'mu. Zrmiast lusterka znajdował się tu teraz mały obrazek na kości słoniowej, przedstawiający młodą kobietę z błyszczącymi blond włosami. Była piękna.

— W takim razie — mówił Delendor głosem pełnym podniecenia — nie ma już żadnej przeszkody, dla której nie moglibyśmy się pobrać. Essie, czy zostaniesz moją królową?

— Wydaje mi się — rzekła zimno Estoril — że właściwe pytanie brzmi: czy zgodzisz się być moim małżonkiem. Niezależnie jednak od pytania, odpowiedź brzmi „tak”.

Uśmiechnęła się i w jej oczach zabłysły żywe iskierki, nie mające nic wspólnego z oschłością.

Dziewczyna w ramionach Joe'go poruszyła się.

— Och, dzięki Bogu, że nic ci się nie stało, Mary... — powiedział Joe i nagle osłupiał ze zdziwienia. To nie była Mary! Była to kobieta z obrazka w puzderku! — Dobry Boże! — szepnął. — Kim jesteś?

Blondynka uśmiechnęła się. Jeśli był widok piękniejszy od jej twarzy, to z pewnością była to jej twarz dodatkowo jeszcze upiększona uśmiechem.

— To ja, Mary, Joe — wyjaśniła próbując usiąść. Nadal kręciło jej się w głowie. — Więc powiedziałaś już mojemu bratu? — spytała księżniczkę.

Nawet Estoril wyglądała na zaskoczoną.

— Tak. Ale właściwie to kim jesteś...? — zapytała.

— Jestem twoją siostrą, Del — odparła Mary patrząc na Delendora — chociaż dla swojego i twojego dobra, matka to ukrywała. Kiedy pojawił się smok, chciałam ci pomóc, ale Katya rzuciła na mnie czar ukrywający nasze podobieństwo i uniemożliwiający mi powiedzenie ci prawdy. Obiecała Blumarine... ale i tak przyszedłam, żeby być koło ciebie.

— A ja złamałam ten czar — dodała Estoril, widząc wyraz zastanowienia na twarzy Delendora — mówiąc ci, kto jest twoim prawdziwym ojcem.

Delendor zamrugał powiekami. Po chwili jednak jego twarz się rozjaśniła i pojawił się na niej szeroki uśmiech.

— No cóż, teraz wszystko jest już tak, jak należy.

— Nie — wtrącił Joe głosem, który zmroziłby go do kości, gdyby nie pochodził z jego własnych ust. — Trzeba jeszcze coś załatwić. Coś między mną a Ezekielem.

Uściskał dłoń Mary i wstał. W tej chwili dziewczyna nie była u niego na pierwszym miejscu.

Joe podniósł miecz Groaga. Rzeźbiona pochwa siłą wybuchu została gdzieś odrzucona, a z rękojeści powypadały niektóre kamienie. Mimo to broń była nadal użyteczna.

I prawdopodobnie mogła się jeszcze przydać.

Z mieczem w dłoni Joe potruchtał korytarzem w tempie, które wiedział, że jest w stanie utrzymać aż do momentu, gdy dobiegnie do laboratorium Ezekieła po drugiej stronie budynku.

Albo do jakiegokolwiek innego miejsca, gdzie ukrył się czarnoksiężnik, choćby i w piekle.

Kiedy minął ostatnie załamanie muru dzielące go od laboratorium, usłyszał brzęknięcie metalu i pęknięcie szkła. Zauważył, że drzwi do pracowni są otwarte, a z porzuconej na korytarzu torby wysypały się narzędzia maga.

Drzwi na schody właśnie się zatrzasnęły.

Ezekiel pobiegł z bankietu do laboratorium, żeby spakować swoje rzeczy. Kiedy usłyszał, że nadchodzi kara, porzucił nawet to, co w pośpiechu udało mu się zebrać.

Nic nie wskazywało jednak na to, że uda mu się uciec.

— Zatrzymaj się, Ezekielu! — zagrział Joe, rzucając się biegiem po schodach za magiem. Miecz, ocierając ostrzem po kamieniach, sypał iskrami.

Czarna szata Ezekieła wiła się prawie w zasięgu ręki Joe'go. Czarnoksiężnikowi jednak udawało się utrzymać bezpieczną odległość. Zbiegli przez jedno piętro, drugie...

Ezekiel był już na parterze.

— Zatrzymać go! — krzyczał Joe do sługi stojącego przy spizarni.

Ten właśnie zamierzał wykonać polecenie, ale Ezekiel strzelił palcami. Sługa zamarł w bezruchu z otwartymi ustami, jak ryba wyrzucona na brzeg morza. Trwało to tylko chwilę, ale przez ten czas mag zdążył już uciec.

Ezekiel nawet nie starał się rzucać czarów na Joe, bo był pewien, że ten jest od niego większym czarnoksiężnikiem.

Mag wybiegł na dziedziniec. Joe poślizgnął się i musiał schwycić za framugę drzwi, żeby nie upaść. Na dziedzińcu stała karetą zaprzężona w czwórkę koni.

Woznicą był smagły Mongoł.

Ezekiel rozpoznał w nim mieszkańca Siódmego Poziomu.

— Wróć jeszcze, żeby cię pokonać, Joe Johnsonie! — rzucił przez ramię. Schwycił klamkę u drzwi karety i otworzył je. Zaopatrzona w pazury, owłosiona łapa zacisnęła się na gardle Ezekieła i wciągnęła go do powozu.

Joe zdyszany, oparł się o framugę drzwi i patrzył za odjeżdżającą kareta. Przyspieszała coraz bardziej, jadąc w końcu znacznie szybciej, niż mogłyby ją ciągnąć konie.

W momencie gdy powóz wyjechał przez bramę, z jednego z bocznych okien wypadło coś na ziemię. Wyglądało to na dłoń, ale Joe jakoś nie czuł potrzeby upewnić się, co to rzeczywiście jest.

Ktoś dotknął jego ramienia. Obrócił się i ujrzał Mary, nową Mary ze smutnym uśmiechem na twarzy.

— Już po wszystkim — powiedział do niej i było to wszystko, co zdołał wysapać ze zmęczenia.

— Matka... a właściwie chyba przyjaciele matki... sprowadzili cię tutaj, abyś ocalił mojego

brata. Pewnie teraz wrócisz na swój rodzinny poziom? — zapytała, bezskutecznie starając się uśmiechnąć.

— Obawiam się, że to był mój powóz — rzekł, wskazując kciukiem w kierunku, w którym znikła kareta. — Ale możesz mi wierzyć, że nawet jeśli wróci, to do niego nie wsiądę — zapewnił ją z uśmiechem. Mary nerwowo przygryzła wargę.

— Jesteś rozczarowany? — spytała szeptem.

— Pamiętasz, co powiedział król? O wydarzeniach, które zmuszają go do podjęcia decyzji, które i tak już zapadły? — odpowiedział pytaniem. Odrzucił miecz i mocno przytulił Mary do siebie.

Musiał się jeszcze wiele nauczyć o tym świecie, ale niektóre sprawy przedstawiały się tu zupełnie podobnie jak w domu.